BRACIA GRIMM

BAŚNIE

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

WEDŁUG ORYGINAŁU NIEMIECKIEGO
OPRACOWAŁA

C. NIEWIADOMSKA

WYDANIE PIĄTE
Z SZESNASTU RYCINAMI W TEKŚCIE

NAKŁAD
GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — 1940

WYDAWCA: GEBETHNER I WOLFF
KRAKÓW, RYNEK GŁ. 23
Nr 15/40

EMYSŁOWA K. PODGÓRCZYKA I SP. W KRAKOWIE



DARY KARZEŁKÓW

Pewna wdowa miała córkę jedynaczkę, która bawiła się zwykle z córką sąsiada, wdowca.

Razu jednego wdowa zawołała obie dziewczynki, dała im chleba z miodem i rzekła do obcej:

— Idź, powiedz ojcu, że jeśli się ze mną ożeni, to będziesz się co dzień rano myła w mleku i wino zamiast wody pić będziesz; a moja córka zawsze w wodzie będzie się myła i wodę czystą będzie piła.

Dziewczynka powróciła do domu i powtórzyła ojcu wszystko, co jej mówiła sąsiadka. Wdowiec zamyślił się sam i nie wiedział, jak ma postąpić. W końcu rzekł do córki:

— Zdejm ten dziurawy trzewik, powieś na gwoździu i wlej do niego wody. Jeśli woda przecieknie, nie ożenię się wcale; jeśli zostanie w trzewiku, niech będzie, jak chce sąsiadka.

Dziewczynka wypełniła wolę ojca, ale pęknięta skóra zgrubiała od wilgoci i nie przepuściła ani kropli wody.

Wdowiec pokiwał głową i powiedziawszy sobie, że takie jest przeznaczenie, udał się do sąsiadki i ożenił się z nią wkrótce.

Nazajutrz po weselu wstała macocha wcześnie i dla córki męża nalała mleka do mycia na miseczkę, a szklankę gorącego wina podała jej na śniadanie; swojej zaś cór-

ce podała szklankę czystej wody i w czystej wodzie umyć się kazała.

Ale dnia następnego już dla obu dziewcząt stała woda do mycia i woda do picia; a na trzeci dzień córka wdowy piła wino, myła się w mleku, a mężowska córka w wodzie się myła, wodę czystą piła.

I tak już odtąd pozostało.

Coraz bardziej nienawidziła wdowa pasierbicy, choć ta pracowała pilnie przez dzień cały i posłusznie spełniała wszystkie jej rozkazy, nosząc wodę i drzewo, zamiatając izbę, pieląc w ogrodzie, piorąc i gotując — gdy tymczasem córka wdowy siedziała za piecem lub przed domem na ławie, grzała się na słońcu i wymyślała coraz nowe prace dla swej przybranej siostry. Była jednak przyczyna tej nienawiści złej kobiety i jej córki: obie były bardzo brzydkie, a biedna pasierbica piękniała z dniem każdym jak różyczka, która rozwija się z pączka.

Nadeszła zima, mroźna i surowa: gruby śnieg pokrył góry i doliny; drzewa białe, szronem okryte, lśniły w promieniach słońca jak osypane brylantami; w lesie nagie

gałęzie uderzały o siebie, a wiatr huczał ponuro jak zapowiedź śmierci. I zdawało się, że wszystko zamarło pod jego tchnieniem lodowatym; ani lot ptaka, ani szmer owadu, ani żaden listek zielony nie przypominały pięknej i uroczej wiosny — wszędzie było cicho, biało, pusto, zimno.

Zła macocha uszyła sukienkę z papieru, ubrała w nią pasierbicę, włożyła jej kawałek suchego chleba w koszyczek i kazała iść do lasu po poziomki.

Dziewczę spojrzało na nią z przerażeniem.

— Ależ, mamo! — zawołała — teraz w lesie nie ma poziomek, skądże ich wezmę? I dlaczego mam iść w tej sukni? Tak zimno na dworze, śnieg pokrył ziemię, mróz oddech tamuje! Po co ja pójdę?

— Śmiesz mi się sprzeciwiać? śmiesz mnie nie słuchać, niegodziwa dziewczyno! Precz mi z oczu natychmiast i żebyś się nie poważyła wracać bez jagód, bo cię nie wpuszczę do domu.

To powiedziawszy za drzwi ją wypchnęła i uśmiechnęła się złośliwie myśląc: zmarznie na mrozie w tej papierowej suk-

ni i nie będę przynajmniej więcej patrzyła na nią.

Biedna dziewczyna zapłakała głośno, lecz widząc, że to nie wzruszy złego serca macochy, uspokoiła się wkrótce, i aby się rozgrzać, pobiegła prędko po śnieżystej drodze. Do lasu niedaleko było od ich chaty, ale choć oglądała się na wszystkie strony, nigdzie ani poziomek, ani nawet trawki zielonej dostrzec nie mogła.

— Śliczny jest ten śnieg biały — pomyślała sobie — gdy patrzeć nań przez okno z ciepłego pokoju lub przynajmniej mając na sobie ciepłe futerko, lecz dla mnie biedaczki...

I łzy zasłoniły jej oczy, bo zdawało jej się, że ten śnieg biały będzie jej pościelą, na której się położy, aby nie wstać więcej. Do domu nie śmiała wracać, mróz przejmował ją coraz bardziej, głód dokuczał i łezki nawet marzły i jak brylanty staczały się po jej twarzy.

Nagle w oddali pomiędzy drzewami ujrzała chatkę. Przez maleńkie okienko widać było, że ogień pali się na kominku, więc

pobiegła co tchu w tę stronę prosić dobrych ludzi, ażeby się jej rozgrzać pozwolili.

Zapukała nieśmiało, a kiedy jej wejść pozwolono, otworzyła drzwiczki maleńkie i ujrzała przed sobą trzech karzełków siedzących przy małym stoliczku. Myślałaby, że to dzieci, gdyby nie ich twarze z brodami aż do pasa i długimi wąsami. Na głowach mieli czerwone, wysokie czapeczki, na nogach żółte buty, które przy niebieskich kożuszkach wyglądały bardzo ładnie. Wszystko tu podobało się dziewczynce: i rumiane, wesołe twarze gospodarzy, i małe sprzęty, i przyjemne ciepło, które ją ogarnęło, gdy próg przestąpiła; nie śmiała jednak nic mówić i uśmiechnąwszy się tylko, pozdrowiła uprzejmie wszystkich trzech karzełków i cichutko usiadłszy przed wesołym ogniem wyjęła chleb z koszyczka i jeść go zaczęła.

— Dajże i nam kawałek — rzekł jeden z karzełków widząc jak smacznie zajada.

Dziewczynka była głodna, lecz ucieszyła się bardzo, że może się wywdzięczyć za gościnne przyjęcie, więc spiesznie odłamała trzy kawałki chleba i nie zważając na to, że

jej niewiele zostało, poczęstowała grzecznie małych ludzi.

— Moje dziecko — rzekł drugi — co ty robisz w lesie w papierowej sukience w taką mroźną zimę?

— Szukam poziomek — odparła dziewczynka; — macocha nie pozwoliła mi wracać do domu, dopóki nie nazbieram pełnego koszyka.

Wtedy trzeci karzełek podał jej łopatkę mówiąc łagodnie:

— Skoro się ogrzałaś, to idź teraz na podwórze i odrzuć tą łopatką śnieg od ściany z tamtej strony, bo całkiem drzwi nam zasypał.

Dziewczynka westchnąć nie śmiała, żeby nie pomyśleli, że niechętnie spełnia posługę; wzięła podaną łopatkę i wybiegła na podwórze.

— Jakież to dobre dziecko — rzekł jeden z karzełków, — czymże ją obdarzymy za ten chleb, którym tak chętnie podzieliła się z nami, choć sama była głodna?

— Niech co dzień będzie piękniejsza — odezwał się jeden — niech będzie zawsze

niewinna i dobra i wszyscy dobrzy ludzie niechaj ją kochają.

— Niechaj będzie bogata — dodał drugi, — niech złoto lub drogi kamień pada z ust jej za każdym słowem.

— Niech ją zobaczy król młody i piękny i niech się z nią ożeni — szepnął trzeci. — Niechaj będzie szczęśliwa!

Tymczasem dziewczynka szybko odgarniać zaczęła śnieg od ściany domku, lecz zaledwie kilka razy odrzuciła go łopatką, ujrzała zieloną trawkę i czerwone, wielkie, dojrzałe, prześliczne poziomki. Uszczęśliwiona, obiema rączkami spiesznie je zbierać w fartuszek zaczęła, a kiedy miała dosyć, wróciła do chatki, podziękowała za wszystko karzełkom i napełniwszy po brzegi koszyczek pachnącymi jagódkami wesoło biegła do domu.

— Dzień dobry, mamo, oto są poziomki! — zawołała stojąc na progu, a w tejże chwili śliczna kulka złota, perła i diament padły z ust jej na podłogę.

Zdziwiona macocha wzięła z rąk jej koszyk i wypytywać zaczęła o wszystko, a gdy

Od kolebki biegła za mną
Czarodziejska baśń tęczowa
I szeptała wciąż do ucha
Melodyjne zaklęć słowa.

. . . .

Ponad morza purpurowe,
Ponad srebrne niosła rzeki,
Po zwodzonym moście tęczy
W cudowności świat daleki...

Otworzyła mi zaklęciem
Brylantowy w skałach parów --
I wkroczyłem raz na zawsze
W kraj olbrzymów, widm i czarów...

El...y.

Porzućmy na chwilę bity gościniec wiedzy, rzeczywistości i prawdopodobieństwa i pozwólmy pobujać trochę wyobraźni w mglistej, ale uroczej krainie fantazji.

łała dumnie. — Mama powiada, że nie potrzebuję sama zajmować się żadną robotą i nie po to tu przyszłam, żeby wam usługiwać. Myślałam, że jesteście dobre, poczciwe karzełki i że mi dacie poziomek, ale widzę, że chcielibyście, abym za was pracowała. No cóż, dacie mi poziomek?

— Nie mamy ich dla ciebie — odpowiedzieli razem, a rozgniewana dziewczynka wybiegła z ich chatki, aby wrócić do domu i poskarżyć się matce.

— Jakąż pamiątkę damy tej zazdrośnicy chciwej, leniwej i bez serca? — spytał po jej odejściu jeden z małych ludzi.

— Niech będzie co dzień brzydsza. Niech wszystkie jej wady widoczne będą w jej oczach i twarzy — rzekł pierwszy.

— Niech wstręt budzi we wszystkich — odezwał się drugi — niechaj z każdym wyrazem brzydki gad z ust jej wypada.

— Niechaj ją spotka wkrótce zasłużona kara, niech nie dozna szczęścia na ziemi — dodał trzeci karzełek.

A córka macochy wbiegła rozgniewana do domu, w kąt rzuciła koszyczek i zaczęła opowiadać o niegrzeczności karzełków.

Wtem żaby, jaszczurki, ropuchy z ust jej sypać się zaczęły; rodzona matka z przestrachem uciekła, a szkaradne stworzenia napełniły izbę, w której lamentowała zazdrosna dziewczyna.

Od tego czasu macocha i jej brzydka córka jeszcze bardziej nienawidziły pasierbicy i choć bogaciły się co dzień klejnotami, które z ust jej padały za każdym wyrazem, przemyśliwały jednak, jakby jej się pozbyć i życia ją pozbawić. Dnia pewnego, gdy od mrozu drzewa pękały i oddech zamarzał w powietrzu, zła macocha wybrała całą płachtę bielizny, dała dziewczynie siekierę i kazała iść do rzeki wyrąbać przerębel i prać na lodzie.

Biedna pasierbica ani jednego słowa przemówić nie śmiała, wzięła siekierę i płachtę z bielizną, wyrąbała przerębel w rzece koło mostu i prać zaczęła.

Pierze. Łzy padają na mokre chusty, ręce pękają od mrozu i krwawią białe płótno, lecz ona wciąż pierze. I nie słyszała nawet, że król z liczną świtą jadąc przez most zobaczył dziewczynę na lodzie i kazał zatrzymać konie

— Co tu robisz, moje dziecię? — rzekł do niej łagodnie.

— Bieliznę piorę w rzece — odparła zmieszana, a kiedy to mówiła, rubin, szmaragd i diament z ust jej upadły.

Król patrzy na dziewczynę, świeżą jak pączek róży, na jej załzawione oczy, zakrwawione ręce, na klejnoty, co z ust jej za każdym słowem padają, i podobała mu się bardziej, niż wszystkie księżniczki i królewny, jakie znał dotąd.

— Czy masz rodziców, śliczne dziewczę? — spytał.

— Mam ojca i macochę — odrzekła nieśmiało, — ale ojciec po świecie pracy szuka, a macocha...

Nie chciała się uskarżać, więc nic nie powiedziała, ale młody król spojrzał na jej pokrwawione ręce i domyślił się wszystkiego.

— Czy chcesz pojechać do mnie i zostać moją żoną? — odezwał się po chwili namysłu. — Widzę, że pracowita jesteś i dobra, a piękniejszej darmo bym szukał po świecie.

Dziewczynka aż klasnęła w ręce, tak się ucieszyła, lecz zaraz zawołała ze smutkiem:

— Jakże ja mogę usiąść obok króla w takiej mokrej spódniczce, tak ubogo ubrana? Czyż tak wygląda królowa?

Król uśmiechnął się na te jej słowa, sam wyciągnął do niej rękę, dopomógł wsiąść do karety, posadził obok siebie i własnym płaszczem otulił; a nim przyjechali do królewskiego zamku, tyle klejnotów leżało w karecie, że najbogatsza księżniczka nie przyniosłaby z sobą takich skarbów.

W krótkim czasie odbyło się wesele szczęśliwej pary; ojciec dziewczynki dostał miejsce na królewskim dworze, a macocha i jej córka choć się pokazać nie śmiały, mieszkały również w pobliżu królewskiego zamku i od młodej królowej hojne otrzymywały dary.

Dobra królowa w szczęściu i radości zapomniała o wszystkim, co wycierpiała w domu i litując się nad swoją przybraną siostrą, zmuszoną unikać ludzi z powodu swej wstrętnej wady, starała się podarunkami osłodzić jej życie, przejednać niechęć i zazdrość. Młody król nawet widząc, że spra-

wia tym przyjemność żonie, grzeczny był dla jej macochy, choć w duszy nie lubił szczerze tej fałszywej baby, o córce jej zaś nie wiedział zupełnie. Młoda dziewczyna nie chciała się pokazywać, więc prosiła, by o niej nie wspominano wcale.

W rok po ślubie młody król pojechał na wojnę, bronić granic swego państwa przed potężnym wrogiem, a tymczasem królowej urodziła się córeczka. Zła macocha skorzystała z nieobecności króla, pospieszyła do zamku z córką, a gdy nie było nikogo w królewskiej komnacie, przy pomocy złej dziewczyny wyrzuciła nieszczęśliwą pasierbicę z wysokiego okna w nurty bystrej rzeki, swoją zaś córkę spiesznie przybrała w szaty królewskie i kazała jej udać chorą, by nikt nie zbliżał się do niej.

Tego właśnie dnia wieczorem król powrócił z wojny, a ucieszony widokiem ślicznego dzieciątka, zapragnął uściskać żonę, choć macocha starała się go przekonać, że chorej królowej zaszkodzić może widzenie się z mężem. Nie mogąc mu się jednakże sprzeciwić wpuściła go do pokoju, oświetlonego słabo jedną małą lampką. Chora z gło-

wą ukryta w puchowe poduszki nie otworzyła oczu na powitanie męża, który też zaniepokojony jej bladością, oddalił się w milczeniu.

Około północy stara piastunka, czuwająca przy dziecku, usłyszała ciche kwakanie za progiem, a gdy drzwi otworzyła, śliczna biała kaczka ze złotym czubkiem weszła do pokoju, zbliżyła się do kołyski i spytała cichym głosem:

— Czy król mój, pan mój powrócił? Ucieszył się czy zasmucił, gdy zamiast kochanej żony znalazł dziedziczkę korony?

— Król smutny w swojej komnacie, jeszcze nic nie wie o stracie — odpowiedziała zdziwiona piastunka.

— A macocha z córką swoją gniewu się jego nie boją?

— Wszyscy śpią już w całym dworze, nikt nie czuwa o tej porze.

— O dziecino moja miła, matka cię dziś nie karmiła, w zimnej wodzie spoczywała, północnej doby czekała, by cię utulić, nieboże, zanim ranne wstaną zorze!

To mówiąc bieluchna kaczka wstrząsnęła piórka śnieżyste, które ją niby obłokiem

zakryły, i nagle z obłoku tego wystąpiła postać królowej, wzięła dzieciątko na ręce, utuliła, nakarmiła, pieściła i całowała, potem na białej pościółce złożyła i do samej rannej zorzy słodko śpiewała, cicho płakała. A kiedy świt różowy zajaśniał na niebie, obłoczkiem się otuliła, piórkami osypała, i biała kaczka ze złocistym czubkiem kwacząc odeszła.

Król niespokojny o żonę, od rana pospieszył do jej komnaty, zła macocha przystępu wzbronić mu nie mogła, otuliła jedynie córkę aż po oczy, by nie dostrzegł jej brzydoty.

— Jakże się czujesz dziś, kochana żono? — przemówił król serdecznie.

— Lepiej — odparła cicho, ale w tejże chwili szkaradna żaba z ust jej wyskoczyła.

— Co to ma znaczyć? — spytał przerażony monarcha.

Ale macocha więcej mówić jej nie pozwoliła tłumacząc królowi, że to skutki choroby, które prawdopodobnie z nią razem przeminą. Prosiła także, aby się oddalił, gdyż królowa potrzebuje ciszy i samotności, aby odzyskać zdrowie.

Król poszedł zobaczyć córkę, ucieszył się jej urodą i powrócił do siebie smutny.

O północy biała kaczka ze złocistym czubkiem znów zakwakała pod progiem. Piastunka pospieszyła jej otworzyć, a ona, jak poprzednio, naprzód spytała o króla, potem o złą macochę, wreszcie nakarmiła dziecinę, kołysała ją i śpiewała aż do rannej zorzy.

Dnia następnego król chciał dłużej pozostać przy żonie, lecz wstrętne gady, które za każdym wyrazem z ust jej padały, takim go przejmowały obrzydzeniem, że posłuchał bardzo chętnie rad macochy i oddalił się znowu. Gdy jednak stanął nad kolebką dziecka, łza zaświeciła mu w oku i szepnął zasmucony:

— Dziecino biedna, co się z matką twoją stało!

Usłyszawszy to piastunka do nóg mu padła i opowiedziała wszystko, co zaszło o północy i czego świadkiem była. Król wysłuchał jej, rozkazał nie mówić o tym nikomu i sam przyszedł wieczorem czuwać przy kolebce dziecka.

Gdy kaczka pode drzwiami zakwakała, piastunka otworzyła jej jak zwykle, lecz zobaczywszy króla przy dziecinie kaczka stanęła przy nim i zapytała cicho:

— Gdzie twoje królewskie łoże? co tu robisz o tej porze? Czy do pierwszej tęsknisz żony? czyś już innej poślubiony?

— Jedną tylko miałem żonę jak to serce i koronę! gdy mnie kocha, niech tu stanie, niech usłyszy me wołanie! — zawołał król grzmiącym głosem.

Kaczka się zatrzepotała, białe piórka osłoniły ją obłokiem, spoza którego ukazała się postać królowej. Król pochwycił ją za ręce i przycisnął do serca.

— Teraz nikt nas nie rozdzieli! — zawołał gorąco — ale biada tym, którzy pokrzywdzić cię chcieli.

Nazajutrz do pokoju mniemanej królowej wszedł król na czele książąt, dworzan i rycerzy. Zła macocha zdziwiona chciała bronić wstępu, lecz król rzekł do niej surowo:

— Na jaką karę zasługuje zdrajca, który czyha na zgubę niewinnej istoty?

— Na karę śmierci — odpowiedziała

blednąc i nie domyślając się jeszcze, co to ma znaczyć.

— Jaką śmiercią ma zginąć? — pytał dalej monarcha.

— Taką, jaką chciał zgubić swą ofiarę — odparła znowu macocha nie rozumiejąc pytania.

Wtedy król skinął na sługi i w tej samej chwili związano ją i jej córkę i wyrzucono przez okno do bystro płynącej rzeki, między wysokimi skałami, o które obie roztrzaskały głowy; ciała ich prąd uniósł na głębokie morze, gdzie pożarły je okrutne potwory.



JANEK WYRWIDĄB

W pięknej dolinie, nad srebrzystym strumykiem, u wejścia do wiecznego boru, stał samotny domek ubogiego rolnika, który mieszkał tu z żoną i maleńkim synkiem. Rolnik uprawiał ziemię, żona pilnowała dobytku i porządku w chacie, a maleńki Janek nie odstępował matki i towarzyszył jej wszędzie.

Była to bardzo szczęśliwa rodzina, choć żyli w takiej samotni, iż mały Janek nie wiedział, że więcej ludzi jest na świecie, a rodzice jego łatwo zapomnieć o tym mogli. Chłopczyk skończył już dwa lata, śliczny, zdrów jak rybka, wesoły jak ptaszek, dobry i posłuszny, pociechą był ojca i matki. Kiedy po długiej zimie nadeszła upragniona wiosna, trudno go było utrzymać przy chacie: chciał iść, gdzie niebo się

kończy, gdzie lecą obłoki, gdzie żyją ptaszki i gwiazdki złociste świecą na ciemnym błękicie. W dzień pogodny, jak tylko matka ukończyła ważniejsze prace koło gospodarstwa, wyprowadzał ją do lasu, zbierał kwiaty i roślinki, pytał o czym szumią drzewa, co wiatr opowiada i tak szedł dalej, dalej, pragnąc dojść koniecznie, gdzie las się kończy. Cò tam być może za lasem?

I szli raz tak daleko, że dolina i chatka całkiem zniknęły im z oczu, gdy nagle dwóch rozbójników wypadło z zarośli, porwali biedną kobietę i Janka, związali i zaciągnęli do jaskini, ukrytej u stóp góry za cierniowym płotem. Nieszczęśliwa kobieta daremnie ze łzami błagała ich o litość: serca rozbójników kamienne były i twardsze od skały, w której mieli swoje schronienie.

Gdy stanęli u drzwi żelaznych, jeden zapukał w sposób umówiony; wnet otworzyły się ciężkie podwoje i weszli do ciemnego, podziemnego korytarza, który ich doprowadził do wielkiej i ponurej groty. Tu na środku dokoła kamiennego stołu siedziało dziesięciu zbójców; jeden stał przy ogniu, rozpalonym na olbrzymiej płycie i widocz-

nie gotował strawę. Ściany groty zdobiły miecze, włócznie, topory, sztylety i broń wszelaka połyskując złowrogo przy świetle rozpalonego ogniska.

Na wiadomość o niewolnikach herszt powstał ze swego miejsca, zbliżył się do kobiety, popatrzył na nią badawczo, a że była silna i zdrowa, powiedział jej, że jeśli zajmie się ich gospodarstwem szczerze i gorliwie, to może być spokojną, że nic jej tu złego nie spotka i razem z synem pomiędzy nimi bezpiecznie żyć będzie mogła. Potem nie chcąc słuchać wcale jej próśb ani żalów, kazał dać jeńcom mięsa, chleba, wina, skór niedźwiedzich na posłanie i oddalił się do stołu, gdzie dla skrócenia czasu wszyscy grali w kości.

W tej jaskini lat wiele spędził Janek z matką, która pracowała pilnie i gorliwie, a w chwilach wolnych pieściła swego jedynaka, opowiadała mu długie, ciekawe historie o rycerzach i bohaterach i nauczyła go czytać z jednej starej książki, którą w zbójeckiej jaskini znalazła. Na jedno tylko pytanie nie odpowiadała mu nigdy, choć zadawał je coraz częściej: nie mówiła mu nic

o ojcu i rodzinnym domu, gdyż nie chciała, aby tęsknił tak, jak ona tęskniła.

— Już ja się i tak dowiem, kto jest moim ojcem, — powiedział jej dnia pewnego i od tego czasu snadź powziął jakiś zamiar, gdyż przestał pytać ją o to.

Kiedy skończył lat dziewięć, wybrał gruby kij sosnowy spomiędzy gałęzi przyniesionych na opał i schował go pod łóżko. Zbójców w jaskini tego dnia nie było: wyszli wszyscy na rabunek. Gdy powrócili o północy, Janek wstał z łóżka, wziął swoją maczugę i zbliżywszy się do herszta rzekł śmiało:

— Powiedz mi, gdzie mój ojciec, bo zabiję cię tą maczugą!

Ale herszt roześmiał się tylko i uderzył go pięścią w głowę, tak że chłopiec nieprzytomny potoczył się w głąb jaskini. Kiedy przyszedł do siebie, pomyślał: „Za wcześnie próbowałem swojej siły; rok jeszcze poczekać muszę, potem uda się lepiej“.

Niecierpliwie czekał rok cały. Schował sosnową pałkę i nie dotykał jej wcale; a kiedy rok upłynął, wydostał ją znowu,

otarł starannie z kurzu i obejrzał na wszystkie strony.

— Dobra maczuga — odezwał się wreszcie — dziś dowiedzieć się muszę coś o moim ojcu.

Usiadł w kącie jaskini i czekał na rozbójników, którzy powrócili o północy, kazali dać sobie wina, zasiedli przy stole, pili i grali w kości do samego rana. Kiedy świtać zaczęło, Janek ścisnął maczugę, stanął przed hersztem i zawołał śmiało:

— Powiedz mi, gdzie jest mój ojciec, albo cię zabiję!

Herszt roześmiał się i uderzył go tak, że Janek upadł na ziemię; ale podniósł się natychmiast, oburącz pochwycił pałkę i zaczął bić z taką siłą, że pozabijał zbójców, połamał im ręce, nogi, poroztrącał głowy i powrócił do matki, która ze swego kącika ze strachem i radością patrzała na syna.

Nie przypuszczała nawet, że Janek był tak mocny.

— Teraz widzisz — rzekł do niej — że czas, abym wiedział, kto jest mój ojciec i gdzie go mam szukać.

— Chodźmy — odparła matka — za-

prowadzę cię do niego, jeśli potrafię sama znaleźć drogę.

Janek wziął wielki worek, napełnił go złotem, drogimi kamieniami i perłami, potem zarzucił go sobie na plecy, zabrał sobie klucze od wyjścia i puścił się z matką w drogę.

Od lat ośmiu nie widział on dnia ani świata, toteż trudno opisać jego zachwyt, gdy wyszedłszy z ciemności, ujrzał las zielony, trawę i kwiaty, usłyszał śpiew ptasząt, uczuł tchnienie świeżego wiatru i spojrzał na błękit nieba. Był tak upojony i szczęśliwy, że całował ziemię i drzewa, krzyczał głośno i biegał ciesząc się trawką każdą.

Matka nareszcie wzięła go za rękę i długo błądząc wśród drzew i zarośli doprowadziła do ślicznej doliny nad szumiącym wiecznie strumieniem i pokazała z dala ich ubogą chatkę. Wieśniak siedział przed nią właśnie naprawiając jakieś narzędzie, a ujrzawszy żonę i syna zapłakał z radości. Musieli mu opowiedzieć wszystko co ich spotkało i własnym oczom wierzyć nie mógł patrząc na wysokiego i silnego chłop-

ca, że to ma być mały Janek, którego tak opłakiwał.

Janek, choć nie miał jeszcze lat dwunastu, wyższy był przecież o całą głowę od ojca, a i silniejszy także, bo gdy wszedł do chaty, zdjął worek z pleców i położył na ławie, zatrzeszczała ława dębowa i złamała się we dwoje, worek spadł na podłogę, która zachwiała się także, załamała pod nim i połowa izby zapadła się razem z workiem do piwnicy.

— A toś mię przywitał, synku! — zawołał wieśniak z rozpaczy. — Całą chatę zniszczyłeś tym jednym głupim workiem.

— Nie troszcz się, ojcze, o to — odpowiedział Janek — więcej wart ten mój worek niż ta cała chata.

I zaraz poszli obaj do piwnicy obejrzeć skarby; potem zbudowali sobie dom nowy, obszerny, wygodny; kupili dużo bydła, pola i łąki przyległe i zaczęli gospodarować. Kiedy Janek szedł za pługiem i prowadził go ręką, woły nie czuły żadnego ciężaru, a gdy zwożono zboże do stodoły, sam ciągnął wóz największy bez żadnego wysiłku.

Po roku jednak rzekł do ojca:

— Kochany ojcze, zatrzymaj sobie złoto i wszystkie skarby rozbójników, a mnie kup tylko sto funtów żelaza, każ z niego zrobić laskę i pozwól iść na kraj świata. Chcę poznać ludzi, spróbować sił swoich i szukać szczęścia.

Ojciec nie mógł się sprzeciwić, więc spełnił życzenie syna i Janek udał się w drogę uściskawszy i pożegnawszy rodziców.

Szedł długo, bardzo długo, ciągle na wschód słońca; mijał góry i doliny, lasy, łąki i pola, aż idąc raz ciemnym borem spostrzegł wysoką sosnę, która chwiała się jak trzcina. Zdziwiony podszedł i spojrzawszy w górę ujrzał siedzącego na drzewie człowieka.

— Co tam robisz? — zapytał Janek.

— Uciekaj, bo sosna spadnie i zabić cię może. Zebrałem zboże z pola i muszę je wymłócić, więc upatrzyłem sobie to drzewko na cepy.

— Głupstwo! — zawołał Janek. — Wyrwij sosnę i chodź ze mną: idę szczęścia szukać. Będziesz się nazywał Młócarz.

— Dobrze! — odparł wesoło siłacz i ze-

skoczył z drzewa, a Janek ze zdziwieniem zauważył, że o głowę wyższy był od niego.

— We dwóch lepiej nam będzie — rzekł patrząc na towarzysza — kto nas pokona, gdy złączymy nasze siły?

Szli rozmawiając wesoło, gdy wtem jęknęło coś w lesie, ziemia zadrżała od strasznego łoskotu, jakby góry pękały od bezustannych gromów. Zdziwieni podróżni skierowali się w tę stronę i ujrzeli olbrzyma, który uderzeniem pięści druzgotał skały i rzucał je z góry w dolinę.

— Co ty robisz? — krzyknął Janek.

— Dom sobie budować będę, bo mi leśne stworzenia zasnąć nie dadzą spokojnie, kiedy się na mchu wyciągnę. Trzy niedźwiedzie zgniotłem tej nocy, osiem wilków i dwa dziki, bo wszystko to mnie oblazło na moim posłaniu. Chcę spać spokojnie, a nie budzić się co chwila.

— Dąj pokój — zawołał Janek — szkoda twojej pracy, dom sobie i tak znajdziemy, we trzech będzie nam weselej.

— Może i dobrze mówisz — mruknął olbrzym — powiadają, że wy ludzie więcej

od nas macie rozumu, chociaż myśmy silniejsi. Spróbujmy spółki.

Dobrze im było razem. Zabili jelenia i wieczerzę mieli wyborną; potem położyli się spać przy ognisku i każdy z nich kolejno czuwał nad śpiącymi.

Nazajutrz spostrzegli zamek na wysokiej górze; był wielki i wygodny, lecz opuszczony i stary; postanowili jednak zamieszkać w nim tymczasowo. Janek zabił po drodze ogromnego dzika, którym nasycili się wszyscy, a olbrzym złapał żywego niedźwiedzia i ukręciwszy mu głowę oznajmił, iż będzie z niego doskonała pieczeń.

Odtąd tak się ułożyli, iż co dzień inny miał zostawać w domu i gotować obiad, dwaj zaś udadzą się na polowanie, aby zaopatrzyć śpiżarnię.

Pierwszego dnia został Młócarz; wsadził niedźwiedzia na rożen, z głowy zaś, wątroby i serca miał ugotować zupę. W ogrodzie ziela było pod dostatkiem na wszelkie jarzyny, a miód pszczół leśnych dopełniać miał uczty. Zadowolony ze swego pomysłu Młócarz obraca rożen, warzy ziele, gdy na schodach usłyszał jakieś ciche kroki,

i w tejże chwili garbaty i kulawy karzełek, z ogromną brodą i złośliwym spojrzeniem, stanął przed nim pokornie prosząc o kawałek mięsa.

Gość niespodziany przestraszył kucharza, który też odpowiedział mu szorstko i z gniewem, że dla włóczęgów do rozdawania nic nie ma. Ale w tej samej chwili garbaty karzełek jak mały kociak rzucił się na niego drapiąc, gryząc, piszcząc, bijąc, gdzie mu się udało; aż nieszczęśliwy Młócarz, ogłuszony i pokrwawiony, upadł na ziemię wzywając ratunku.

Nikt jednak nie pośpieszył mu z pomocą, bo nikogo w zamku nie było i karzełek nie prędzej puścił swą ofiarę, aż nasycił złość i chęć zemsty.

Kiedy Janek z olbrzymem powrócili z polowania, stół zastali nakryty i obfitą ucztę, lecz o przygodzie z karłem poszkodowany milczał, rad, że jego zastępca sam pokosztuje pazurów dzikiego i złośliwego stworzenia.

Nazajutrz pozostał olbrzym; piekł sarnę i trzy zające, a gdy się zjawił karzeł, spojrzał z obrzydzeniem na potworną po-

stać kulawego garbusa i krzyknął, żeby sobie precz poszedł do nory. Karzeł zamiast posłuchać rzucił się na niego i nim zdumiony olbrzym o obronie pomyślał, podrapał mu twarz i ręce, pogryzł do krwi szyję i uciekł uniknąwszy silnej pięści wroga.

Gdy towarzysze z polowania przyszli, Młócarz od razu odgadł, co się stało, ujrzawszy podrapanego olbrzyma, lecz obaj milczeli pragnąc, aby Janek doświadczył również tej miłej przygody.

Janek zostawszy w domu zabrał się do gotowania, ale zaledwie rozpalił ognisko i rozszedł się zapach pieczonego mięsa, karzeł w kornej postawie stanął przy kominku i prosił o pożywienie.

„Nie mogę skrzywdzić moich towarzyszy — pomyślał Janek — lecz sam mam za wiele i mogę mu ustąpić trochę z mojej części".

Wziął nóż, ukrajał kawał surowej pieczeni i podał go karzełkowi. Ten pożarł kęs w mgnieniu oka i poprosił go o drugi. Janek ze zdziwieniem spojrzał na małe, łakome stworzenie, ukrajał jeszcze jeden spory kawał, podał garbusowi i zapowiedział su-

rowo, że teraz powinien być zadowolony. Ale karzeł zjadł znów wszystko chciwie i po raz trzeci powtórzył swą prośbę.

To rozgniewało Janka.

— Precz mi, potworze! — krzyknął — bo cię tak poczęstuję, że mnie popamiętasz.

Zaledwie jednak wymówił te słowa, karzeł skoczył mu do oczu i byłby go pokaleczył jak Młócarza i olbrzyma, gdyby go młody siłacz zręcznie za kark nie pochwycił i nie zrzucił ze schodów jak natrętne zwierzę. Nagle przypomniał sobie, jaki błąd popełnił puszczając karła wolno, więc pobiegł co tchu za nim, lecz spostrzegł go już tylko z daleka, gdy znikał w rozpadlinie między skałami.

Janek wrócił do kuchni, ugotował obiad, a wieczorem opowiedział wszystko towarzyszom, którzy zdziwieni, że mu tak szczęśliwie poszło, przyznali się teraz, co ich od karła spotkało. Janek naśmiał się do woli i rzekł im na koniec:

— Dobrze wam bardzo, zasłużyliście na to; nie trzeba było żałować biednemu stworzeniu kawałka mięsa. Teraz wstyd wam został!

Kiedy się nasycili, wzięli kosz, laskę zrobioną ze stu funtów żelaza i udali się na poszukiwanie kryjówki karła, gdyż wiadomą jest rzeczą, że w takich skrytkach olbrzymie można znaleźć skarby. Pnąc się na górę doszli wreszcie do szczeliny wąskiej, ciasnej i ciemnej, w którą trzeba było się spuścić. Przywiązano kosz do sznura, Janek wsiadł do kosza razem ze swoją laską i spuszczono go w przepaść.

Jechał długo, bardzo długo wśród zupełnej ciemności, na koniec stanął na gruncie. Tu znalazł drzwi żelazne bardzo sztucznie zamknięte, lecz wyważył je sztabą, a gdy upadły, olśnił go blask cudny, napełniający tę podziemną grotę. Płynął on z góry, choć nie można było poznać, skąd pochodzi. Pośród tej jasności raził oczy blask diamentów i drogich kamieni, którymi wysadzane były ściany groty. Wkoło przy ścianach stały kryształowe skrzynie, z których każda pełną była innych kosztowności: w tej złoty piasek, w drugiej perły, tam rubiny, szafiry, szmaragdy, brylanty, skarby, jakich żaden może monarcha nie posiada. A w głębi na wysokim tronie ze złota

i słoniowej kości siedziała cudna dziewica. Jej złociste włosy spływały aż do ziemi ciężkimi zwojami, a lśniły jak promienie słońca. Na głowie miała diadem brylantowy, brylantowy naszyjnik świecił blaskiem tęczy na jej prześlicznej szyi, przejrzysta szata z białej, cienkiej gazy utulała jej postać jakby mgłą srebrzystą, lecz na rękach i nogach dźwigała złote kajdany, a w spojrzeniu jej czarnych oczu malowało się tyle smutku i błagania, że Jankowi na jej widok serce się ścisnęło.

Wtem spostrzegł karła, który stał przy tronie z przestrachem i zdziwieniem mierząc go oczyma.

— Czym mogę cię wybawić z tej niewoli, królowo? — zawołał Janek zbliżając się do tronu.

Smutna dziewica nie odpowiedziała, ale spojrzenie jej padło na karła, i w tejże chwili Janek silnym uderzeniem swej stufuntowej laski zabił go na miejscu. Złote kajdany same opadły z dziewicy, a z jej oczu popłynęły łzy radości.

— Dziękuję ci, mój wybawco! — zawołała wyciągając ku niemu ręce. — Jestem

królewską córką, a ojciec mój chyba umarł z rozpaczy, gdy wróg nasz porwał mnie z zamku i osadził tu w tej jaskini pod strażą złośliwego karła. Nie umiem ci opisać, ile wycierpiałam i jak wdzięczną ci jestem, żeś mię ocalił na koniec.

Janek wzruszony byłby jeszcze długo wypytywał się o losy przecudnej dziewicy, ale przypomniał sobie, że towarzysze jego oczekują znaku życia i gotowi odejść, jeśli nie da im znać o sobie. Umieścił więc królewnę w koszu i szarpnął za sznur gwałtownie. Wyciągnięto ją natychmiast i kosz powrócił znowu. Lecz Janek nie dowierzał towarzyszom; raz już nieszczerze z nim postąpili, więc mógł się spodziewać, że i teraz będą chcieli go pokrzywdzić. Zamiast więc wsiąść do kosza, położył tylko swoją laskę. I dobrze zrobił, gdyż podniósłszy kosz wysoko Młócarz i olbrzym puścili go nagle i gdyby Janek w nim siedział, zabiłby się na miejscu.

Zasmucony usiadł teraz na progu komnaty pełnej nieprzebranych skarbów i zaczął myśleć, jaki los go czeka. Towarzysze najwidoczniej zdradzili go i odeszli za-

brawszy piękną królewnę, a on czyż ma umrzeć tutaj głodową śmiercią? w tak młodym wieku, obok tak cudnych klejnotów?

Spojrzał dokoła, wszystko jaśniało radośnie, tylko zabity karzeł niby ciemna plama leżał nieruchomy u stóp tronu, na posadzce z kości słoniowej.

Wtem na palcu zabitego coś zamigotało i Jankowi błysnęła myśl szczęśliwa. Pochylił się nad nim szybko, zdjął brylantowy pierścień, włożył na serdeczny palec i obróciwszy szybko szepnął:

— Chcę być na górze.

W mgnieniu oka coś go porwało i wyniosło na miejsce, gdzie się znajdowała szczelina; lecz nie było tu już nikogo.

— Chcę być w zamku — pomyślał Janek i w tejże samej chwili znalazł się w zamku, gdzie również daremnie szukał śladów dziewicy i wiarołomnych przyjaciół.

Zrozpaczony zdjął pierścień i rzucił o ziemię, gdy wtem zjawił się przed nim duch w mglistej postaci i pokornie szeptał, czego żąda.

— Chcę wiedzieć, gdzie jest królewna i towarzysze moi.

— Za siódmą górą, za dziesiątą rzeką, płyną po morzu na srebrnym okręcie z purpurowymi żaglami i bursztynowym wiosłem. Okręt kupili sobie za naszyjnik królewny.

— Chcę być na morzu! — zawołał głośno nasz bohater podnosząc pierścień. Niewidzialna potęga uniosła go w powietrze tak gwałtownie, iż prawie utracił przytomność, a gdy ją odzyskał, stał już na okręcie z żelazną maczugą w dłoni wobec zdradzieckich wrogów.

W uniesieniu gniewu rzucił się na nich natychmiast, ale Młócarz i olbrzym także silni byli, więc rozpoczęła się walka uparta, w której Janek jak lekką trzcinką wywijając swą maczugą druzgotał wszystko dokoła. Wkrótce olbrzym wpadł w morze z roztrzaskaną czaszką, Młócarz z odtrąconą głową leżał na pokładzie, a Janek krwią zbryzgany, lecz dumny ze zwycięstw, odszukał pod pokładem w perłowej kajucie zemdloną królewnę i skrapiając wodą jej skronie usiłował ją przywrócić do życia.

Gdy odzyskała zmysły, uśmiechnęła się radośnie i zawołała:

— Drogi mój wybawco, dwa razy ocaliłeś mię z ciężkiej niewoli, teraz już tylko jedno mam życzenie: pomóż mi odzyskać rodziców!

Nie było w tym nic trudnego. Janek przywołał ducha, dowiedział się, gdzie mieszkają rodzice królewny i kazał się do nich zanieść. Naturalnie, że szczęśliwi z odzyskania córki, chętnie przyjęli go za zięcia i posłali z nim wierne sługi do jaskini karła, skąd zabrano szczęśliwie wszystkie skarby i klejnoty.

Przez trzy dni trwało wesele królewny, na którym obecni byli i rodzice Janka. Wszyscy życzyli szczęścia młodej parze, która też dziękowała wszystkim najserdeczniej i tak uprzejmie przyjmowała gości, iż cały tydzień trwała wesoła zabawa.

Potem się goście rozjechali, a młody król i królowa rządzić zaczęli mądrze i szczęśliwie.



LEW-KRÓLEWICZ I JEGO ŻONA

Pewien bogaty książę wyjeżdżając w daleką drogę rzekł do trzech córek:

— Drogie dzieci, nieprędko się zobaczymy... Co chcecie, abym wam przywiózł z podróży?

Jedna z nich żądała naszyjnika z pereł, druga diademu z brylantów, ale najmłodsza, jego ukochana pieszczotka, rzuciła mu się na szyję i zawołała:

— Ojczulku, ja niczego więcej nie pragnę, tylko śpiewającego skowronka ze złotym dzióbkiem i złotymi pazurkami.

Ojciec obiecał spełnić ich życzenia; podróżował rok cały, zwiedzał dalekie kraje, kupił perły i diamenty, ale śpiewającego skowronka ze złotym dzióbkiem i złotymi pazurkami na całym świecie znaleźć nie mógł.

Już powracał do domu zmartwiony tym bardzo, że nic nie wiezie dla swojej pieszczotki, gdy droga mu wypadła przez las bardzo stary, pośród którego ujrzał wspaniały zamek, przed nim dąb rozłożysty ze złotymi żołędziami, a na dębie śpiewającego skowronka ze złotym dzióbkiem i złotymi pazurkami.

Uszczęśliwiony książę zawołał na sługi i kazał im pochwycić ptaka; lecz zaledwie jeden z nich zbliżył się do drzewa, podniósł się lew złotogrzywy, spoczywający spokojnie na szmaragdowym trawniku i zaryczał tak groźnie, iż drzewo zadrżało, posypały się złote żołędzie na ziemię, a skowronek uleciał wysoko w obłoki.

Zadrżeli słudzy, książę cofnął się zdumiony, a lew przemówił głosem grzmiącym i surowym:

— Kto chciał mi ukraść ptaka, zginąć musi.

I rozdziawił paszczę straszliwą ukazując olbrzymie zęby.

— Nie wiedziałem, że ptak ten należy do ciebie — odparł książę przerażony — ptaki latają swobodnie po świecie i niczyją

nie są własnością, lecz jeśli mi go odstąpisz, zapłacę ci chętnie, ile sam tylko zażądasz.

— Złota twego nie pragnę — odpowiedział lew dumnie — a za zły zamiar zginąć musisz, chyba że mi przysięgniesz oddać na własność pierwszą istotę, jaką spotkasz za powrotem do domu. W takim razie mogę ci nawet darować ptaka.

Książę zasmucił się bardzo, gdyż przyszło mu na myśl, że jego najmłodsza córka zwykle pierwsza wybiegała naprzeciw niego, gdy powracał. Lecz z drugiej strony obawa strasznej i bliskiej śmierci nie pozwalała mu wahać się dłużej, więc kiedy wierny sługa szepnął, iż zdarzyć się może, że pies lub inne stworzenie powita go pierwsze, dał się namówić i przyrzekł, czego lew wymagał.

Wówczas skowronek spuścił się z obłoków, usiadł na ramieniu księcia i dobrowolnie dał się zabrać do jego kraju.

Książę spieszył z bijącym sercem, pełen niepokoju, kto go powita pierwszy, a gdy ujrzał najmłodszą, ukochaną córkę wybiegającą ku niemu wesoło, z płaczem zaczął ją ściskać i całować nie mogąc znieść wido-

ku jej radości, z jaką pochwyciła zaraz śpiewającego skowronka.

— Czego się smucisz, mój ojcze? — zapytała wreszcie zadziwiona jego łzami. — Szczęśliwie powróciłeś z dalekiej podróży i zamiast cieszyć się z tego razem z nami, martwisz się, jakby cię wielkie nieszczęście spotkało.

— Nie mogło spotkać mnie większe — odparł zrozpaczony książę; — ciebie, najdroższe dziecko moje, przyrzekłem oddać dzikiemu zwierzęciu, lwu okrutnemu, aby własne ocalić życie.

I opowiedział jej wszystko, co zaszło w owym odwiecznym lesie, gdzie znalazł skowronka. Dziewczę wysłuchało ojca, potem uściskało go serdecznie.

— Dobrze zrobiłeś, ojczulku — zawołała swobodnie — cóż bym poczęła, biedna sierota, bez ciebie? Lwa nie lękam się wcale, ułaskawię go, zobaczysz, dobrym słowem ułagodzę i wyproszę sobie, że mi pozwoli wrócić do mego ojczulka.

Książę chciał ją zatrzymać i nie spełnić obietnicy, choćby miał utracić życie, lecz dzieweczka stanowczo oparła się temu

utrzymując, że danego słowa trzeba dotrzymać koniecznie.

Nazajutrz rano udała się w drogę. Wierny sługa towarzyszył jej do zamku wskazując drogę, a gdy ujrzał dąb stuletni ze złotymi żołędziami zawrócił i odszedł, aby nie być świadkiem śmierci ukochanej panienki.

Lew ujrzawszy księżniczkę powitał ją grzecznie i zaprowadził do wspaniałej komnaty, gdzie stół oczekiwał nakryty. Stały na nim najpyszniejsze potrawy i napoje w złotych i srebrnych naczyniach, usługiwało jej dwunastu paziów, a lew siedział po lewej stronie i rozkazywał wzrokiem lub skinieniem łapy. Po skończonej uczcie uprzejmie ją powiódł do pokojów dla niej przeznaczonych i prosił, aby wypoczęła. Sam oddalił się natychmiast, lecz gdy noc zapadła, zjawił się w ludzkiej postaci i oznajmił dziewicy, iż jest królewiczem zaklętym przez potężnego czarodzieja i dopóki słońce świeci, musi nosić lwią skórę, w nocy zaś, wśród ciemności, człowiekiem być może.

Dzieweczka ucieszyła się niezmiernie

z tego niespodziewanego odkrycia, gdyż nieszczęśliwy królewicz podobał się jej bardzo. Urządzono więc wspaniałe wesele, a gdy rozjechali się goście, państwo młodzi postanowili spać od świtu do zmroku, a od zmroku do świtu żyć jak wszyscy ludzie.

I było im dobrze. Dnia pewnego jednak lew rzekł do żony:

— Jutro wesele twej najstarszej siostry, jeśli chcesz odwiedzić ojca i być na zabawie, moje lwy cię odwiozą i zaczekają na ciebie.

Młoda królowa zgodziła się chętnie, mąż odprowadził ją aż do granicy swego państwa, potem wrócił do domu; ona zaś zajechała przed ojcowski zamek w złotej karecie, przez cztery lwy ciągnionej.

Wielkie było zdziwienie i radość w książęcym domu, kiedy najmłodsza córka opowiadała o sobie. Wszyscy myśleli, że zginęła dawno w pazurach lwa okrutnego, toteż stary książę aż osiwiał ze zmartwienia, a widząc ją teraz nie mógł jej się napatrzyć i nasłuchać jej głosu.

Po weselu kazał córce pozdrowić zięcia z całego serca, a liczny orszak towarzyszył

jej aż do granicy, gdzie sam lew wyszedł na spotkanie żony.

W jakiś czas potem przysłano do zamku zaproszenie na wesele drugiej siostry; lecz królowa rzekła do męża:

— Nie pojadę sama, nie chcę rozstawać się z tobą; proszę cię, jedźmy razem.

— To niepodobna, droga żono: wiesz, że w ciemności przybieram tylko postać ludzką, gdyby wtedy padł na mnie promień światła, zamieniłbym się w gołębia i przez lat siedem musiałbym z gołębiami latać.

— Nie lękaj się, najdroższy mężu; potrafię cię tak uchronić, że żaden promyk światła nie padnie na ciebie; a pomyśl, jak mi będzie miło być z tobą pod jednym dachem!

Lew uległ prośbom żony; zabrali z sobą synka, który się niedawno urodził i pojechali do rodziców królowej, którzy na życzenie córki kazali w jednej z komnat pałacowych zamurować wszystkie okna i przeznaczyli ją na mieszkanie zięcia. W dzień był pomiędzy nimi w postaci króla zwierząt.

Trzeciego dnia po przybyciu młodej pary do zamku odbywało się świetne wesele. Orszak jechał do kościoła ze światłami i pochodniami, a ponieważ nikt nie spostrzegł, że w jednej z okiennic zamurowanej komnaty była maleńka szparka, cieniuchny promień światła padł na zaklętego króla i nieszczęśliwy w mgnieniu oka zamienił się w gołębia.

Gdy królowa powróciła z drużkami i panną młodą, naprzód pobiegła do pokoju męża, ażeby go uściskać i opowiedzieć wszystko, lecz zamiast męża ujrzała gołębia, który przemówił do niej:

— Stało się, czego lękałem się właśnie; przez lat siedem w tej postaci muszę krążyć teraz po świecie, ale co siedem kroków upuszczę pióro białe i kroplę krwi czerwonej, a jeśli pójdziesz za tym śladem, możesz wybawić mnie po siedmiu latach.

Usłyszawszy to królowa w głos się rozpłakała, lecz otarła łzy natychmiast, bo gołąbek frunął z miejsca i trzeba było spieszyć za nim, szukać śladów, aby naprawić winę swej lekkomyślności i wybawić ukochanego małżonka. Więc biegła nie oglądając

jąc się wcale za siebie, nie patrząc w górę, śledząc tylko pilnie białe piórka i czerwone krople krwi, które padały co siedem kroków na ziemię.

I tak biegła lata całe nie myśląc o niczym, nie wypoczywając prawie, żywiąc się tym tylko, co przy drodze przypadkiem znaleźć mogła i nie płacząc, aby oczy nie straciły drogiego śladu. Zdarte obuwie dawno z nóg jej spadło, stopy poraniły ostre ciernie i kamienie, królewskie szaty zamieniły się w łachmany, piękne włosy kurz przysypał, słońce spaliło białą skórę na jej twarzy, — ale ona nie czuła bólu, ani umęczenia, nie wstydziła się łachmanów, w których wyglądała na żebraczkę, nie żałowała swej piękności ani młodego wieku, tylko wciąż biegła i biegła przed siebie, ścigana trwogą, by nie stracić śladu, w którym pokładała ostatnią nadzieję.

Już rok siódmy dobiegał do końca, siły biednej kobiety niknęły z dniem każdym, ale nie słabła miłość w jej gorącym sercu i ona dodawała jej siły i otuchy. Tak niedługo już, tak niedługo! Tyle czasu, trudów za tobą, przed tobą mała chwilka...

Wtem nie spostrzegła przed sobą ani białego piórka, ani kropli czerwonej i stanęła przerażona. Spojrzała w górę i nie dostrzegła gołąbka: nie ma go pod obłokami, ani nad cienistym lasem, ani na szczycie góry; gdzież się podział, gdzie zniknął mąż jej ukochany?

Łzy zasłoniły jej oczy, ale cóż łzy pomogą? A dokoła nikogo, tylko jasne słońce płynie spokojnie po błękitnym niebie.

Więc wyciągnęła ręce do złotego słonka i zawołała:

— Słoneczko, słoneczko, co płyniesz tak wysoko, aż pod obłokami i całą ziemię złotym okiem widzisz: powiedz mi, gdzie mój biały gołąbek się podział! Czy wypoczywa na wysokiej skale, czy wpadł w przepaść głęboką, że dojrzeć go nie mogę? Powiedz mi, słonko złote, słonko moje!

Słonko rozejrzało się po szerokim niebie, sięgnęło promieniami w głębsze przepaści, lecz nie dostrzegło nigdzie białego gołąbka i ze smutkiem odpowiedziało królowej:

— Nie, nigdzie go nie widzę, nigdzie dostrzec go nie mogę; nie ma go w żadnej

przepaści, nie ma go na niebie. Żal mi ciebie, biedna kobieto, weź ode mnie to złotę jabłko i pomyśl o nim, gdy będziesz w potrzebie.

Zapłakała biedna królowa, ale łzy nic nie pomogą, więc zwróciła się do księżyca, który z kolei zaświecił na niebie i zawołała:

— Miesiączku mój srebrzysty, miesiączku kochany, co rosę brylantową zsyłasz biednym kwiatom, ulituj się nad niebogą, spojrzyj na lasy, pola, które śpią cicho w srebrnym twoim blasku i powiedz mi, czy nie widzisz gdzie gołąbka mego!

Srebrny miesiąc uważnie spojrzał na lasy, pola, lecz nie dostrzegł gołębia i odpowiedział smutnie:

— Żal mi ciebie, biedna kobieto, lecz nie ma twego gołębia ani na równym polu, ani w gęstym borze; gdzie indziej go szukać musisz. Oto masz ode mnie to jajeczko srebrne; przypomnij sobie o nim, gdy będziesz w potrzebie.

Biedna królowa załamała ręce i zapłakała gorzko, łzy jednak nic nie pomogą. Otarła oczy i zwróciła się z prośbą do potężnego wiatru północnego:

— Wietrze potężny, którego się lęka każde żyjące stworzenie, ty, który w zimie osypujesz drzewa szronem brylantowym, a podczas lata pozwalasz okrywać się im listkami, aby je jednym tchnieniem rozwiać po świecie w jesieni! wietrze, co wszędzie jesteś i znasz całą ziemię, lądy i morza, powiedz mi, powiedz, czy nie widziałeś mojego gołąbka?

— Nie — odparł wiatr północny; — w mojej lodowej ojczyźnie go nie ma; ale żal mi ciebie, nieszczęśliwa królowo i spytam braci moich, wiatrów z innych stron świata, może oni go widzieli.

I zahuczał posępnie, a na ten głos wiatr wschodni, zachodni i południowy wnet przybiegli do niego i rozpoczęli taniec powitania, który opanował ziemię i obłoki, aż wszystko się złączyło w jeden wir szalony druzgocąc lasy i ludzkie siedziby, stojące im na drodze.

Wiatr północny jednakże surowym spojrzeniem uspokoił młodszych braci swawolników i spytał, czy nie widzieli na świecie przelatującego białego gołąbka?

Wiatr wschodni i zachodni nie widzieli go wcale, ale wiatr południowy, najłagodniejszy ze wszystkich, przemówił cichym głosem:

— Kochany bracie, widziałem białego gołąbka, leciał ku mnie daleko, aż na Czerwone morze, ale ponieważ upłynęło już siedem lat pokuty, więc stał się lwem i w tej chwili musiał rozpocząć walkę z olbrzymim smokiem, który rzucił się na niego, a ten smok, to królowa czarodziejka, która chce go uczynić swoim niewolnikiem.

— Słyszałaś? — rzekł wiatr północny do królowej. — Teraz dam ci jeszcze radę: spiesz zaraz nad Czerwone morze; tam na prawym brzegu zobaczysz zielone różdżki wyrastające z piasku. Porachuj dobrze, zetnij jedenastą i uderz nią smoka po grzbiecie, a wówczas obaj zapaśnicy odzyskają ludzką postać i mąż twój będzie mógł pokonać przeciwnika. Następnie nie oglądaj się wcale, siadaj razem z królem na śnieżnego łabędzia, który pływa po Czerwonym morzu, a on was na miękkim grzbiecie doniesie do brzegu. Tutaj masz złoty orzech, nie zapomnij o nim: gdy łabędziowi sił

zacznie brakować, rzuć go natychmiast w morze, a z głębi wyrośnie wielkie orzechowe drzewo, na którym wypoczniecie wszyscy. Inaczej łabędź nie mógłby donieść was do brzegu.

Usłyszawszy to nieszczęsna królowa podziękowała dobremu wiatrowi, potem zaczęła biec co sił starczyło do Czerwonego morza. Z daleka ujrzała walczącego lwa ze smokiem i zielone różdżki na wybrzeżu. Uważnie przeliczyła dziesięć, jedenastą zerwała drżącymi rękoma i z całej siły uderzyła smoka. Natychmiast lew i potwór przybrali ludzkie postacie, lecz zamiast walczyć dalej, czarodziejka-królewna pochwyciła w ramiona swego przeciwnika, siadła z nim razem na śnieżnego łabędzia, popłynęli po modrej fali i wkrótce zniknęli z oczu nieszczęśliwej żonie.

Biedna królowa zapłakała gorzko, ale łzy nic nie pomogą, więc otarła smutne oczy i postanowiła iść znowu choćby na kraj świata, dopóki nie odszuka męża.

I szła długo, bardzo długo, aż przybyła do zamku, w którym jej powiedziano, że ma się odbyć wesele królowej z młodym króle-

wiczem, który niedawno przybył z dalekiej podróży. Czyżby to był właśnie jej mąż poszukiwany?

Usiadła na progu zamku i czekała, aż się ukaże, a kiedy wyszedł do ogrodu obok królewny, poznała go zaraz i krzyknęła z trwogi i szczęścia; ale on spojrzał na nią obojętnie i minął nie poznawszy. Skądże miał odgadnąć, że ta żebraczka, kurzem i pyłem okryta, z pokrwawionymi nogami, w łachmanach, jest żoną jego, matką jego dziecka, która przez lat siedem biegła za śladem jego po świecie? A może czarodziejka-królewna pamięć o niej mu odjęła?

W tych smutnych myślach pogrążona królowa przypomniała sobie nagle o złotym jabłku, danym jej przez słońce. Gdy noc zapadła, otworzyła je ostrożnie i znalazła cudowną szatę z promieni słonecznych, tak jaśniejącą, że wzrok olśniewała. Były tam oprócz tego i trzewiki i wszystko, co do stroju potrzebne, więc obmywszy się w kryształowym strumieniu rozczesała złote włosy, włożyła słoneczną suknię i udała się do zamku, gdzie zaproszeni goście zasiadali do uczty. Na jej widok wszyscy powstali, sam

królewicz zbliżył się do niej, lecz narzeczona wnet go zawołała, z dala posadziła przy stole, a zachwycona suknią ze słonecznych promieni, kazała swojej służebnej zapytać, za jaką cenę kupić by ją mogła.

— Krwi za złoto nie sprzedaję — odparła królowa — lecz powiedz twojej pani, że oddam jej suknię, jeśli mi pozwoli jutro zanieść śniadanie do pokoju królewicza.

Czarodziejka narzeczona przeczuła w tym jakiś podstęp, lecz nie chcąc się wyrzec sukni przyjęła warunek, tylko przedtem własną ręką przygotowała napój, który postawiono na noc w pokoju królewicza. Skoro przyszedł spać po wieczerzy, rozkoszny zapach przygotowanego wina wzbudził w nim takie pragnienie, że wypił duszkiem puchar cały, a gdy nazajutrz o zwykłej godzinie biedna królowa weszła ze śniadaniem, zastała go śpiącego twardo. Zbliżyła się do łóżka, nachyliła się nad mężem i cicho, smutnie szeptać mu zaczęła:

— Obudź się, królu, panie! Oto przez lat siedem szłam za tobą na kraj świata przez wichry i burze; słońca, księżyca, wiatru pytałam o ciebie; smoka zieloną różdżką

uderzyłam; czyż możesz zapomnieć o mnie, o naszej dziecinie? Obudź się, mężu, królu, spojrzyj na mnie!

Lecz daremnie błagała płacząc gorącymi łzami; napój czarodziejski królewny był silniejszy niżeli jej skargi, niż łzy gorące, które na czoło uśpionego padały.

Upłynęła godzina, słudzy weszli do pokoju i królowa wyjść musiała. Pobiegła do ogrodu, skryła się między drzewami i płakała tak rzewnie, iż trawa słońcem spalona pozieleniała w tym miejscu na nowo. Ale cóż łzy pomogą?

Wtedy przypomniała sobie o jajku srebrzystym, które otrzymała od księżyca i rozbiła je o kamień.

Wtem z jajka wypadł mały brylantowy pajączek na srebrnych nóżkach i dwie rubinowe mrówki. Pajączek zaczął okręcać się w kółko, snuć nitkę brylantową i srebrną, a mrówki z tej cudnej przędzy tkały tak przejrzystą, cienką i świecącą tkaninę, że oczy się mrużyły patrząc na nią i nic piękniejszego nigdy nie było na świecie.

Ucieszyła się królowa, zabrała z sobą mrówki i pająka, poszła na zieloną łączkę

naprzeciw okien królewny, a gdy pajączek zaczął snuć cudowną przędzę, a mrówki tkać z niej materię piękniejszą od księżyca, czarodziejka-królewna zobaczyła to z okna i posłała swoją służebną zapytać, za jaką cenę można kupić pajączka i mrówki.

— Krwi za złoto nie sprzedaję — odparła królowa — ale powiedz twojej pani, że oddam jej to wszystko, jeśli mi pozwoli dzisiaj posłać łóżko dla królewicza.

Oburzyła się czarodziejka przeczuwając w tym podstęp, ale pragnęła posiadać cudownego tkacza, więc przyjęła ten warunek, tylko własną ręką przygotowała napój, który po wieczerzy kazała podać królewiczowi, gdy będzie wracał do swego pokoju.

A przy wieczerzy sama spytała narzeczonego:

— Jakże ci wczoraj smakowało wino, które ci posłałam na noc.

— Boski trunek! — odparł królewicz — ale sny po nim musiałem mieć smutne, bo mi było ciężko na sercu, kiedy się obudziłem.

— Nie pij dzisiaj tak wiele — odparła królowa; — rozkazałam służącemu, abyś miał to samo wino.

I przyprawiła mu wieczerzę w taki sposób, aby w nim wzbudzić pragnienie.

Tymczasem biedna królowa poszła słać łóżko mężowi, a przechodząc przez pokój, w którym stał pokojowiec, ujrzała puchar z usypiającym napojem.

— Jakiż to śliczny puchar! — zawołała — powiedz mi, kto pić będzie z niego?

— Pić będzie młody królewicz, narzeczony pani naszej, aby miał sny spokojne.

— Pozwól mi umaczać usta w tym napoju, abym wiedziała, co królowie piją, a dam ci ten pierścień rubinowy; oddasz go swej narzeczonej, a będzie cię kochała aż do śmierci.

Kamerdyner zobaczył pierścień z prześlicznym kamieniem, połyskującym jak czerwona iskra i chcąc go posiąść pozwolił skosztować napoju. A królowa lekko usta umoczyła i łzę w napój upuściła, a potem spiesznie weszła do królewskiej komnaty. Tu jednak senność ogarnęła ją tak wielka, że upadła przy łóżku jak nieżywa.

Kamerdyner cierpliwie czekał jej powrotu, a słysząc, że królewicz już nadchodzi, chciał ją wyprowadzić co prędzej z pokoju. Spostrzegłszy martwą czy uśpioną na podłodze, przestraszył się bardzo, usunął ją w kąt, zastawił ławką i nakrył jeszcze dywanem. Następnie pospieszył naprzeciw królewicza i podał mu puchar.

Królewicz z przyjemnością poniósł napój do ust, lecz zaledwie go skosztował, wypluł wszystko, mówiąc, że nie znał dotąd tak gryzącej goryczy.

— Przynieś mi czystej wody — rzekł do służącego siadając już na łóżku i w tej chwili zasnął, gdyż sam zapach napoju usypiał najsilniejszego człowieka.

Lecz na głos męża zbudziła się nagle królowa, wyszła z ukrycia, pochyliła się nad nim i szepnęła:

— Królu, mój mężu, oto przez lat siedem szłam za tobą na kraj świata; słońca, wiatru, księżyca pytałam o ciebie; smoka zieloną różdżką uderzyłam; czyż możesz zapomnieć o mnie, o naszej dziecinie? Obudź się, mężu! obudź się, mój królu!

I gorąca jej łza spadła na czoło uśpionego.

W tej chwili zbudził się nagle, poznał żonę swoją i przycisnął ją do serca.

— Dziękuję ci! — zawołał — tyś mnie wybawiła, teraz dopiero jestem ocalony: odzyskałem pamięć, poznałem cię, żono moja, pamiętam o dziecku naszym, o, czymże ci się za wszystko wywdzięczę!

— Wracaj ze mną — szepnęła szczęśliwa królowa.

Wracać nie było łatwo, gdyż czarodziejka-królewna nie puściłaby zdobyczy, dlatego postanowili uciec tej samej nocy.

Królowa wyszła w pokornej postaci, król pozornie udał się na spoczynek jak zwykle, lecz gdy wszyscy zasnęli, wyszedł oknem do ogrodu; tam połączył się z żoną i pobiegli razem do Czerwonego morza. Gdy świt zajaśniał, ujrzeli śnieżnopiórego łabędzia i natychmiast wsiedli na niego.

Ptak niósł ich po modrej fali, gdy czarodziejka-królewna ścigając ich mściwie spostrzegła z daleka; lecz roześmiała się tylko, zerwała zieloną różdżkę, rzuciła w wodę i powróciła do zamku, pewna, że łabędź

wkrótce straci siły i utonie razem ze swym ciężarem.

I rzeczywiście wkrótce osłabł tak, że nie mógł już płynąć dalej, a byli na środku morza, na głębi niezmierzonej. Lecz królowa szybko rzuciła w wodę złoty orzech i natychmiast prześliczne orzechowe drzewo ukazało się na wodzie. Łabędź odpoczął na nim i popłynęli dalej.

Jakaż była ich radość, gdy przybywszy na zamek księcia, zastali synka zdrowym, silnym chłopcem! Zabrali go do siebie, do zamku pod złotym dębem i odtąd żyli szczęśliwie i bez żadnej troski.



WRÓŻKA SKORONÓŻKA

W samotnym domku, zwanym przez wszystkich pustelnią, na wysokiej górze, w lesistej, pięknej okolicy, od niepamiętnych czasów mieszkała staruszka. Była ona tak stara, że najstarsi ludzie pamiętali ją taką samą jak teraz, to jest z pomarszczoną i wychudłą twarzą, zgasłymi oczyma, bezzębnymi usty, zgarbioną i pochyloną, opartą na lasce, którą trzymała w drżącej, słabej dłoni.

Ludzie unikali staruszki, omijali ją z daleka, a gdy przypadkiem spotkał ją ktoś w lesie, śpiesznie uchodził w bok pierwszą ścieżyną lub niechętnie odpowiadał na jej pozdrowienie. Uważano ją za czarownicę, jędzę, i obawiano się bardzo; ona jednak uprzejmie witała przechodniów, którzy z podziwieniem patrzyli, jak wielkie wiązki

trawy lub dzikich owoców, zebranych w lesie, dźwigała do swojej pustelni.

Wychodziła po nie co rano przebiegając doliny, napełniała wory i płachty, które miała z sobą, a przed wieczorem dopiero, ciężko obładowana, z trudem szła w góry skalistą drożyną do niskiej, samotnej chatki. Tu o tym samym czasie brzydka choć młoda pastuszka przyganiała stado gęsi z sąsiedniego jeziora.

To stado gęsi było całym bogactwem staruszki; co dzień też rano, nim się oddaliła, polecała strzec go pilnie gęsiareczce, a wieczorem liczyła swoje białe gąski i karmiła je sama przyniesionym zielem i uzbieranymi kłoskami.

A nazajutrz szła znowu. Nieraz wicher rwał na niej ubogie ubranie, pchał ją po wąskiej ścieżce, tamował jej oddech, ulewa psuła drogę, zimno przenikało ją do kości, a ona szła wciąż dalej podpierając się kosturem i mrucząc półgłosem jakieś niezrozumiałe wyrazy. Kto ją spotkał, litował się pomimo woli, wolałby jednak nie spotkać jej wcale; ona zaś spoglądała zgasłymi

oczyma, uśmiechała się życzliwie bezzębnymi usty i powtarzała zwykle:

— Nie dziw się, dobry człowieku, że taka stara ciężko pracować jeszcze muszę; każdy z nas dźwiga jakiś ciężar na tej ziemi, inaczej być nie może. Dopomóż zresztą starej, kiedy dobra wola.

Ale nikt się do pomocy skorym nie okazywał, przeciwnie, każdy znalazł zawsze jakąś wymówkę, aby się usprawiedliwić w oczach starej wiedźmy.

Razu jednego w piękny dzień jesienny młody rycerz, który zbłąkał się na polowaniu, jechał przez las wolnym krokiem. Dobrze mu jakoś było tu samemu, słońce tak wesoło przyświecało z góry, łagodny wietrzyk poruszał gałązkami, ptaszki śpiewały, las pełen był życia i wesoło w duszy było rycerzowi. Wtem na niewielkiej zielonej polance, ozłoconej ciepłymi promieniami słońca, ujrzał pochyloną staruszkę, która klęcząc ostrym sierpem żęła szmaragdową trawkę i składała ją do wielkiej, rozpostartej płachty. Obok stały dwa kosze, pełne dzikich gruszek i jabłek leśnych. Staruszka, jak zwykle, pozdrowiła go uprzejmie.

Rycerz patrzył na nią z litością.

— Czy myślicie to wszystko zabrać z sobą, matko? — zapytał wreszcie. — Gdzie wam sił wystarczy?

— Cóż mam począć? — odparła — nie mam dzieci ani wnuków; któż dopomoże starej? Biedni ludzie muszą więcej pracować na ziemi niźli bogacze, ale każdy z losem zgodzić się powinien.

— A czy daleko mieszkacie, mateczko? — pytał młodzieniec, coraz większą zdjęty litością. — Toć dla tęgiego chłopa byłoby tu co dźwigać!

— Może mi chcesz dopomóc? — zawołała stara, a dziwny ogień błysnął w jej zagasłych licach. — Jesteś młody i silny, dom mój niedaleko, ot na tej górze; dla ciebie to fraszka i gdybym sama była w twoim wieku... no, no, dopomóż starej!

Rycerz pomyślał sobie, że naprawdę wstyd byłoby, gdyby pozwolił takiej sędziwej i słabej staruszce dźwigać do domu ciężkie brzemię, więc uśmiechając się do niej zsiadł z konia i przywiązał go do drzewa.

— Wezmę twoje owoce, a ty nieś sobie

trawę — rzekł dobrotliwie. — A czy to daleko?

— Z godzina drogi. Ale weź już wszystko. Od tylu lat nie miałam chwili odpoczynku, niech dziś odpocznę sobie! Co ci zaciąży ta trawa? Czekaj, sama zarzucę ci płachtę na plecy.

Na wiadomość o godzinie drogi, rycerz spojrzał na słońce, które zaczynało już chylić się ku wieczorowi, potem na swego konia i miał szczerą ochotę zostawić babuleńkę własnemu losowi, samemu zaś pomyśleć o zbliżającej się nocy; ale gdy spojrzał na nią, znowu go litość zdjęła.

— No, dajcie już, babulu, te swoje ciężary — odezwał się stanowczo — mam młodsze od was nogi i prędzej może zajdę niż w godzinę. Za to dacie mi się napić mleka w waszej chatce.

— Mleka ci nie dam, moje słonko złote, bo go nie ma w pustelni; ale jak będę mogła, tak cię wynagrodzę za twoje miłosierdzie nad starą kobietą.

Zaśmiał się piękny rycerz z tej obietnicy staruszki i wziął w ręce oba koszyki, ona zaś zarzuciła mu płachtę z trawą na plecy.

— Ależ to ciężkie! — zawołał zdziwiony z trudnością postępując po zielonej murawie. — Nie, nie dam rady, doprawdy mateczko; wasze gruszki i jabłka cięższe od kamieni, a trawa gniecie jak ołów.

— No, proszę! i nie wstyd to rycerzowi tak wyrzekać na brzemię, które taka oto baba dźwiga co dzień bez szemrania? Oj, młodzi, młodzi, oj, junaki, rycerze! oj, jakież wasze siły! A gdzież ci bohaterowie, co z olbrzymami, z potworami wojowali?

Wstyd się zrobiło naprawdę naszemu rycerzowi; i on przecież marzył nieraz, że wielkich czynów dokaże, potężnych pokona wrogów, sławę zdobędzie niezmierną, aż oto stara kobiecina silniejszą ma być od niego!

Więc nic nie mówił, choć nogi uginały się pod nim, ręce omdlewały i bolały, jakby się miały oberwać, a gorąco i zimno przebiegało po całym ciele. Szedł jednak naprzód wytrwale, a staruszka biegła obok śmiejąc się, dogadując i obiecując nagrodę. Tak doszli do stromej ścieżki, która wiodła pod górę, lecz gdy tutaj kamienie spod nóg usuwać się zaczęły, pot wystąpił mu na czo-

ło, tchu zabrakło w piersi a nie mając gdzie spocząć na skalistej drodze, zwrócił się znów do starej:

— Zlitujcie się, matulu, dalibóg, nie mogę. Pokażcie, gdzie odpocząć, bo mi sił zabrakło. Nie nawykłem od młodości do noszenia ciężarów, to nie moja praca, kobieto. Daj odpocząć, bo upadnę!

— Śmiej się z tego, mój dobroczyńco, nie zechcesz, to nie upadniesz. Ja idę tak co dzień; a ot i chata niedaleko, już prawie tylko pół drogi.

— To weźcież sobie choć tę wiązkę siana.

— Nie chcę cię krzywdzić, mój poczciwy chłopcze, kiedyś już tyle zarobił, musisz wytrwać do końca. Aj! skaleczyłam nogę ostrym, twardym kamieniem — teraz i mnie jeszcze musisz zanieść do chaty.

To mówiąc jak konik polny skoczyła mu na plecy i usiadła na płachcie z trawą. Biedny rycerz aż jęknął, a tu stanąć nie można ani na jedną chwilkę, bo ścieżka wąska, spadzista: chwila nieuwagi i wszystko runie w przepaść! Więc szedł w milczeniu, powiedziawszy sobie, że wytrwa, póki

sił starczy, a gdy upadnie, dziej się wola Boża. I szedł noga za nogą po ostrych kamieniach, spadających na dół z łoskotem, niosąc oprócz brzemienia jeszcze starą babulę, która wciąż szeptała jakieś niezrozumiałe wyrazy.

Wreszcie stanęli na wierzchołku góry. Prześliczna zielona łączka rozciągała się tu szeroko, nad przeźroczystym jeziorem stała niewielka chatka, a po jeziorze pływały śnieżnej białości gąski, które na widok staruszki wzniosły w górę skrzydła, wyciągnęły długie szyje i biegły do niej z radosnym okrzykiem jak dzieci witając ukochaną matkę. Tuż za nimi ukazała się i gęsiareczka, wysoka, chuda, czarna, opalona dziewczyna, tak brzydka, że trudno było nie odwrócić od niej oczu. Rycerz spojrzał na nią z litością i żalem, bo miał serce pełne dobroci.

Stara przywitała się z gąskami pogłaskawszy każdą po szyi, potem zdjęła z rycerza wiązkę trawy, a dziewczynie kazała odebrać od niego kosz z owocami.

— Dziękuję ci za przysługę — rzekła żartobliwie. — Cóż, Krasotko, nie dziwisz

się, że znalazłam wreszcie takiego, co mi pomógł w ciężkiej pracy? Spocznij że sobie, szlachetny rycerzu, a ty, Krasotko, pójdź za mną do chaty, bo gotów się zakochać w tobie i miałabym nową biedę z takim gościem.

Śmiała się sama z tego żartu, ale zabrała dziewczynę, choć rycerz nie uśmiechnął się nawet, aby nie wyrządzić przykrości nieszczęśliwej istocie, pomyślał jednak: „Nie lękaj się o moje serce, nie posiedzę tu dłużej nad krótką chwileczkę i pewno nie powrócę więcej. Dość miałem dzisiejszej drogi. Choć ładna to pustelnia! Ciemne lasy dokoła, w górze jasne niebo, świat daleko, a Bóg blisko. Nawet ta maleńka chata wygląda jak zabawka, tak jest czysta i schludna. Szkoda, że w niej mieszka tylko stara czarownica i dziewczyna, podobniejsza do upiora niż do ludzkiej istoty. Ale cóż ona biedna winna temu?"

— A jakie tu śliczne kwiaty! jak przyjemny zapach! — zawołał głośno kładąc się na ławce pod dziką gruszą i patrząc na łąkę. Czarodziejskie jakieś miejsce. Ach, jakże jestem znużony!

Ziewnął, przymknął powieki i zasnął natychmiast.

Zdawało mu się, że spał jedną chwilkę, gdy stara go zbudziła silnym szarpnięciem za ramię.

— Nie mam dla ciebie miejsca w chacie na noc, wracaj śpiesznie do konia, bo zmrok zapadnie wkrótce, a za trudy weź ode mnie tę pamiątkę i strzeż jej dobrze: przyniesie ci szczęście.

Rycerz spojrzał na przedmiot, który mu podała i aż zmrużył oczy od blasku cudownie pięknego szmaragdu, wielkości płaskiej śliwki, ze złotym zameczkiem. Był to klejnot, godny królewskiego skarbca, więc zawahał się chwilę, czy go przyjąć może.

— Nie wiecie zapewne, matko, że to rzecz bardzo droga.

— Nie troszcz się o to, bierz, kiedy ci dałam i idźże sobie raz przecie. Konia ci wilki zjedzą.

Na wspomnienie konia, rycerz zerwał się na równe nogi, schował medalion, pożegnał staruszkę i pośpieszył do lasu. Sam dziwił się, że wcale nie czuł zmęczenia, lecz chociaż szedł bardzo szybko znaną mu już

dobrze ścieżką, upłynęła godzina, nim spuścił się z góry, druga — nim znalazł konia, i było już tak ciemno, że rozpalił wielki ogień, aby przenocować w lesie.

Nazajutrz wstał o świcie. Brylantowa rosa jaśniała na każdym listku, każdym ździebełku trawy, złote słonko wstawało wśród różowych obłoczków i tak mu było wesoło na duszy, świat wydał mu się tak piękny i ciekawy, że postanowił objechać go cały dokoła i poznać wszystkie dziwy, o których słyszał tak wiele.

Więc napoił konika, sam zjadł trochę jagód i pożywnych korzeni i wyruszył w drogę, w nadziei, że niezadługo trafi na jaką zagrodę, gdzie lepiej pokrzepi siły. Zawiódł się jednak, drogi ani chaty nigdzie nie było, lecz koło południa zabił zająca, znalazł ul pszczół dzikich i źródło czystej wody, więc głód zaspokoił. Na drugi dzień błąkał się znowu i dopiero przed wieczorem dnia trzeciego wjechał do pięknego miasta, w którym panował król potężny i sprawiedliwy.

Dowiedziawszy się o tym rycerz kazał

się zawieść do zamku i postanowił przyjąć służbę u tego monarchy.

W obszernej sali król siedział na złotym tronie, w koronie, jaśniejącej od drogich kamieni i purpurowym płaszczu, złotem haftowanym; obok królowa, blada jak lilijka, ze świecącymi jak gwiazdy oczyma, w diamentowej koronie i błękitnym płaszczu, naszywanym perłami przecudnego blasku, z których każda podobna była do łzy zastygłej.

Przybyły rycerz naprzód pokłonił się nisko, potem spojrzał na surowe oblicze starego króla, piękną postać królowej, i zbliżywszy się do tronu ukląkł i w krótkich słowach wyraził prośbę swoją składając w darze u stóp monarchini dar, otrzymany od staruszki.

Król wysłuchał łaskawie słów nieznajomego, królowa uśmiechnęła się łagodnie, wzięła kosztowny klejnot z rąk młodzieńca, otworzyła go, spojrzała i nagle z krzykiem wyciągnęła w górę białe dłonie i padła niby martwa na swój tron złocisty.

Pospieszyły na ratunek obecne niewiasty i wyniosły zemdloną królowę, ale król

zawrzał wielkim, srogim gniewem i zuchwalca, który był przyczyną tego wypadku, rozkazał wtrącić do więzienia.

Wrzucono go więc do ciemnego lochu, ale zaledwie krótką chwilę tam pozostał, gdy przybyli po niego wysłańcy królowej, która zażądała, by stawił się przed nią natychmiast.

W pokoju, gdzie spoczywała przywrócona do życia królowa, nikogo prócz niej nie było. Gdy rycerz stanął na progu, skinęła nań łagodnie, a skoro się bliżył, zapłakała znowu.

— Skąd masz ten klejnot? — zapytała wreszcie otwierając szmaragd, w którym ujrzał teraz dopiero perłę przecudnej piękności i blasku, zupełnie podobną do tych, które lśniły na błękitnym jak błękit nieba płaszczu płaczącej królowej.

Rycerz opowiedział, kiedy i jakim sposobem otrzymał cenny podarunek, a królowa wciąż płacząc tak mówiła dalej:

— Nie dziw się łzom moim, szlachetny rycerzu i dopomóż nam w nieszczęściu; jeśli, dzięki tobie, odzyskamy naszą stratę, król nie odmówi żadnej prośbie twojej.

Ta perła, którą mi ofiarowałeś, jest łzą najmłodszej, najpiękniejszej mej córki. Któraż matka nie pozna łzy dziecka swojego? Dwie córki mieliśmy piękne, lecz młodsza piękniejszą była: złote jej włosy jak promienie słońca okrywały ją aż do ziemi, oczy jak gwiazdy, usta jak maliny, twarz niby śnieg i jutrzenka. Kędy się ukazała, jakby słonko wzeszło, głos jej — najcudniejsza muzyka, a gdy zapłakała, takie oto perły padały z jej oczu.

Na jedną chwilę umilkła królowa, ze smutkiem patrząc na swój płaszcz błękitny; potem mówiła dalej:

— Starsza siostra zazdrosna była (może i miała słuszność), obawiała się, że ojciec niesprawiedliwy będzie i piękniejszą część królestwa dla młodszej przeznaczy i tak mu dokuczała swoimi żalami, że oznajmił, iż część lepszą nie ta z nich dostanie, którą on lepiej kocha, lecz która lepiej go kocha; ażeby więcej do żalów nie było powodu, natychmiast państwo swoje postanowił rozdzielić.

Wezwane przed tron ojcowski wobec ca-

łego dworu stanęły obie królewne. Starsza odezwała się bez namysłu:

— Ja, drogi ojcze, kocham cię jak słonko na niebie, jak najpiękniejsze perły, najdroższe kamienie, jak tę złotą koronę i płaszcz purpurowy, jak wszystkie stroje, klejnoty i cacka, jak miód słodki i owoce, jak przejrzyste wino, jak wszystko, co jest dobre i piękne na świecie.

A królewna Gołąbka stała i milczała, nie umiała powiedzieć, jak kocha ojca swego. Król popatrzył na nią, poczekał i powtórzył rozkaz, ale ona wciąż milczała i tylko łezki perłowe sypać się zaczęły z jej gwiaździstych oczu.

— Ja nie umiem powiedzieć, jak cię kocham, mój ojcze — rzekła na koniec — kocham cię duszą całą.

Dwór widział, że król pobladł z gniewu, ale zażądał jeszcze, aby córka lepiej wyraziła swoje uczucia, a gdy milczała ciągle nie.otwierając ust różanych, w uniesieniu gniewu rozkazał dworzanom nieposłuszne dziewczę precz uprowadzić do lasu, żeby jej oczy jego więcej nie oglądały.

Nikt się nie ośmielił sprzeciwić rozkazo-

wi króla, a biedna Gołąbka drogę sypała perłami, lecz szła w milczeniu, posłuszna i cicha. Zostawiono ją samą w czarnym borze, a gdy gniew ominął króla i szukać jej znów rozkazał, nigdzie już śladu naszej pieszczotki nie było. Zniknęła jak chmurka biała na wysokim niebie, jak cień przed słońcem. Piętnasty rok miała, a trzy lata od tego czasu upłynęły bez żadnej wieści; myśleliśmy oboje, że zwierz dziki poszarpał jej piękne, młode ciało, a dusza uleciała do nieba.

Aż oto dziś przynosisz mi w darze jej łezkę... Kto ci ją dał, musiał wiedzieć o losach królewny. Musisz nam więc dopomóc odszukać staruszkę.

Rycerz przyrzekł uczynić, co będzie w jego mocy, a że sam dobrze nie pamiętał drogi, bo trzy dni błądził, nim wyszedł z lasu, więc nazajutrz wczesnym rankiem miał się udać naprzód, by odszukać wróżkę, nim król i królowa z licznym orszakiem wybiorą się w podróż.

A tymczasem staruszka żyła po dawnemu w swojej pustelni z brzydką gęsiareczką: w dzień schodziła w dolinę i przynosiła

stamtąd zioła, owoce leśne i jagody, wieczorem powracała na szczyt góry, pieściła gąski, potem brała wrzeciono i z gęsiareczką razem przędła cienkie nici, dopóki jasny księżyc nie zaświecił na niebie. Wtedy dziewczyna biegła z kolei w dolinę, a staruszka czekała na nią przy kądzieli. Gęsiareczka powracała zawsze przed północą i zawsze przynosiła swojej opiekunce złotem haftowaną z przędzy pajęczej chustkę, pełną przecudnych pereł...

Dnia pewnego staruszka więcej była zamyślona niż zwykle; dziwny uśmiech osiadł na jej bezzębnych ustach, w oczach migało szczególne światełko, a nitka rwała się w ręku. Na koniec spojrzała w okno i zwróciła się do dziewczęcia.

— Czemu nie idziesz? — spytała trochę niecierpliwie.

— Jeszcze miesiąc nie świeci.

— Zaświeci za chwilę. Spiesz i powracaj prędko, czeka na nas robota.

Gęsiareczka ze zdziwieniem spojrzała na starą, lecz przywykła do posłuszeństwa, postawiła w kącie kądziel i wrzeciono, wzięła ze skrzyni złotem haftowaną z pajęczej

przędzy chusteczkę i lekkim krokiem pobiegła w dolinę.

Jak sarna przemykała się między drzewami nie sprawiając wcale szelestu i biegła ledwo dotykając ziemi na szmaragdową łączkę, gdzie spod wspaniałego dębu wytryskało kryształowe, jak lód chłodne źródło. Złote żołędzie dębu przeglądały się w nim ciekawie, mgła srebrzysta leciuchno słała się po ziemi, a kiedy gęsiareczka dobiegła do źródła, jasny księżyc wzniósł się wysoko na niebie i zrobiło się tak jasno, że gwiazdy pobladły i można było zliczyć wszystkie krople rosy.

Wtedy dziewczę zrzuciło z siebie ciemną skórę i ukazała się dziewica piękna jak dzień boży, z gwiaździstymi oczyma, z włosami jak promienie słońca, z ustami jak maliny, z twarzą jak śnieg białą, jak poranna zorza rumianą. Zrzuciła z siebie skórę i jak złota rybka pluskać się zaczęła w przejrzystym źródełku, bijąc wodę białą nóżką, pluskając rączkami, puszczając na nią swoje złote włosy.

Wreszcie wyskoczyła na brzeg, otrząsła się z brylantowych kropli, pochwyciła swo-

ją skórę, obmyła ją w czystej wodzie, rozłożyła na świetle, aby prędzej wyschła i usiadłszy obok ukryła twarz w dłonie i gorzko płakać zaczęła. Płakała i płakała, a przez cienkie paluszki sypały się łzy perłowe na zieloną trawkę...

Nagle w gąszczu zahukała ponurym głosem sowa; dziewczę zerwało się spiesznie, pozbierało łezki w trawie rozsypane dokoła, gdy wtem na stuletnim dębie z trzaskiem złamała się gałąź, coś poruszyło się w ciemnej gęstwinie... Spłoszona gęsiareczka w mgnieniu oka zarzuciła na siebie brzydką, ciemną skórę i zostawiwszy perły na murawie co tchu uciekać zaczęła do chatki.

Próżno rycerz, ukryty na tym właśnie dębie, poskoczył za nią: znikła mu między drzewami i zrozumiał, że po nocy nie znajdzie jej śladu, ale przynajmniej już pewny był teraz, że to Gołąbka, królewna płacząca perłowymi łzami.

Wrócił do źródła: na zielonej trawie leżała jeszcze z przędzy pajęczej chusteczka, a cudne perły, rozsypane wokoło świadczyły, że to, co widział, nie było złudzeniem.

Gęsiareczka przybiegła do chaty zdyszana i drżąc z trwogi opowiadała, co zaszło; lecz stara uśmiechnęła się tylko za całą odpowiedź i powtórzyła, że czas się zabrać do roboty.

— Do roboty, babulu? Toć już północ blisko, sowa huczała w lesie.

— Północ? A czy pamiętasz, że o tej godzinie trzy lata dziś upłynęły, jak weszłaś do mojej chaty? Służba twoja skończona, dłużej tu być nie możesz, więc nim odejdziesz lub staniesz się gąską jak inne, które były przed tobą, musisz wszystko sprzątnąć i pozostawić czyste jak kwiat świeży.

Na te słowa staruszki dziewczę załamało ręce.

— Matulu moja, czy nie wiernie służyłam, czy nie byłam posłuszna, że mię wypędzasz? Gdzież się podzieję biedna, nieszczęśliwa sierota?

— Za twoją służbę otrzymasz nagrodę, na jaką zasłużyłaś, a może i innym przyniesiesz ulgę w ich doli, tymczasem pomóż mi jeszcze sprzątnąć izdebkę. Potem pójdziesz do siebie, a wtedy zdejm tę skórę i wrzuć ją w ogień; włóż jedwabną suknię, w której

tu przyszłaś, rozczesz złote włosy i czekaj, aż cię zawołam.

Dziewczę ze łzami w oczach posłuchało, a staruszka, gdy uprzątnęła maleńką izdebkę, wzięła znów kądziel i wrzeciono i spokojnie prząść zaczęła.

Świt różowy zajaśniał na pogodnym niebie, gdy znaną nam skalistą i stromą drożyną trzy osoby wdarły się na zielone wzgórze, gdzie stała chatka staruszki. Białe gąski spały jeszcze nad jeziorem ukrywszy główki pod skrzydłami, cicho też było bardzo w tej pustelni, żaden wietrzyk nie poruszał zielonych źdźbeł trawki, obciążonych brylantową rosą, żaden ptak nie zaświergotał na przyjęcie gości.

A ci goście byli to: król, królowa i rycerz, który odszukał wreszcie znaną stromą ścieżkę; zostawiwszy orszak u stóp góry sami we troje wdarli się na jej wierzchołek.

— Jak tu ślicznie! — rzekła zdziwiona królowa — zdaje mi się, żeśmy weszli do ziemskiego raju. Jaka świeża i zielona trawka na tej łączce! jakie czyste powietrze!

— A chatka jak zabawka, aż lśni od

czystości — dodał król z zadowoleniem. — Trudno jest prawie wątpić, że tu się kryje nasza córka po tym, co nam ten młody rycerz opowiedział, więc cieszy mnie przynajmniej, że tak miłe miała schronienie.

Rycerz tymczasem pierwszy zbliżył się do chatki, zajrzał przez okno i spostrzegłszy staruszkę z kądzielą i wrzecionem uprzejmie ją pozdrowił. Uśmiechnęła się tylko i skinęła głową, a król zapukał do drzwi.

— Witam was, witam, oczekiwani goście! — zawołała staruszka otwierając niskie drzwiczki. — Wiem, co was tutaj sprowadza i smucić was dłużej nie chcę. Królewna Gołąbka kwitnie jak wiosenny kwiatek, a pod dachem starej wróżki nie poznała nic złego; nauczyła się tylko pracy i modlitwy, które są udziałem ludzi smutnych i ubogich. No, córeczko — dodała — skończył się i dla ciebie czas tęsknoty i żalu.

To mówiąc otworzyła drzwi niziutkie i stanęła w nich nasza Gołąbka królewna, w płaszczu włosów złocistych jak promienie słońca, z oczyma jako gwiazdy, twarzą jak śnieg białą i rumieńcami jak poranna

zorza. Ujrzawszy ojca, matkę, rzuciła im się na szyję z krzykiem i łzami radości, a król i królowa płacząc także ze wzruszenia przyciskali do serca odnalezione dziecię.

Wtem królewna spostrzegła młodego rycerza i zarumieniła się nagle jak obłoczek w słońcu, a rycerz także zmieszał się tak bardzo, że nie umiał do niej przemówić. Nie było zresztą czasu, gdyż król ochłonąwszy z gwałtownego rozczulenia odezwał się z troską w głosie:

— Drogie ty moje dziecię pokrzywdzone! odzyskałaś rodziców, lecz nie odzyskasz swego państwa: mąż twojej siostry całe otrzymał królestwo, dla ciebie nic nie zostało.

— Potężny królu! — zawołał rycerz uszczęśliwiony — jeśli królewna zechce przyjąć mnie za męża, będzie jedyną panią w zamku mojego ojca, który posiada piękne i rozległe pola, łąki i lasy, wierne sługi, piękne konie i mnie, jedynaka syna. Będzie tam panią, przez wszystkich kochaną; skinienia jej słuchać będą, jeżeli...

Wtem zaśmiała się staruszka i rycerz umilkł zmieszany.

— Nie lękajcie się o nią — rzekła z wesołym śmiechem — pracowita córeczka moja, królewna Gołąbka, ma pełną skrzynię łez swoich, które więcej są warte niż wszystkie skarby twoje, wielki królu, niż wszystkie ziemie twoje, szlachetny rycerzu. Pereł takich daremnie szukałbyś w głębi morza, nie posiada ich żaden bogacz ani żaden monarcha i dlatego są droższe nad wszystkie klejnoty. A za trzyletnią służbę, pracę i posłuszeństwo ma ode mnie tę oto chatkę. Jestem wróżka-Skoronóżka, strach i kara dla leniuchów, opiekunka pracowitych. Królewno Gołąbko, to twój pałac i państwo!

Tupnęła nóżką i w tej samej chwili zajaśniało dokoła niby południowe słońce, zadrżały ściany chatki i zniknęło wszystko. Król, królowa, królewna i szlachetny rycerz znaleźli się w przepysznej kryształowej komnacie najpiękniejszego w świecie kryształowego pałacu; otaczali ich dworzanie, rycerze i dziewice w bieli, wierna służba czekała na każde skinienie; w głębi stał stół nakryty, a dokoła zamku ciągnęły się kwieciste ogrody, zielone gaje, szumiące

strumyki, a dalej piękne i bogate miasta, aż do samego morza, gdzie mnóstwo okrętów przywoziło kosztowne, zamorskie towary.

Król i królowa patrzyli zdumieni, rycerz zbladł nagle i cofnął się smutny, lecz królewna Gołąbka podeszła ku niemu, ujęła go za rękę i rzekła cicho do rodziców:

— Kto był dobry dla starej, ubogiej kobiety i brzydkiej gęsiareczki, ten będzie moim mężem z wolą waszą, ojcze i matko.



ŻOŁNIERZ I DIABEŁ

Dawno już, bardzo dawno, skończyła się wojna, nagrodzono zasłużonych i odesłano do domu, bo król nie mógł w czasie pokoju tak wielkiej utrzymywać armii. Idą sobie żołnierze, idą gromadkami; gdzie który ma żonę, dzieci, to mu do nich śpieszno; gdzie który ma rodziców, to rad ich uściskać; gdzie który ma jeno gospodarstwo, to też

myśli sobie, co tam zastanie w domu na swoim zagonie.

A jeden młody żołnierz szedł ze spuszczoną głową i niepilno mu było pod rodzinną strzechę. Nie miał żony ani dzieci, rodzice dawno mu pomarli, a braciom nie niósł zdobyczy, więc nie był nawet pewien, czy zechcą jeszcze wpuścić go do chaty.

A cóż miał robić? Gdy usłyszał o wojnie, nie mógł usiedzieć jak inni za piecem; porzucił rolę, poszedł służyć królowi, choć mu zapowiedzieli, że jeśli powróci z pustymi rękoma do nich, znać go nie chcą wcale. Młody żołnierz bił się dzielnie, nie lękał się wroga, nie drżał przed ogniem ani mieczem nagim, to też po skończonej wojnie dowódca zawiesił na jego piersi znak zasługi i uznania, skarbnik wypłacił mu żołd niebogaty, towarzysze przyjaźnie ścisnęli za rękę i wszyscy się rozeszli. Sam pozostał teraz, sam na szerokim stepie.

Idzie i myśli sobie, jak go powitają bracia: czy dadzą część ojcowizny, czy pozwolą zostać w chacie? Idzie i myśli. Nagle zastępuje mu drogę człowiek wysoki, chudy,

w zielonym surducie, z kopytkami na nogach.

— Znam cię — przemówił żołnierz — ale się nie boję.

— Tym lepiej, zuchu, łatwiej się porozumiemy. Czego byś pragnął: złota? śmierci braci?

— Precz, kusicielu! — krzyknął żołnierz oburzony — nie mam czym płacić za twoje usługi.

Diabeł zniknął, a wojak śmiało poszedł dalej i nim nastąpił wieczór, stanął przed ojczystą chatą.

— Witajcie, panowie bracia — rzekł pokornie — wojna skończona, przyjmijcie do chaty, może przydam się na co, nim nastąpi druga.

— A co przyniosłeś z wojny? — zapytali chciwie.

Pokazał im znak zasługi i garstkę drobnej monety.

— Idź precz z taką zdobyczą! — zawołali gniewnie. — Nie mamy tutaj chleba dla próżniaków; ziemia jest nasza, bo pracujemy na niej i chata nasza, bo na ziemi stoi. Nic tu dla ciebie nie ma.

— Cóż więc będę robił?

— Rób, co ci się podoba; sam wybrałeś rzemiosło, gryźże teraz żelazo, popijaj krwią ludzką.

— Dajcież mi choć przenocować, pożegnać ojcowiznę.

Poszemrali niechętnie, zgodzili się jednak; dali mu kawał chleba, podzielili się wieczerzą, a nazajutrz na drogę nagotowali grochu i wyprawili z chaty zapowiadając, aby do niej nie wracał.

— Każdy z nas się ożenił, każdy ma dzieci, nie możemy ich krzywdzić, żeby się dzielić z tobą — mówili usprawiedliwiając swoje postępowanie.

I poszedł znów biedny żołnierz; idzie drogą, lasem, wyszedł na step szeroki; groch zjadł już od dawna, a tu nic nie ma, żeby siły pokrzepić. Usiadł na ziemi, smutnie zwiesił głowę i myśli nad swoją dolą.

Wtem coś zaszeleściło; obejrzał się: przed nim człowiek wysoki, chudy, w zielonym surducie, z kopytkami na nogach.

— Cóż — spytał — panowie bracia oddali ci, co twoje?

— To do ciebie nie należy — odparł żołnierz ponuro.

— No, nie gniewaj się mój zuchu, chcę twojego dobra. Dam ci złota ile zechcesz, byle bym się przekonał, żeś naprawdę taki odważny, jak mi chcesz się okazać.

— Żołnierz tchórzem być nie może.

— Eh, eh! mój kochany, różnie to bywa. Ot, spojrzyj za siebie.

Coś zasapało, zamruczało z cicha, i żołnierz obejrzawszy się ujrzał wielkiego niedźwiedzia, który powoli zbliżał się ku niemu i był już o parę kroków.

— Ba! — zaśmiał się dzielny żołnierz, a oczy mu błysnęły. — Poczekaj-no, Misiu, dawno pragnąłem zmierzyć się z tobą; będzie wieczerza! Czy znasz taką fujarkę? Dobrze gra do tańca.

To mówiąc wymierzył, padł strzał trafny i niedźwiedź, mrucząc ze wściekłością, rozciągnął się jak długi.

— Dobrze — chwalił diabeł — wybornie! Teraz mój dzielny chłopcze, pomyśl, jak byłoby wygodnie mieć zawsze kieszeń pełną złota! Bracia wypędzili cię z chaty i nikt ciebie nie przyjmie. Co ty umiesz?

nic; a do tego, niech-no zatrąbią w pole, rzucisz wszystko i pójdziesz. Nie dla żołnierza praca i pracy nic po żołnierzu. No cóż, przyjacielu?

Żołnierz pomyślał sobie o ciężkiej swojej biedzie, nielitościwych swoich braciach i pustym żołądku.

— Duszy ci nie zapiszę — rzekł jednak pochmurnie.

— Bo i pisać nie umiesz; zresztą sam posłuchaj, jak dogodne stawiam ci warunki: Oto przez lat siedem z rzędu nie będziesz się mył, ani czesał, nie będziesz obcinał paznokci ani włosów i nie będziesz się modlił rano ani wieczorem. Dam ci ten zielony surdut, a skóra niedźwiedzia będzie twoim płaszczem i łożem; innego mieć ci nie wolno. Przez ten czas będziesz miał zawsze pieniędzy pełną kieszeń, a potem do końca życia ile zechcesz. Jeżeli umrzesz w ciągu tych lat siedmiu, jesteś moją własnością, ale jeśli żyć będziesz, pozostaniesz wolnym i na mocy naszej umowy żadnego nie będę miał prawa do twojej duszy. No, zgoda?

— Jeśli przeżyję lat siedem, nie będziesz miał do mnie prawa?

— Żadnego.

— Hm — mruknął żołnierz wspomniawszy o kulach, strzałach i mieczach, pomiędzy którymi uwijał się tylokrotnie, a śmierć go nie dosięgła, może i teraz się uda. Ha, co będzie, to będzie!

— Zgoda — rzekł stanowczo.

— To mi się podoba. Kładź mój surdut, Niedźwiadku (tak się nazywać będziesz), a skórę sam zdejm sobie. Do widzenia za lat siedem.

I zniknął.

Żołnierz popatrzył za nim, ruszył ramionami i miał ochotę się przeżegnać, ale w porę przypomniał sobie, że mu tego nie wolno; włożył zielony surdut, sięgnął do kieszeni, a przekonawszy się, że w niej pełno złota, obciągnął skórę z niedźwiedzia i poszedł do miasta.

Dobrze mu się wiodło przez rok cały: używał, hulał, nie tracił humoru, ubogim hojne rozdawał jałmużny i nie brakło mu wesołych towarzyszów zabawy. Ale już w drugim roku zaczął wyglądać jak potwór: paznogcie zamieniły mu się w sępie szpony, twarz cała porosła włosem, a była

tak brudna, że gdyby posiano na niej zboże, wyrosłoby niezawodnie. Ludzie zaczęli uciekać od niego, za wszystko musiał płacić dziesięć razy więcej niż każdy inny, bo nie chciano mu nic sprzedać ani udzielić pod dachem schronienia. Coraz też większe sypał dary ubogim, polecając się ich modlitwom, aby go Bóg przez lat siedem zachował od śmierci. Ale ciężej mu było prawie z każdym tygodniem. Sypiał na niedźwiedziej skórze w pogodę pod gołym niebem, ale w zimno, mróz, zawieruchę trudno mu było bardzo znaleźć sobie gospodę; a do stołu nikt go przyjąć nie chciał, tak że i za drogie pieniądze licho żywić się musiał.

Raz, było to już w czwartym roku tej jego ciężkiej pokuty, zmokły i głodny zaszedł do oberży, ale gospodarz nie tylko do izby wpuścić go nie chciał, lecz oborę i stajnię zamknął przed nim, aby mu zwierząt nie wystraszył. Wtedy Niedźwiadek pokazał mu pełną garść złota i sięgnął po drugą jeszcze; to wzruszyło oberżystę i wpuścił go na koniec do jakiejś pustej izby przykazując surowo, aby się nikomu nie pokazywał.

Przyniesiono mu jedzenie, zaspokoił

głód i położył się w kącie izby na niedźwiedziej skórze. Wieczór już zapadł, więc chciał usnąć co prędzej, gdy w sąsiednim pokoju usłyszał ciche szlochanie.

Podniósł się, nasłuchuje: ktoś przemawia głośno z wyrazem wielkiej rozpaczy, to znów szlocha i jęczy.

Były żołnierz miał dobre serce; korzystając ze zmroku odważnie drzwi uchylił i zajrzał do izdebki. Ale na jego widok znajdujący się tam mężczyzna z przestrachem chciał uciekać.

— Zatrzymaj się, w imię Boże; nic ci złego nie zrobię! — zawołał nieszczęśliwy potwór.

Usłyszawszy głos ludzki człowiek zatrzymał się na progu, a były żołnierz łagodnymi, serdecznymi słowy zaczął go wypytywać o powód zmartwienia. Nieszczęśliwy opowiedział, iż był w wielkiej nędzy, po ciężkiej chorobie niezdatny do pracy, a że nie miał czym spłacić długu, chciwy oberżysta zagroził mu, że go każe wtrącić do więzienia.

— O, jeśli o to idzie, to nie troszcz się o pieniądze; dopomogę ci chętnie, tylko pa-

miętaj co dzień zmówić pacierz, żeby mnie Pan Bóg jeszcze przez lat cztery zachował przy życiu.

To powiedziawszy wysypał pełne kieszenie złota biedakowi i śmiał się patrząc na jego radość i zdziwienie.

— Słuchaj — rzekł ten ostatni — nie wiem, jak mam ci dziękować! Jesteś moim dobroczyńcą. Chodź do mego domu, mam trzy córki, piękniejsze od samej jutrzenki; gdy się dowiedzą, coś dla nas uczynił, każda z nich chętnie będzie twoją żoną, więc sam wybierzesz, która ci się spodoba.

Zgodził się na to chętnie Niedźwiadek i poszli razem.

Ale najstarsza córka ujrzawszy potwora, o którym ojciec przedtem opowiedział wszystko, przelękła się i uciekła z płaczem i krzykiem do lasu. Druga stanęła w miejscu niby skamieniała i długo słowa przemówić nie mogła; na koniec rzekła:

— Alboż to człowiek! Ma głos ludzki i złoto, lecz wstrętniejszy jest od zwierzęcia. Wolałabym umrzeć zaraz, niż zostać jego żoną.

Lecz trzecia rzekła:

— Drogi ojcze, snadź dobry to człowiek, skoro cię ocalił od nieszczęścia, a nas od sieroctwa i nędzy. Obiecałeś mu, że jedna z nas zostanie jego żoną i musimy słowa dotrzymać. Ja będę ci posłuszna.

Biedny Niedźwiadek milczał, ale serce biło mu w piersi niby ptak uwięziony, kiedy słuchał tych słów poczciwych. Potem zdjął pierścień z palca, rozłamał na dwoje, dał dzieweczce połowę, sam zachował drugą i przemówił łagodnie:

— Zobaczymy się za trzy lata, przez ten czas muszę jeszcze podróżować. Tymczasem módl się za mnie. Gdybym nie powrócił, znak to, że już nie żyję, a ty jesteś wolna. Gdy powrócę, zażądam połowy pierścienia, więc chowaj go do tego czasu.

I odszedł.

Ojciec uściskał córkę ze łzami i ona łzy miała w oczach, ale się nie rozpłakała: nie chciała martwić go daremnym żalem. Ubrała się jednak czarno, nie śmiała się nigdy i w pracy i modlitwie szukała pociechy. Ojciec kochał ją odtąd więcej niż poprzednio, lecz siostry naśmiewały się z niej bezustannie i dręczyły ją swymi żartami.

— Strzeż się — mówiła starsza — bo twój piękny małżonek, jak cię uściśnie kiedy to i zdusi na miejscu. Prawdziwy niedźwiedź mniej strasznie wygląda.

— Albo zje — dodawała druga — tyś taka słodka, a wiadomo przecie, że niedźwiedzie lubią słodycze.

— Pięknie będziecie wyglądali przy ślubie!

— A jeszcze lepiej w tańcu: niedźwiedzie tańczyć lubią.

I śmiały się obydwie, a dziewczę w milczeniu połykało łzy gorzkie, lecz nie zmieniło swej woli.

„Co ojciec postanowił, dziecko spełnić powinno" — mówiła sobie w duszy i pracowita, cicha, niby cień jaki snuła się po domu nie odpowiadając siostrom na ich przykre żarty.

A tymczasem Niedźwiadek wędrował po świecie, ogromne dary sypał ubogim, cierpiącym, aby się modlili za niego, a sam cierpliwie czekał wybawienia. O przyjemnościach teraz mowy być nie mogło, ścigany wszędzie krył się w gęstych lasach podstępem lub przemocą zdobywając pożywienie.

Uważano go za osobliwsze zwierzę i nawet złoto nie mogło ulżyć jego niedoli.

Wybiła jednak wreszcie ostatnia godzina, siedem lat się skończyło i nieszczęśliwy potwór pośpieszył na step szeroki, gdzie po raz pierwszy spotkał kusiciela w zielonym surducie.

Niedługo czekał. Wiatr zaświszczał przeraźliwie, step jęknął głucho i wysoki człowiek z końskimi kopytami stanął przed nim znowu.

— Oddawaj mi mój surdut! — rzekł ze złością jawną rzucając mu na ziemię żołnierskie ubranie.

— Hola, mości diable, nie tak prędko! Pierwej zrób ze mnie człowieka. No, do roboty!

I diabeł chcąc nie chcąc musiał zabrać się do roboty. Przyniósł wody i szczotki, rozpalił wielki ogień, rozgotował mydła i różnego ziela, potem w ogromnym kotle wykąpał Niedźwiadka, obciął mu paznogcie, włosy, wyprał brudną bieliznę, a kiedy dawny żołnierz ubrał się w swoje suknie, wyglądał piękniej niż dawniej i przejrzawszy się w wodzie aż zaśpiewał z radości.

— No, teraz postaw mi tu worek złota, drugi pełen diamentów, trzeci pełen pereł, a oddam ci zielony surdut i niech cię oczy moje więcej nie zobaczą.

Diabeł i to spełnić musiał, a ponieważ żołnierz nie mógł swoich bogactw sam zabrać ze stepu, kazał mu jeszcze przyprowadzić osła i pożegnawszy przekleństwem spoconego szatana udał się wprost do miasta. Tu kupił sobie piękny dom z ogrodem, wspaniały powóz i cztery rumaki; potem wynajął służbę i przybrawszy się w kosztowne, aksamitne ubranie pojechał do narzeczonej.

Kiedy wspaniały powóz zajechał przed ubogi domek, ojciec i starsze córki wybiegły naprzeciw gościa, wprowadzili go do pokoju, częstowali miodem i pszennym pieczywem i gościnnie zabawiali do południa. Nieznajomy obu siostrom podobał się bardzo, bo tak pięknego chłopca w życiu nie widziały, więc każda chciała zwrócić jego uwagę na siebie i najsłodszym głosem zachęcała, by się pokrzepił i wypoczął. Najmłodsza tylko córka nie odzywała się wcale; w czarnej sukience, ze spuszczonym

wzrokiem, zajęta pilnie robotą, siedziała przy oknie i jakby nie wiedziała, co się wkoło niej dzieje.

Nieznajomy pił, rozmawiał i śmiał się wesoło, bo mu przyjemnie było pośród ludzi; lecz choć życzliwie patrzał na piękne dziewczęta, częściej spoglądał na czarno ubraną dziewicę i zapytał na koniec o powód jej smutku.

— Zaręczyła się z Niedźwiadkiem już przed trzema laty i nie może się doczekać swego narzeczonego — zaśmiały się starsze siostry.

Ojciec zgromił je za tę złośliwość, biednej dzieweczce łzy w oczach stanęły, lecz gość oznajmił, że słyszał tak wiele o piękności córek ubogiego człowieka, iż przyjechał tu, ażeby wziąć jedną za żonę.

Usłyszawszy to obie siostry wybiegły z pokoju, aby się przebrać w najpiękniejsze suknie, a tymczasem nieznajomy nalał kubek miodu, wrzucił weń pół pierścienia, które miał przy sobie, podał smutnej dziewczynie i prosił, żeby wypiła.

Nie spojrzała na niego, ale wypiła miód wszystek, a ujrzawszy na dnie kubka poło-

wę pierścienia, zdjęła z szyi czarną plecionkę ze swoją połową i złożyła obie razem.

— Jesteś moją narzeczoną — rzekł wtedy gość nieznajomy — pozostałaś mi wierną, więc gdy z łaski Boga odzyskałem znów ludzką postać, będę cię kochał aż do śmierci, otoczę szczęściem, bogactwem i spełniać będę wszystkie twe życzenia, jak ty spełniałaś wolę ojca. Patrz, czysty jestem dzisiaj, możesz mi podać rękę.

To mówiąc wziął ją za rękę i całował serdecznie, a w tejże chwili weszły starsze siostry, strojne i uśmiechnięte, chociaż z niepokojem i brzydką zazdrością w sercu, gotowe skrycie szkodzić jedna drugiej, byle zdobyć pięknego męża. Dowiedziawszy się prawdy pobladły obydwie i wybiegły z krzykiem, a przed wieczorem jedną znaleziono w rzece, drugą — powieszoną na drzewie.

O północy ktoś zapukał do drzwi byłego żołnierza. Podniósł się z łóżka, otworzył, ale drgnął cały, ujrzawszy diabła w zielonym surducie.

— Nie bój się — rzekł ten ostatni — przecież byłeś żołnierzem! Chciałem ci po-

wiedzieć tylko, że nie straciłem na tobie: mam dwie dusze za twoją jedną!

Odtąd były Niedźwiadek nie spotkał już więcej swego kusiciela i wroga; żył pobożnie, wspierał ubogich, czynił wiele dobrego, a poczciwa i dobra żona pomagała mu we wszystkim.



KRÓLEWICZ ORLIK NIEUSTRASZONY

Jedynakiem był u ojca królewicz Orlik, lecz choć w domu matka pieściła, ojciec nie krępował woli, świat nęcił go pragnieniem tak potężnym, że nie mógł usiedzieć w domu.

— Ojcze, matko — mawiał — nie gniewajcie się na mnie, że od was chcę uciekać; przecież powrócę znowu; chcę tylko poznać różne dziwy na tym świecie, o których starzy ludzie tyle opowiadają; chcę popróbować sił swoich, pomóc dobrym, złych pokonać; człowiek nie trawa, żeby się ruszyć nie mógł.

Matka z niepokojem wielkim słuchała słów syna drżąc na myśl o niebezpieczeństwach, jakie spotkać może, a szukać będzie na pewno, lecz ojciec pomyślał tylko, że i sam w tym wieku podobne miał pragnienia, więc nie dziwił się wcale.

— Jedź, synu — rzekł poważnie — a wracaj z zasługą. Świat wielki, spotkasz na nim karłów, olbrzymów, potwory, pamiętajże śmiało stać zawsze w obronie prawdy, a tępić złość i obłudę. Karłom nie wierz, bo podstępne są i złośliwe najczęściej, zwykle posiadają wielkie skarby w podziemiach ukryte, lubią też szkodzić silnym, lecz zdarzają się między nimi także dobrzy i szlachetni. Olbrzymów się nie lękaj, wielcy oni ciałem, ale rozumem dzieci. Opanować ich łatwo i oszukać nawet, gdyż bywają łatwowierni i niedaleko widzą. Zresztą miej zawsze tylko czyste i odważne serce, a ręka ci nie zadrży w walce; pamiętaj też, że dobre zawsze zwycięży, a złe ukarane być musi.

Dał synowi zbroję złocistą, ostrą szabelkę, siwego konika i pobłogosławił na drogę, a matka tylko zapłakała z cicha i kosztowny talizman zawiesiła mu na piersi. Królewicz Orlik uściskał rodziców, przyrzekł o ich radach pamiętać, za rok powrócić i pojechał wesoło.

Jedzie dzień, drugi, trzeci, wciąż prosto przed siebie, podziwia wszystko, jakby

wyrwał się z więzienia; wszystko mu piękne, nowe, chciałby zabrać z sobą ziemi i nieba i wiatru obcego, bo wszystko inne, odmienne niż w domu.

Lecz dziw nad dziwy! po dość długiej drodze ujrzał przed sobą ogromny budynek i zaraz się domyślił, że to mieszkanie olbrzymów. Dom był z wielkich kamieni i całych drzew zbudowany, nie piękny ani zgrabny, lecz wielki jak góra, z ogromnymi drzwiami i oknami. Drzwi zamknięte były, więc królewicz Orlik zapukał śmiało, ale że nikt nie otworzył, usiadł sobie przed domem na ściętym pniu drzewa i ciekawie patrzał dokoła. Na podwórzu leżały porozrzucane kręgle wielkości człowieka i kule jak beczki małe.

Odpocząwszy chwilę królewicz poustawiał kręgle, uderzał w nie kulami, śmiał się przy tym głośno, co wszystko razem taki sprawiało hałas, że śpiący w domu olbrzym zbudził się nareszcie i wyjrzał oknem, aby się przekonać, kto mu zuchwale zakłóca spoczynek. Zobaczywszy człowieka, zdziwił się niezmiernie.

— Ach, ty robaku! — rzekł z politowaniem — po co się porywasz na to, do czego sił nie masz? To nie dla ciebie zabawka.

— Widzisz, że się nią bawię — odparł królewicz śmiało. — Nie myśl, żeś silniejszy, choć olbrzymem jesteś; jam tylko człowiek, a nie lękam się ciebie i nie cofam się przed niczym, pewny, że zdobędę wszystko, czego tylko zapragnę.

— Widzę, żeś odważny — zauważył olbrzym — i pewny swojej siły, jeśli więc rzeczywiście jesteś taki, jak mówisz, mógłbyś mi oddać przysługę: zerwij mi złote jabłko z drzewa życia.

— O! — zawołał królewicz — to mi się podoba. Ale chcę wiedzieć pierwej, jaki z niego zrobisz użytek?

— Moja narzeczona żąda go ode mnie, inaczej nie chce zostać moją żoną. Już cały świat obszedłem szukając tego drzewa, ale go nie mogę znaleźć.

— Ja go znajdę — rzekł królewicz — i jabłko ci przyniosę.

— Zobaczymy, robaku; nie wyobrażaj sobie, że to będzie tak łatwo. Drzewo życia rośnie w ogrodzie, otoczonym wysokim

murem, bramy strzegą dzikie zwierzęta, a samo jabłko ten tylko zerwać może, kto sięgnie po nie przez żelazny pierścień, zawieszony na drzewie. Mój ojciec znalazł raz już drzewo życia, lecz ręka jego nie zmieściła się w pierścień i o mało nie został rozszarpany przez tygrysy.

— O mnie się nie lękaj — zaśmiał się królewicz — poradzę sobie z nimi.

I poszedł rad, że znalazł nowy cel podróży. Mijał góry i doliny, lasy, pola, rzeki, aż po niejakim czasie ujrzał piękny ogród, otoczony wysokim murem. Wkoło leżały dzikie zwierzęta i spały, gdyż południe było skwarne, a podczas nocy czuwając, w dzień bardziej zwykle bywały zmęczone. Królewicz wiernego siwka przywiązał do drzewa, sam lekko przez lwa przeskoczył, wdrapał się zręcznie na mur wysoki i za chwilę był w ogrodzie. Pośrodku stało wielkie drzewo życia, a złote jabłka świeciły na nim z daleka. Królewicz Orlik bez trwogi dostał się na drzewo, zaledwie jednak sięgnął po najbliższe jabłko, ujrzał przed nim żelazny pierścień, ostry jak miecz obosieczny, w rurkę zwinięty. Pier-

ścień zdawał się tak małym, że nie mógł przypuścić, aby rękę swobodnie mógł przezeń przesunąć, ale powiedział sobie: „Kto chce coś zdobyć na świecie, nie powinien żałować kropli krwi przelanej!“ — i śmiało wsunął rękę w ostry otwór. Wsunął ją szybko, szybko też ból minął, kropla krwi padła na zielone liście, a żelazny pierścień przystał mu do ręki, jak gdyby był z nią zrosły. I w tej samej chwili uczuł dziwną siłę w ramieniu. Zerwał jabłko, zeszedł z drzewa i spokojnym krokiem zbliżył się do żelaznej bramy, wstrząsnął nią i z łoskotem upadła na ziemię. Zbudził się lew, śpiący pod nią, spojrzał na królewicza, na złote jabłko w jego dłoni, pierścień w ręku, i mruknąwszy z cicha poszedł za nim pokorny jak pies za swym panem.

Wesoło powrócił teraz królewicz do olbrzyma przynosząc obiecane jabłko. Olbrzym ucieszył się również i natychmiast ofiarował je swojej narzeczonej. Lecz narzeczona nie chciała uwierzyć, że sam zdjął je dla niej z drzewa i zażądała, aby pokazał jej pierścień.

— Zaraz ci go przyniosę — rzekł ol-

brzym zuchwale myśląc sobie, że jeśli Orlik nie odda mu dobrowolnie, łatwo przemocą pierścień mu odbierze.

Pospieszył więc do królewicza i zażądał tego krwią kupionego dowodu zwycięstwa; ale królewicz odparł, że dać go nie może, chyba za cenę krwi także.

— Kto ma jabłko, do tego i pierścień należy! — dumnie zawołał olbrzym — i jeśli go nie dasz, zgniotę cię jak muchę i wezmę, co mi się podoba.

— Zobaczymy — rzekł Orlik — i dobył szabelki.

Rozpoczęła się walka, lecz ramię człowieka, cudowną siłą pierścienia wzmocnione, odpierało skutecznie ciężkie razy olbrzyma. Zręczny i lekki królewicz niebezpiecznym był przeciwnikiem dla potężnego, ale niezgrabnego wroga, więc walczyli obaj długo i nikt zwyciężyć nie mógł.

Olbrzym zmęczył się pierwszy, a dysząc wściekłością postanowił użyć podstępu.

— Odpocznijmy — rzekł do Orlika — możemy tymczasem ochłodzić się kąpielą w jasnych nurtach rzeki, a potem rozpoczniemy znów przerwaną walkę.

Rycerski Orlik nie podejrzewał fałszu i bez wahania zgodził się na przerwę. Obaj zrzucili suknie i skoczyli do rzeki, lecz gdy królewicz odpłynął od brzegu, olbrzym wynurzył się z wody i szybko porwał żelazny pierścień, na sukniach złożony. Orlik patrzał na to więcej zdziwiony niż gniewny, nie mógł prawie uwierzyć, aby silny olbrzym takim sposobem chciał zdobyć fałszywy dowód zasługi i myślał, iż żartuje chyba. Ale lew wierny ryknął strasznym głosem, rzucił się na potwora i gwałtownym ruchem wydarł mu pierścień i złożył u nóg królewicza.

Olbrzym zgrzytnął zębami i korzystając z tego, że młodzieniec odwrócony zaczął ubierać się śpiesznie, chciał go powalić silnym uderzeniem. Orlik zgiął się jak trzcina i wyprostował znowu, a wtedy wściekły olbrzym tak gwałtownie spuścił swoją pięść ogromną na twarz nieszczęśliwego młodzieńca, że oczy jak dwa szkiełka prysnęły od razu.

Jęknął królewicz z bólu; olbrzym triumfował.

— Oddaj mi pierścień, jesteś pokonany.

— Odbierz mi pierwej życie.

— Więc zginiesz! — ryknął olbrzym i wyniósł go na szczyt skały, otoczonej przepaściami i postawił na małym cyplu, gdzie krok każdy zgubą być musiał.

Orlik stał spokojnie nie wiedząc, gdzie się znajduje, lecz gdy olbrzym się cofnął, aby go strącić, lew tak silnie pchnął go całym swoim ciałem, iż potwór sam wpadł w przepaść i roztrzaskał się o skały.

Wówczas lew wierny zbliżył się do swego pana i ostrożnie wpół niosąc sprowadził go w dolinę. Tutaj spoczęli obaj przed dalszą podróżą, a nazajutrz o świcie przybyli do źródła, które tryskało z kryształowej skały, pod cieniem srebrnej brzozy i zielonego świerku. Gdy pierwszy promień słońca padł na szemrzącą wodę, lew umaczał w niej swoją łapę i prysnął w twarz królewicza, który chociaż zupełnie nie odzyskał wzroku, dostrzegł jednak wkoło siebie niewyraźne kształty i cienie.

Lew nie ruszał się z miejsca, a królewicz Orlik myślał ze smutkiem o powrocie do do-

mu. Cóż pocznie pozbawiony wzroku? czegoż dokonać może? Jak trafi teraz do ojcowskiego gniazda? co powiedzą rodzice ujrzawszy go ślepym prawie?

Wtem spostrzega jaskółkę, która niepewnym lotem, uderzając o każde drzewo, wytrwale dąży do źródła.

„Biedna ptaszyno — pomyślał z litością — i ty nie widzisz, co ciebie otacza, jak ja jesteś nieszczęśliwa!“

Lecz jaskółka uderzywszy się o srebną brzozę, upadła w strumień i natychmiast wesoło zaszczebiotała wzlatując do góry i otrzepując mokre jeszcze skrzydła. Potem poleciała swobodnie omijając drzewa i zniknęła w głębi lasu.

— Czy to twój zesłaniec, Boże? — zawołał królewicz wzruszony i uszczęśliwiony.

Z pośpiechem zanurzył twarz i głowę w wodzie, a gdy się wyprostował i spojrzał wokoło, widział znów wszystko jasno i dokładnie.

Wypocząwszy i odszukawszy swego konika puścił się Orlik śmiało w dalszą drogę, szukać nowych walk i przygód. Poznał już

teraz trochę świat i niebezpieczeństwa, lecz nie nasycił swojej ciekawości, więc powędrował dalej.

I znowu wszystko piękne mu się wydało, każdy dzień inny, nowy i przyjemny, drobne zdarzenia bawiły go i zajmowały. Tam zajączka wybawił z ostrych szponów wilka, a ten za to wskazał kryjówkę wiewiórki, napełnioną złotymi orzechami; tu pokonał srogiego drapieżnego niedźwiedzia, który pszczołom miód odbierał, a królowa matka ofiarowała mu za to plaster miodu, z którego mógł czerpać co dzień i zawsze miał go znów pełnym patoki; na koniec jeleń, od którego obronił karła, rozdarł mu rogiem czoło na pamiątkę. Królewicz śmiał się z tego i jechał wciąż dalej.

Aż dnia jednego zatrzymał się przed starym zamkiem, który wyglądał dziko i ponuro na tle ciemnego nieba. Burza nadciągała właśnie i wieczór się zbliżał. Orlik szukał na noc przytułku, a ta dziwaczna ruina zaciekawiała go swym opuszczeniem. Czyżby w niej nikt nie mieszkał?

Nie była jednak pusta: na rogu obszernej sali spotkała go kobieta młoda, wysoka,

zgrabna, ale z czarną twarzą i popatrzywszy uważnie na gościa rzekła z westchnieniem:

— Ach, gdybyś zechciał być moim wybawcą! Patrz, jak szkaradne czary rzucono na mnie nieszczęśliwą.

— Cóż mam robić? — spytał królewicz.

— Nie znać trwogi przez trzy noce w tej sali.

— Czy to tylko?

— Tak, lecz nie myśl, aby to było łatwe. Niejeden już szlachetny i odważny rycerz próbował nadaremnie. Wróg mój jest potężny. Jeśli chcesz mnie wybawić, musisz tu spędzić trzy noce, nie doznać strachu i nie wymówić ani jednego wyrazu.

— Nie lękam się niczego — zawołał Orlik śmiało — i przy pomocy Bożej pragnę cię wybawić z mocy niegodziwego czarodzieja.

Czarna dziewica powiedziała mu jeszcze, że musi się z lwem rozdzielić i wierne zwierzę zabrała z sobą; królewicz zaś spokojnie położył się na ławie, kazał rozpalić ogień na kominku i zasnął oczekując, co nastąpi.

O północy ocknął się nagle zbudzony strasznym hałasem: drzwi główne padły, wysadzone z zawias, wszystkie sprzęty zadrżały, ogień przygasł na kominku i przy niepewnych, groźnych jego błyskach, wśród okropnego ryku wpadły do ciemnej sali potwory, diabełki i dzikie zwierzęta węsząc, sapiąc i wyjąc.

Orlik usiadł na ławie mocno ściskając szablę, gdy nagle rozległ się śmiech przeraźliwy i niewidzialna siła wytrąciła mu broń z ręki. Zerwał się na równe nogi, gdyż olbrzymi niedźwiedź w tej samej chwili rzucił się na niego stanąwszy na tylnych łapach. Porwany w straszne objęcia, nieszczęśliwy Orlik upadł na ziemię, próżno starając się walczyć; szarpany, bity, kłuty, deptany nogami, stracił na koniec zupełnie przytomność, ale nie wydał krzyku ani jęku i gdy kur zapiał wszystko zniknęło od razu.

O świcie czarna dziewica weszła do komnaty z wodą gojącą i uzdrawiającą, pokropiła ciężkie rany, obmyła ciało Orlika, który powstał silny i zdrowy jakby go nic nie spotkało. Pozdrowił ją uprzejmie i za-

uważył z radością, że nogi jej były białe, chociaż twarz i ręce zachowywały jeszcze barwę najczarniejszego węgla.

— Czy zostaniesz na noc drugą? — spytała dziewica, a gdy królewicz oznajmił, że jest to jego zamiarem, rozpłakała się z radości i nie wiedziała sama, jak ma dziękować za tyle dobroci.

Potem przyniosła jadła i napoju, aby królewicz pokrzepił swe siły i zaprowadziła go na wygodne łoże, aby wypoczął przed nową, jeszcze trudniejszą próbą.

Przed wieczorem Orlik dosiadł swego siwka i przejechał się po lesie, gdyż widok błękitnego nieba, świeżej zieleni, wody, chłodny powiew wiatru, sprawiały mu przyjemność większą niż kiedykolwiek i powracały spokój i nadzieję. Nie lękał się i dziś niczego, ale przyszło mu na myśl, że może utracić życie, a wtedy ani zaklęta ofiara nie odzyska praw utraconych, ani on nie zobaczy więcej drogich rodziców.

Tymczasem noc zapadła i królewicz odważnie zajął swoje miejsce wczorajsze na ławie. I znowu cicho było do 12-ej, lecz o samej północy brzęknęły łańcuchy, otworzy-

ła się jedna ze ścian komnaty i powoli wchodzić zaczęły szkielety wlokąc za sobą ciężkie, żelazne kajdany. Jęczeli przy tym przeklinając tych, którzy za życia pozbawili ich wolności i pozwolili umrzeć z pragnieniem zemsty i nienawiści w sercu. Na to odpowiedział im śmiech dziki, złowrogi, a jednocześnie blask czerwony zajaśniał w sali: to w zastawionych na stole pucharach palił się podany napój.

Szkielety rzuciły się chciwie do płomiennych dzbanów, lecz gdy je podniosły do ust, nagle zadrżały ściany, rozpadły się na szczątki świecące naczynia i śmierć koścista z kosą stanęła na progu.

— Za wcześnie! — rzekła. — Jak śmiecie sięgać po puchar umarłych, gdy oczy żyjące patrzą na was.

To mówiąc wskazała Orlika.

Szkielety z dzikim wyciem rzuciły się ku niemu, lecz jeden mały, garbaty, bez ręki, zatrzymał się przed śmiercią i zapytał:

— Czym oddamy go w moc twą, pani nasza i królowo?

— Niech mnie wezwie na pomoc.

Zaśmiały się szkielety i porwawszy za ręce królewicza rozpoczęły z nim taniec dokoła pokoju.

Silny był Orlik, ale jego siła nic tu podołać nie mogła w tym szalonym wirze. Pomimo ciężkich kajdan, szkielety ściskając go kościstymi palcami pędziły jak wicher, uderzały go głową o mury, o sprzęty i z krzykiem, zgrzytem, śmiechem kręciły wciąż w kółko, tłocząc się jedne na drugie, popychając, uderzając... Jeden szarpnął go mocniej i wyrwana ręka padła na ziemię, więc schwycił za nogę i wlókł go dalej; inny w tym szalonym pędzie zaczął mu kręcić głowę w drugą stronę, aż wykręcił ją z ciała niby śrubkę z drzewa; pomimo to jednak głowa czuła wszystko i ciało czuło także, szarpane i darte przez okrutnych dręczycieli.

— Skiń na mnie, a odpoczniesz! — rozległ się pisk śmierci, która spokojnie stała w progu ze swą kosą.

Ale królewicz Orlik, chociaż nie wątpił wcale, że uderzyła jego ostatnia godzina, spojrzał tylko z oburzeniem na kościstą kusicielkę, która razem z życiem chciała po-

zbawić go zasługi spełnienia podjętego obowiązku.

Nagle kur zapiał i wszystko zniknęło. Orlik stracił przytomność i obudził się dopiero, gdy o świcie czarna dziewica weszła z wodą życia, zagoiła ciężkie rany, pokrzepiła członki i z trwogą zapytała, czy nie zrzekł się zamiaru wybawienia jej z mocy wroga.

Królewicz podniósł się zdrowy i silny, spojrzał na jej białe ręce i wzrok niespokojny i oznajmił, że pragnie dokończyć, co zaczął i ma nadzieję przetrwać jeszcze noc ostatnią.

— Ta najcięższa pewno będzie — szepnęła czarna dziewica, lecz Orlikowi zwalczone trudności i przecierpiane męki dodawały męstwa.

— Tchórz cofa się w pół drogi, mężny pójdzie naprzód! — odparł stanowczo i zasiadł do stołu, gdzie już oczekiwało nań wyborne śniadanie.

Dzień upłynął mu jak poprzednio, z tą tylko różnicą, iż doznawał dzisiaj dziwnej ciekawości na myśl o zbliżającej się nocy. To, co zniósł dotąd, wydawało mu się tak

okropne, iż nie wiedział, czego jeszcze mógłby się lękać. Przekonał się, że śmierć sama nie ma nad nim mocy, odkąd poznał cudowną własność wody odżywiającej, więc rad był prawie, że znajdzie sposobność okazania się niewzruszonym wobec potężnego wroga.

Z zapadnięciem nocy udał się znowu do sali i spokojnie usiadł na ławie. Gdy północ uderzyła, zerwał się z pułapu uśpiony tam nietoperz i otworzył okno, przez które z szalonym śmiechem wpadać zaczęły potwory, zdolne zatrwożyć samym swym widokiem najodważniejsze serce. To olbrzymia, ohydna głowa toczyła się niby piłka ślad krwi za sobą znacząc, to zwierzęta dziwne z ludzkimi twarzami wlatywały na ognistych skrzydłach, to członki ludzkie albo kadłuby bez głowy. Poza tym wszystkim wpadło dwunastu diabełków, małych, krzykliwych, śmiejących się, z rogami i ogonami, ale wesołych jak dzieci.

Całe towarzystwo zasiadło na środku sali i zaczęło grać w kości. Ten, który przegrał, gwizdał i oznajmił, że nie zapłaci, bo przegrał dlatego, że w sali jest dusza ludz-

ka, którą swym towarzyszom odda za przegraną.

To powiedziawszy zbliżył się do królewicza, który jednak kopnął go tak zręcznie, że diablik fiknął kilka koziołków w powietrzu i stanął na równe nogi wśród gromadki. Wtedy całe to dziwaczne mrowisko niby wzburzone morze posuwać się zaczęło ku bohaterskiemu Orlikowi, który z zapałem w oku i zaciśniętą pięścią, gotów rozpocząć walkę, stał w rogu komnaty.

Wtem z rykiem i łoskotem otworzyło się sklepienie i między królewiczem a złowrogą zgrają stanął olbrzymi diabeł z ognistym berłem w dłoni.

— Precz! — krzyknął i jak fala cofnęły się wściekłe szeregi.

Potem grzecznym ukłonem pozdrowił młodzieńca i skinął berłem na prawo. Orlik mimowolnie zwrócił wzrok w tym kierunku i z ust jego o mało nie wyrwał się krzyk przerażenia: W dali ujrzał rodzinny zamek, tak przejrzysty, jakby mury jego z najcieńszego były kryształu. Zamek ogarniały płomienie: wróg zwycięski je podłożył, aby tylko gruzy pozostawić na miej-

scu grodu. W głównym przedsionku siwy ojciec jego broniąc wejścia do komnat padł ugodzony toporem i kona samotny wśród krwi, dymów, błysków i ognia, a w płonącym pałacu wróg gospodaruje; królowa w kajdanach, blada, czeka na wyrok śmierci szepcząc imię męża i syna; waleczni jej obrońcy polegli albo w niewoli.

Królewicz Orlik patrzał na to wszystko z sercem skamieniałym z bólu, lecz szatan zaśmiał się głośno i szepnął:

— To przyszłość!

Potem skinął berłem na lewo i królewicz ujrzał ojczyste gniazdo nietknięte, spokojne; ojciec z drużyną zasiadł do wieczerzy, pije ze srebrnego kubka, a rycerzom opowiadać każe, co który widział na świecie, a sam myśli pewno o swoim nieobecnym synu. Matka stoi na wieżyczce i przez wysokie okno patrzy na drogę, czy nikt nie powraca, czy gość spóźniony nie zapuka dzisiaj do bramy zamku. Kogo tak wygląda? — łatwo odgadnąć. A nie widzi tego, że ukryty wśród skał i lasów, zbliża się wróg potężny na czele zbrojnych tysięcy, by spokojny

zamek zburzyć i spalić, a jego mieszkańców pomordować bez litości.

W zamku nikt o tym nie wie, nikt nie gotów do obrony.

— Żądaj, a w mgnieniu oka przeniosę cię tam na mury i ocalisz kraj i rodziców, których los okrutny ukazałem ci przed chwilą — podstępnie szepnął szatan.

„Kłamiesz, nikczemny!“ — chciał zawołać Orlik, ale powstrzymał się znowu przypomniawszy sobie, iż jeden wyraz przez niego wymówiony grozi zgubą i jemu i czarnej dziewicy. Więc oburzony, że podłym podstępem chciano mu wydrzeć z duszy jęk rozpaczy, z całą wściekłością uderzył szatana ręką, której pierścień żelazny użyczył niezwykłej siły.

Zawył syn Lucypera, pociemniało wszystko, diabliki i potwory rzuciły się na bohatera, lecz on odbierając razy nie żałował i swojej pięści i upadł wyczerpany dopiero w tej chwili, gdy głos koguta spłoszył piekielne straszydła.

Kiedy otworzył oczy i spojrzał wokoło, słońce świeciło jasno przez kryształowe okna i oblewało złotym blaskiem komnatę

najwspanialszą na całym świecie. Złotem, drogimi kamieniami i perłami haftowane materie pokrywały ściany aż do ziemi, wkoło stały bogate sprzęty z koralu i perłowej muszli, a on spoczywał wygodnie na koralowym łożu i nie czuł żadnego bólu ani utrudzenia.

Uszczęśliwiony zerwał się z posłania i w tejże chwili ciche lecz cudowne dźwięki niewidzialnej muzyki zachwyciły słuch młodzieńca. Muzyka zwolna zbliżać się zdawała, otwarto drzwi szerokie i do pokoju wszedł orszak cudownych dziewic w strojach bogatych, a pośród nich najpiękniejsza, złotowłosa królewna w diamentowej koronie i szacie perłami tkanej.

Zbliżywszy się do Orlika przecudna królewna odrzuciła z oblicza przejrzystą zasłonę i rzekła głosem do śpiewu słowika podobnym:

— Ja jestem czarna dziewica. Dzięki twej odwadze odzyskałam królestwo i własną swą postać. Czymże ci się odwdzięczę? Chcę być twoją niewolnicą, a państwo moje odtąd należy do ciebie. Rozkazuj, słuchać cię będę.

Królewicz przez chwilkę stał olśniony nie mogąc przemówić ani jednego wyrazu. Nagle wyciągnął ręce, pochwycił królewnę i przycisnął ją do serca. Potem zawołał głośno:

— Tak jest, należysz do mnie i musisz być moją żoną! Niech zajedzie złota kareta, gdyż pragnę natychmiast zawieźć cię do najdroższych stęsknionych moich rodziców.

W trzy dni potem w pałacu królewicza Orlika odbywały się gody weselne; wszyscy byli szczęśliwi, stary król uradowany co chwila wznosił zdrowie swej przyszłej synowej, a królowa matka ze wzruszeniem przyciskała ją do serca.

Odtąd królewicz Orlik nie opuszczał rodziców i żył w państwie swoim szczęśliwy z ukochaną żoną.



SIOSTRA ŁABĘDZI

Szczęśliwie przez długie lata żył sobie król z królową i mieli sześciu synów i córeczkę. Wszystkie dzieci były piękne i kochały się bardzo, a rodzice strzegli tej swojej gromadki od wszelkiego złego i cieszyli się nadzieją, że dzielni synowie sławę i szczęście zdobędą na świecie, a kochająca córka do późnej starości miłością i weselem życie rozpromieniać im będzie.

Tymczasem pewnego razu królowa zasłabła i choć król z całego państwa wezwał mędrców i uczonych, nic jej poradzić nie mogli: umarła wkrótce.

Po śmierci żony król wpadł w taką rozpacz, iż nie przeżyłby tego nieszczęścia, gdyby nie przywiązanie do ukochanych dzieci. Osierocona córka i synowie opłakiwali matkę długo i serdecznie, lecz nie

chcąc martwić ojca widokiem łez swoich i powiększać jego cierpienia, ukrywali smutek głęboki i pocieszali go, jak mogli. Wdzięczny król pojął szlachetne ich serca i bardziej jeszcze kochał je od tego czasu.

Tak upłynęło lat kilka.

Stary król zawsze lubił polowanie, ale od śmierci żony częściej jeszcze szukał rozrywki ścigając po lasach zwierzynę i tępiąc drapieżne potwory. Razu jednego wyjechał jak zwykle na łowy z licznym orszakiem dworzan i rycerzy, a wytropiwszy pięknego jelenia ścigał go przez dzień cały. Nagle zwierz zniknął mu z oczu, a obejrzawszy się w koło monarcha spostrzegł, iż zbłądził w lesie.

Zmrok już zapadać zaczął ciemny i ponury, cisza złowroga panowała w koło. Król podniósł do ust swój piękny róg srebrny w rubinowej oprawie i zagrał tak głośno, że chmury odpowiedziały mu przeciągłym echem. Lecz dworzanie nie usłyszeli tego głosu.

Wtedy zsiadł z konia i szukał ścieżki w lesie, lecz daremnie. Trudno się było nawet przedrzeć wśród gęstych zarośli i z nie-

pokojem myślał, że noc tu spędzić musi sam jeden bez pożywienia i ognia.

Nagle z ciemnej gęstwiny wyszła stara czarownica z dużym, śpiczastym nosem, trzęsącą się głową, ogromnymi zębami i oznajmiła królowi, że może go doprowadzić do stolicy.

— Bardzo ci wdzięczny będę, moja dobra kobieto i otrzymasz nagrodę, jakiej zażądasz sama — rzekł król uradowany obietnicą starej.

— Nagrody, królu, ja nie żądam żadnej — odparła czarownica — lecz musisz się zgodzić na mój warunek, inaczej umrzesz tu z głodu, gdyż bór ten jest pod moją władzą i kto raz się w nim znajdzie, staje się moją własnością.

— A jakiż to warunek? — zapytał król niespokojnie.

— Bardzo przyjemny. Mam córkę, piękniejszą niż słońce, z oczyma jako gwiazdy w noc pogodną, z twarzą jak księżyc jasną, włosami kruczymi, a głosem jak śpiew słowika. Piękność jej godna królewskiej korony. Jeśli się z nią ożenisz, wypro-

wadzę cię na drogę, w przeciwnym razie czeka cię śmierć okrutna.

Król zamyślił się smutnie: co wybrać? Umrzeć i nie zobaczyć więcej drogich dzieci ani królestwa swego, czy dać im macochę? Wahał się długą chwilę, na koniec powiedział, że chce zobaczyć córkę czarownicy.

Świecąc mu swymi oczyma, które błyszczały niby dwa płomyki, stara powiodła go do małej chatki na kurzych łapkach. Na jej rozkaz chatka zwróciła się wejściem do nich, a gdy weszli do izdebki, król ze zdziwieniem ujrzał strojną w jedwab i złoto córkę czarownicy. Siedziała przy kominku piękna jak noc miesięczna; na ciemnych włosach lśnił sierp księżyca z diamentów, dwa sznury wielkich pereł otaczały białą szyję, a skoro przemówiła, głos jej brzmiał tak słodko jak śpiew słowika w maju.

Król powitał ją uprzejmie i oczu oderwać nie mógł od tej czarodziejskiej piękności, a serce jednakże odpychało go od niej i podziwiając ją pokochać nie mógł.

Pomyślał przecież, że takie jego przeznaczenie; dał królewskie słowo, że jutro

orszak swój po żonę przyśle, lecz żądał, aby dziś jeszcze stanął w swoim zamku. Czarownica zadowolona wyprowadziła go na drogę i w kilka godzin potem wjeżdżał do stolicy.

Spieszył głównie dlatego, aby ukryć dzieci, gdyż nie dowierzał ich przyszłej macosze, a zanadto je kochał, ażeby pozwolił wyrządzić im najmniejszą krzywdę. Przy pomocy więc starej niańki osadził je w leśnym zamku, tak ukrytym wśród rozległych, nieprzebytych borów, że sam odnaleźć by go nie potrafił, gdyby niańka nie dała mu cudownej przędzy, z której jedną niteczkę gdy rzucił na ziemię, ta snuła się wciąż przed nim ukazując drogę.

Tak zabezpieczywszy przed macochą ukochane dzieci król, wierny danemu słowu, tegoż jeszcze wieczoru ogłosił królową córkę starej czarownicy i wyprawił świetne wesele.

Młoda pani w mężowskim domu robiła, co chciała: stroiła się w diamenty, perły i szafiry, przędła promienie słońca, tkała blask księżyca i z tego szyła sobie nowe szaty; kąpała się w jasnej rosie, zbieranej z róż

i lilij, śpiewała pieśni słowicze i co dzień była piękniejsza i bardziej urocza, ale król patrzał na nią jak na prześliczny obrazek, a pokochać jej nie mógł.

Zgadywała to królowa i gniewało ją niezmiernie, iż król tak często zostawia ją samą i wyjeżdża na polowanie, a bez niczego powraca; zaczynała przypuszczać, że coś ukrywa przed nią, a gdy nie chciał pozostać nigdy na jej prośby, postanowiła odkryć tajemnicę. Darowała więc swej służebnej sznur prześlicznych korali i obiecała wspanialszy jeszcze podarunek, jeśli się dowie, dokąd król tak często wyjeżdża.

Nie było to rzeczą trudną, gdyż cały dwór wiedział o ukochanych dzieciach z pierwszej żony; wkrótce więc za pomocą hojnych podarunków dowiedziała się królowa nie tylko o ich istnieniu, lecz i o cudownej przędzy, która do nich drogę wskazuje.

Zdobywszy tę tajemnicę przebiegła kobieta podczas snu męża część przędzy zabrała. Potem z pajęczej nici utkała cienkie płótno, uszyła z niego siedem długich białych koszul, spięła je zamiast spinek pają-

czymi oczyma i gdy król rzeczywiście pojechał na polowanie, skrycie wybiegła z zamku ze skradzioną przędzą.

Rzucone na ziemię włókno snuło się szybko przed nią, więc podążała spiesznie, aż jej tchu zabrakło, nim na koniec w niedostępnej i dzikiej gęstwinie ujrzała wysoki, rowem otoczony zamek. Uradowana zaśpiewała jak słowik i natychmiast gromadka jasnych główek i różowych twarzyczek ukazała się w oknach zamku. Na widok zbliżającej się postaci chłopcy wybiegli z domu i pospieszyli naprzeciwko. Myśleli może, że to wysłaniec od ojca. Wtem zła kobieta wymówiwszy słowa zaklęcia puściła na nich z wiatrem siedem utkanych koszul; każda koszulka wpadła na jednego chłopczyka i w tejże chwili sześć białych łabędzi uniosło się ponad drzewa i z żałosnym krzykiem uleciało daleko.

Roześmiała się radośnie kruczowłosa pani i spiesznie zawróciła, by zdążyć do domu, nim mąż z polowania powróci; w pośpiechu tym nie spostrzegła, że jedna z koszulek upadła na krzak cierniowy, a córeczka jej męża nie doznała losu braci.

Król w tajemnicy co dzień odwiedzał dzieci ukochane i dziś więc jak zwykle choć na króciutką chwilkę wpadł do zamku. Lecz jakież było jego przerażenie, gdy dziewczynka wybiegła sama naprzeciw niego opowiadając, co widziała z okna. Król z rozpaczy płakał jak dziecko, ale nie przypuszczał nawet, aby młoda i piękna żona była przyczyną nieszczęścia. Nie chciał swej jedynej córki pozostawić tu dłużej, wolałby ją natychmiast zabrać z sobą do domu, ale dzieweczka bała się macochy i uprosiła ojca, żeby jeszcze noc jedną przepędzić jej pozwolił w tym cichym ustroniu.

Gdy pozostała sama, zapłakała serdecznie żegnając łzami wszystko, co kochała. Żal jej było ojca, ale gorzej jeszcze bała się nieznanej macochy, a przy tym postanowiła iść w świat szukać braci. Ze swym zamiarem nie mogła zwierzyć się nikomu: ojciec nie zgodziłby się na to, służba by jej nie puściła; więc czekała cierpliwie, aż wszyscy zasnęli i jasny księżyc zaświecił na niebie; wtedy cichutko wyszła ze swego pokoju, zbiegła ze stromej góry i doszła do miejsca, gdzie jej kochani bracia tak dziwnym spo-

sobem w ptaki zamienieni zostali. Wtem na cierniowym krzaku spostrzegła koszulkę, którą macocha dla niej przeznaczyła, a zdziwiona widokiem delikatnej przędzy, zwinęła ją ostrożnie i zabrała z sobą.

Szła przez noc całą po ostrych szyszkach i kamieniach, ale gdy ranek zaświtał, nie było widać leśnego zamczyska. Znużona wypoczęła trochę pod cieniem białej brzozy, potem napiła się wody ze strumienia, zjadła trochę jagód czerwonych i poszła dalej. Już wieczór się zbliżał, gdy spostrz gła w gęstwinie ubogi szałas z gałęzi; weszła do środka i ujrzała pod ścianą sześć gniazd okrągłych, białym puchem wysłanych, przy każdym dzbanuszek z wodą, a w wodzie biały kwiatek, do gwiazdeczki podobny, ze złocistym środkiem.

Dziewczynka nie śmiała dotknąć ani kwiatków, ani wody, ani miękkiego puchu w dużych gniazdach, i choć bardzo była znużona, wtuliła się w ciemny kącik i tam chciała przespać do rana. Nagle coś zaszumiało wysoko w powietrzu, sześć śnieżnopiórych łabędzi spuściło się przed szałasem na zieloną, aksamitną trawkę; potem we-

szły do środka leśnego schronienia, przygładziły piórka na sobie, każdy uskubnął z kwiatka stojącego w wodzie, napił się z dzbanuszka i w tej chwili spadły z nich łabędzie piórka i sześciu młodzieńców odzyskało postać ludzką.

Z krzykiem radości rzuciła się ku nim dziewczynka, gdyż poznała natychmiast ukochanych braci; oni także całowali i ściskali ją nawzajem, wypytując, skąd się wzięła. Odpowiedziała im, że uciekła z zamku, by ich odszukać i uwolnić od zaklęcia, lecz na te słowa bracia zapłakali serdecznie i zaczęli namawiać siostrę, aby zaniechała tej myśli.

Ona nie dała się przekonać.

— Pozostanę tu z wami — powiedziała — i zrobię wszystko, co będzie w mej mocy, byśmy mogli powrócić razem do naszego drogiego ojca.

— Nie możesz tu pozostać — odpowiedzieli jej bracia — bo czarownica, matka naszej złej macochy, czuwa tutaj nad nami i gdyby cię spostrzegła, zamieniłaby cię zaraz w zwierzę lub roślinę.

— To mnie ukryjcie i brońcie, gdy przyjdzie.

— Bronić ciebie nie możemy, bo sami tylko na jedną godzinę odzyskujemy co dzień naszą ludzką postać, a skoro słońce zajdzie, stajemy się znów łabędziami i przez dzień cały latać musimy daleko.

— Lecz musi być przecież sposób ocalenia was od zaklęcia.

Bracia westchnęli smutnie.

— Nikt go spełnić nie może — odparli ze łzami w oczach.

— Dlaczego?

— Bo jest trudny.

— Powiedzcież mi, proszę.

— Możemy ci powiedzieć, lecz prosimy bardzo, abyś go nie próbowała, bo to nad ludzkie siły i nie chcemy wcale, abyś tak cierpiała dla nas.

— Powiedzcie mi tylko, proszę.

— Ocalić nas może tylko kobieta, która nic złego w życiu nie popełniła; musi nas kochać bardzo i dla tej miłości przez sześć lat nic nie mówić, nie uśmiechnąć się ani razu i uszyć w ciągu tego czasu sześć gwiaździstych koszulek z tych białych kwiatków ze

złocistymi środkami. Szyć musi nitką z pajęczej przędzy, z której zła macocha zrobiła dla nas czarodziejskie koszulki, a jeśli jeden choć przemówi wyraz, cała praca na nic i wszystko stracone.

Dobra siostra chciała jeszcze o coś zapytać, lecz skończyła się wieczorna godzina, słońce zaszło w czerwonym blasku i bracia zamienili się znowu w łabędzie szukając wypoczynku na puchowych gniazdach.

Ona biedna nie miała gniazdka swego dzisiaj, ani żadnego schronienia nad głową. Pozostać tu nie mogła, bo zła czarownica spostrzegłaby ją niezawodnie i zamieniłaby w zwierzę lub roślinę, a wtedy któż by ocalił jej braci? Płacząc więc cicho poszła znowu dalej i dopiero gdy jej sił zabrakło, usiadła na mchu zielonym i zasnęła spokojnie.

Obudziwszy się o świcie przypomniała sobie wszystko, co zaszło podczas dni ostatnich i postanowiła przy pomocy Bożej ocalić ukochanych braci.

Postanowiła mocno i zabrała się do pracy.

Nazbierała białych gwiazdek ze złoci-

stymi środkami, obrała sobie miejsce na rozłożystym dębie, naznosiła tam gałęzi i mchu na posłanie i nie schodząc z drzewa, chyba tylko dla posiłku, zaczęła szyć koszulki z białych kwiatów pajęczą przędzą ze znalezionej koszulki. Żywiła się jagodami, korzonkami, korą drzewną, niekiedy orzechami i szyszkami, piła wodę ze strumienia, sypiała na drzewie, nic nie mówiła, bo nie miała do kogo i nie uśmiechała się nigdy, nawet tego wieczoru, gdy pierwszą ukończyła koszulkę.

Kilka lat upłynęło jej w ten sposób, pracowała nie tracąc ani chwili czasu, od wczesnego poranku do późnego wieczoru i nie pragnęła żadnej przyjemności, póki nie spełni swojego zadania.

Ale razu pewnego królewicz z licznym orszakiem polował w lesie i jeden z rycerzy ujrzał na drzewie siedzącą dziewczynę. Otoczyli ją dworzanie i strzelcy, obsypując pytaniami, usiłując się dowiedzieć kim jest i co tu robi. Dziewczę milczało z początku jak rybka i nie odpowiadało wcale na pytania, w końcu jednakże, aby się pozbyć natrętów, zdjęła z szyi złoty łańcuszek

i rzuciła go stojącym na dole. Po łańcuszku oddała pasek złotolity, perłami naszywany, jedwabne podwiązki, przepaskę z głowy, aż złote włosy płaszczem ją całą okryły i wreszcie tak rozdała wszystko, że w jednej pozostała koszulce.

Wówczas jeden z gromadki wdrapał się na drzewo, oderwał ją przemocą od gałęzi i zniósł na dół do towarzyszów. Tu na nowo obsypano ją pytaniami, a gdy milczała uparcie, przyprowadzono przed króla.

— Kto jesteś? — zapytał monarcha zachwycony jej pięknością. — Co robisz tutaj i dlaczego milczysz? Co znaczy ten pęk kwiatów?

Lecz dziewczyna milczała błagalne tylko wznosząc ku niemu spojrzenie. Wówczas królewicz, aby ją osłonić od natarczywości swoich dworzan i rycerzy, wziął ją na konia, okrył własnym płaszczem i przywiózł do zamku królewskiego.

Przez kilka dni następnych zwoływano mędrców, którzy przemawiali do dziewczęcia wszystkimi językami, ale nadaremnie. Ubrano ją jednakże w kosztowne królewskie szaty, sadzano obok króla przy kró-

lewskim stole, przeznaczono w zamku wspaniałe komnaty. Młody królewicz widząc ją tak cichą, nieśmiałą, skromną, zajętą swą pracą, a przy tym piękną jak poranna zorza, pomyślał, że nie znajdzie lepszej żony na świecie i oznajmił, że choć dziewczyna jest niema i nikt nie zna jej ojca ani matki, on się z nią chce ożenić i uczynić ją królową.

Tak się też stało, choć rodzona ciotka najbardziej opierała się temu małżeństwu. „Królewna żoną twoją być powinna — mówiła z gniewem — nie przybłęda obca“. Ale królewicz odpowiedział na to, że sam Pan Bóg jest ojcem niewinnych i nieszczęśliwych i że nie zmieni zamiaru. Nie było więc rady. Śliczne, łagodne dziewczę zostało żoną króla, ale ciotka królewska nie lubiła młodej pani i starała się, jak mogła, dokuczyć jej i obmówić w obecności siostrzeńca.

Dziewczę nie przeczyło nigdy, nie odzywało się, nie uśmiechało i szyło swoje gwiaździste koszulki.

W rok po ślubie urodził się królowi synek. Radość była niezmierna, ale pierwszej

nocy ciotka królewska ukryła dzieciątko, śpiącej królowej usta krwią pomazała i z głośnym płaczem pobiegła do króla oskarżając młodą matkę, iż własne dziecię pożarła.

— Ludożercą jest twoja żona! — wołała z obłudnym żalem. — Czegoż dożyłam, nieszczęśliwa! Wziąłeś za żonę przybłędę nieznaną, która swoje dzieci pożera!

Król zmartwił się niezmiernie stratą dziecka, lecz nie uwierzył ciotce, a chociaż królowa żadnych nie dała mu wyjaśnień, nie przestał kochać jej jak dawniej i być dla niej dobrym i czułym. Żona okazywała mu wdzięczność spojrzeniem, lecz milczała i szyła swoje gwiaździste koszulki.

Nim rok upłynął, dał im Pan Bóg drugie dziecko. Król ucieszył się bardzo, kazał otoczyć dziecko piastunkami i czuwać nad nim we dnie i w nocy bez przerwy. Królewska ciotka czuwała również bez wytchnienia, a kiedy niańki usnęły znużone, uniosła małą dziecinę i, jak pierwszego wnuka, pozostawiła w lesie na pniu drzewa. Myślała, że biedne dziecko umrze z głodu i zimna, lub będzie zjedzone przez dzikie zwierzęta,

więc nie troszczyła się o nie i skaleczywszy palec, pomazała znów usta uśpionej królowej i pobiegła do króla ze skargą na żonę.

Lecz król oburzył się bardziej niż za pierwszym razem.

— Jak możesz, ciotko, mówić tak potworne rzeczy! — zawołał. — Czyż nie widzisz, jak jest dobra i pobożna, cicha i pracowita? Czyż nie patrzymy na nią, na jej życie? Cóż jej zarzucić można? Biedna, nieszczęśliwa, wróg jakiś niegodziwy zamknął jej niewinne usta, że bronić się nie może, a ja miałbym ją potępiać! Nie, nigdy, nigdy! Nie wierzę tej potwarzy. Ktoś krzywdzi mnie okrutnie pozbawiając mnie dziatek, ale to nie jest winą mojej biednej żony. Będę szukał złoczyńcy, a gdy go odkryję, biada mu — straszna kara go nie minie!

Zła kobieta zadrżała, lecz nienawiść ku obcej silniejszą była od trwogi w jej sercu. Gdy po raz trzeci przyszło na świat dziecko, potrafiła je porwać mimo czujnej straży i wynieść z zamku jak poprzednie. Potem oskarżyła królową. Pragnęła teraz jej śmierci już nie tylko przez nienawiść, ale

z obawy, że prawda wydać się może kiedyś, gdyż królowa jedynie widziała jej zbrodnię i gdyby mogła mówić, wykryłoby się wszystko. Ażeby więc uniknąć zasłużonej kary, oznajmiła publicznie, że w jej własnych oczach królowa zjadła swe ostatnie dziecię, i wobec takiego świadectwa, sędziowie, mimo rozpaczy króla, na śmierć winną osądzili.

O potrójne ludożerstwo oskarżona królowa skazaną była na spalenie na stosie. Mąż widzieć się z nią nie chciał, bo żal rozdzierał mu serce, a wstydził się tej słabości przed siostrą ojca swego, która była świadkiem winy jego żony.

Na zamkowym podwórzu wzniesiono stos wysoki, na którym spłonąć miała oskarżona. Lecz królowa spokojnie wysłuchała wyroku i do ostatniej chwili siedząc zamknięta w pokoju szyła, nie podnosząc oczu od roboty, gwiaździste swoje koszulki. Pięć ukończonych związała nitką pajęczej przędzy, szóstą kończyła pilnie. Już tylko lewe ramię nie zostało spięte, gdy wszedł kat, by ją na stos zaprowadzić. Wstała posłuszna, nie składając igły stanęła na wyso-

kim stosie, który natychmiast podpalono od dołu, a wówczas ona wzniosła w górę ręce i pracę swą rzuciła daleko od siebie nie wymawiając przy tym ani jednego wyrazu. Silny wiatr uniósł gwiaździste koszulki z gęstych obłoków dymu i w tejże godzinie upłynęło sześć lat potrzebnych do wybawienia braci. Sześć śnieżnopiórych łabędzi ukazało się w powietrzu, każdy z nich schwycił jedną gwiaździstą koszulkę i zarzuciwszy ją na siebie stanął na ziemi w postaci człowieka. Jeden tylko brat najmłodszy zamiast lewego ramienia miał skrzydło łabędzie, gdyż nieszczęśliwa siostra nie zdążyła ukończyć swej trudnej roboty.

Stanąwszy na ziemi bracia w mgnieniu oka stos ugasili i siostrę z niego zdrową sprowadzili. Blada i smutna, z rozpuszczonym włosem stanęła przed obliczem króla, który wybiegł z zamku na wieść o dziwnych wypadkach. Teraz już mówić mogła i zawołała głośno:

— Mężu mój, jam niewinna!

W tejże chwili bracia przynieśli z lasu niewinne dzieciątka, którymi się opieko-

wali, a król uszczęśliwiony z odzyskania żony i dzieci, z surową twarzą zwrócił się do ciotki.

Zła kobieta upadła przed nim na kolana wzywając miłosierdzia; tak był jednak rozgniewany, iż byłby ją kazał spalić na tym samym stosie, na którym zginąć miała niewinna królowa, gdyby się ona właśnie za nią nie wstawiła. Król jednak nie chciał więcej widzieć ciotki, nie wierzył jej obietnicom i przysięgom, więc wysłano ją z królestwa na daleką wyspę, gdzie sama jedna odtąd żyć musiała i raz tylko na rok okręt przywoził jej żywność i wieści, dopóki nie umarła.

A król i królowa z dziećmi żyli szczęśliwie w zgodzie i miłości, a z sześciu braci mieli sześciu sławnych rycerzy, którzy zasłynęli wkrótce siłą i odwagą.



STARY WOJAK

Stary żołnierz wysłużył w wojsku długie lata, nie nauczył się nic takiego, czym mógłby na chleb zarabiać, ale powiedział sobie: „Kto się niczego nie boi, ten się o nic nie troszczy“ — i poszedł w świat śmiało mając parę groszy w kieszeni, stary płaszcz, stary mundur i juchtowe buty, przewieszone na kiju, który niósł na ramieniu.

I szedł tak długo, od wioski do wioski, opowiadając ciekawe historie, za co dawa-

no mu chętnie kawałek chleba, sera, kubek mleka lub wiązkę słomy na posłanie.

Ale pewnego razu zamyślił się jakoś i nie zauważył, kiedy wszedł do lasu i w którą stronę się skierował. Gdy mu głód dokuczył, obejrzał się wkoło i nie zobaczył nigdzie chaty ani drogi.

— Ba! mój stary — mruknął sobie — zapomniałeś już, widzę, co to znaczy: baczność! Wstyd, panie żołnierzu, do stu piorunów! Hola! panowie zające, może mi który ofiaruje swoją pieczeń na obiad?

Ale zające nie miały widocznie ochoty okazać mu tak gorącej życzliwości, gdyż żaden nie wysunął z krzaków nawet końca uszu. Żołnierz klął i szedł dalej, aż w końcu zmęczony postanowił odpocząć.

Wtem na pniu ściętego drzewa ujrzał młodzieńca w pięknym mundurze myśliwskim, patrzącego nań uważnie. Przyjemna twarz jego podobała się wojakowi, więc usiadł sobie tuż obok na trawie i podał mu życzliwie ręce.

— Hm, hm, paniczyk! — mruknął oglądając sąsiada od stóp do głowy: cienkie sukno, złoto, a buciki jak cacka. Dobre to

dla dziewczyny do tańca na noc jedną, ale jeśli ci się zdaje, że daleko w tym zajdziesz po twardych kamieniach, to mylisz się mój zuchu z porcelany! No, no, nie potrzebujesz się obrażać, staremu żołnierzowi wolno mówić prawdę: kto się niczego nie lęka, ten nie troszczy się o nic. Ot, patrz na moje buty: długo mi służyły, a jakie jeszcze grube! Będzie z nich spadkobierca miał pociechę, a jeśli mnie w nich pochowają, święty Piotr w dniu zmartwychwstania jeszcze mi ich powinszuje.

— Zwłaszcza, jeśli tak zawsze będziesz je nosił na ramieniu.

— Buty, nie buty! — rzekł żołnierz powstając; głodny jestem, mój piękny panie, i wolałbym kawał chleba niż wszystkie twoje złocone guziki. Którędy droga do wsi?

— Poszedłbym nią, gdybym wiedział — odparł nieznajomy — lecz sam zabłąkałem się w lesie i nie wiem, gdzie jestem, ani dokąd iść należy.

— Takiś mi, ptaszku! — zaśmiał się udobruchany żołnierz — no, to możemy iść ra-

zem, bośmy koledzy. Chodźmy szukać drogi.

Roześmiał się myśliwy i uścisnął podaną rękę; potem poszli razem.

Chodzili do wieczora, ale nadaremnie — nie znaleźli ani drogi, ani wioski; las zdawał się nieskończonym, drzewa szumiały w górze, jakby opowiadały sobie, co widziały, a noc coraz czarniejsza zapadała zwolna.

Wtem pomiędzy drzewami błysnęło światło.

— Wiwat! — zawołał żołnierz — nie pomrzemy z głodu, nie napiją się wilki naszej krwi gorącej. Marsz do szturmu, mój chłopcze, zaraz się pokrzepisz, bo wyglądasz nie lepiej od swoich woskowanych bucików. Z jednej skóry was robiono!

Stanęli przed starym, dużym, posępnym domem z ogromnych kamieni, z drewnianym dachem i wąskimi oknami. Żołnierz zapukał śmiało; otworzyła stara kobieta.

— Zbłąkani podróżni proszą o nocleg. A przygotujcie nam, matko, co poczciwego na wieczerzę, bo żołądek mam pusty jak

stary tornister. Ten oto złocony panicz ma, jak widzicie, dość złota, to i zapłacić może.

— Idźcież sobie do licha — mruknęła stara — jeśli wam życie miłe! To jest dom rozbójników, którzy powrócą zaraz i jeśli was zastaną, zginęliście bez ratunku.

— No, moja dobra matko, tak źle może nie będzie: żołnierz się nie lęka niczego i o nic się nie troszczy, a że od rana nic nie jadłem, noc ciemna, las czarny, to wolę spróbować szczęścia, niż dostać się wilkom na zęby. Śmierć sądzona nie minie, więc puśćcie nas do stu diabłów!

— Zostańmy lepiej w lesie — szepnął myśliwy z wahaniem.

— Eh, eh, to tak? Nie bój się, bratku, tak od razu przecież głowy nam nie zdejmą; popróbujemy się jeszcze. We dwóch, braciszku, widzisz, i w piekle nie straszno. Co ma wisieć, nie utonie.

I wszedł śmiejąc się głośno. Myśliwy wszedł także; nie było śladu trwogi na jego młodej twarzy, ale nie spuszczał oczu ze starego żołnierza, jakby podziwiał jego humor i odwagę. Stara kobieta ujrzawszy młodzieńca popatrzała nań z litością;

w końcu mruknąwszy coś cicho umieściła gości za piecem i przyrzekła nawet, skoro zbójcy się pośpią, przynieść im co do jedzenia.

Nie było zresztą czasu na dłuższe rozprawy, gdyż w tejże chwili zastukano do drzwi, stara pośpieszyła otworzyć i dwunastu mężów olbrzymiego wzrostu, zarosłych jak niedźwiedzie i z dzikim wejrzeniem weszło do sali i zasiadło wkoło stołu wołając o wieczerzę.

Staruszka uwijała się, jak mogła. Stół był nakryty, wszystko przygotowane, więc wybiegła i po chwili wróciła niosąc na półmisku pieczeń, z której rozkoszny zapach rozszedł się po całej izbie.

— Nie wytrzymam! — mruknął żołnierz do ucha towarzyszowi. — Nie, nie, nie dosiedzę tutaj!

— Życie narażasz — odparł tamten równie cicho, przytrzymując za rękaw starego wojaka.

— Co mi po życiu, kiedy jestem głodny. Pfe, do pioruna! jak żyję, nie chowałem się przed nikim, nie lękałem się nikogo, a dzisiaj...

Kichnął tak głośno, że zbójcy zerwali się od stołu sądząc w pierwszej chwili, że to wystrzał.

Żołnierz kichnął po raz drugi i wysunął głowę.

Rozbójnicy odetchnęli, lecz porzuciwszy jedzenie otoczyli piec i odkryli gości.

— A tuście ptaszki! — zawołał herszt mierząc ich wzrokiem. — Ciasno wam w tej pułapce? Podziękujcie temu, kto was tu przysłał. Dalej, chłopcy, to szpiegi, na gałąź z nimi! Będzie im tam swobodnie, mogą się uczyć fruwać!

I zaśmiał się grubym głosem, a jeden z podwładnych już podawał postronki.

— Nie tak prędko, panowie! — zawołał żołnierz. — Śmierci się nie lękam, zaglądałem jej w oczy nie jeden raz w życiu, ale nigdy jeszcze nie byłem tak głodny. Dajcie nam się pokrzepić, a potem wola wasza. Szpiegami nie jesteśmy, a umrzeć żołnierz gotów tak czy inaczej. Ach, jak ta pieczeń pachnie!

I kichnął znowu. Zbójcy spojrzeli na siebie! Zabawiła ich mina starego żołnierza i jego niekłamany apetyt; pomyśleli też, że

uciec im przecież nie może, a i kot bawi się myszą, nim ją udusi; na koniec herszt przemówił:

— Zuch jesteś, więc wart pieczeni. Tylko nie myśl sobie, że się wykpisz od śmierci. Skoro jednak pragniesz z pełnym żołądkiem spróbować mocy tego postronka, niech i tak będzie. Nie powiesz przynajmniej, że nie znamy litości.

Wskazali mu miejsce, sami zajęli swoje.

— No, a ty, braciszku — rzekł stary żołnierz, zwracając się do myśliwego — nie warto morzyć się głodem w ostatniej godzinie.

Lecz młodzieniec jeść nie chciał i usiadł na boku, poważnie myśląc nad czymś i nie spuszczając oczu ze starego żołnierza. Jadł on z takim apetytem, jak gdyby się chciał przygotować na całoroczny post na tamtym świecie: pełne talerze znikały w ustach jego jak pianka, co chwila sięgał znowu do półmiska, a śmiał się przy tym i żartował, jak gdyby nie śmierć okrutna, lecz największa radość czekała go po uczcie.

Zbójcy podziwiali go pomimowolnie i żartowali z nim razem, radzi z wesołego

towarzysza, który może był szpiegiem i zginąć musi w ciągu godzin kilku, lecz jest dowcipnym i odważnym chłopcem, a to cenić umieją nawet rozbójnicy.

— No, dosyć mam na koniec — rzekł żołnierz z zadowoleniem, ocierając usta i brodę. — Kuchnię macie wyborną, łaskawi panowie, ale czy u was taki głupi zwyczaj, że po dobrym jedzeniu nie podają wina? Warto być zbójem, żeby nie mieć nawet czym ust przepłukać po wieczerzy?

Herszt klasnął w ręce.

— Masz słuszność, sąsiedzie — odezwał się do żołnierza. — Hej, stara, skocz-no prędko do piwnicy i przynieś nam butelkę, tę z samego kąta, wiesz przecie.

Stara wkrótce przyniosła szklanki i butelkę; stary wojak sięgnął po nią nieproszony.

— Teraz wam pokażę sztukę — zawołał spoglądając na nich po kolei — a ty braciszku, w woskowanych bucikach, przypatrz się także. Baczność! Piję wasze zdrowie. Nos i ręka do góry!

Sam pochylił głowę, podniósł butelkę i połowę prawie wlał od razu do gardła.

— Patrz-że teraz, braciszku!

Te ostatnie wyrazy zwrócił do myśliwego, który oczom nie wierzył patrząc, co się dzieje. Gdy żołnierz zakomenderował, zbójcy przechylili głowy, pootwierali usta i podnieśli ręce, chociaż nic w nich nie mieli; a teraz on śmiał się, a oni stali ciągle w tej samej postawie jak gdyby skamienieli, jakby czarodziejskim słowem pozamieniał ich w posągi bez życia.

— Widzę! — rzekł zapytany. — Umiesz sztuki nie lada, kochany generale, lecz korzystajmy z chwili i opuśćmy ten dom przeklęty.

— Mleko masz zamiast wąsów pod nosem, mój drogi; któryż wódz ucieka z placu pokonawszy wroga? Chodź-no, posil się trochę, bo to z pustego żołądka pochodzą takie myśli. Twoje zdrowie, synu!

Pili i jedli, a młodzieniec widząc, że zbójcy nie poruszają się z miejsca, z coraz większym podziwem patrzał na żołnierza. Na koniec zaczęło świtać.

— Teraz musi nas stara najkrótszą drogą zaprowadzić do miasta — przemówił żołnierz. — Ci pozostaną tutaj; możemy

być spokojni: do mojego powrotu żaden z nich palcem nie kiwnie.

Poszli natychmiast i w parę godzin ujrzeli mury stolicy. Żołnierz pokręcał wąsa, gwizdał, śpiewał i udał się prosto do swoich starych kamratów.

— Hej, słyszycie! — zawołał — znalazłem tam w lesie całe gniazdo szerszeni, chodźcie na polowanie.

Nie potrzebował dwa razy powtarzać, nie brakło ochotników; kilkunastu żołnierzy z bronią w ręku w jednej chwili oczekiwało na rozkazy.

— Wróć no się i ty z nami jeszcze, bracie — rzekł wtedy żołnierz do młodzieńca — trzeba, żebyś zobaczył koniec mojej sztuki.

Udali się wszyscy razem do zbójeckiego domu i zastali w nim wszystko tak, jak zostawili; twarze zbójców tylko pobladły, a oczy krwią zaszły.

Żołnierz zakomenderował, i towarzysze jego otoczyli stół dokoła, potem wziął flaszkę z winem, podniósł ją znów do góry i zawołał:

— Ręce na dół, dość tej zabawy, panowie!

Wypił łyk z flaszki, resztę rzucił na ziemię, aż szkło rozprysło się w kawałki i zbójcy nagle odzyskali wolność ruchu, porwali się z miejsc swoich, ale po to tylko, ażeby ich schwytano i związano w mgnieniu oka.

Gdy leżeli jak worki na ogromnym wozie, żołnierz kazał zajechać prosto przed więzienie, sam zaś z myśliwym szedł sobie piechotą stanowiąc straż tylną. Wóz ruszył już z miejsca, kiedy myśliwy skinął na jednego z żołnierzy i coś mu szepnął do ucha. Ten pośpieszył naprzód.

Już południe minęło, gdy zbliżali się do miasta, które wyglądało teraz bardzo uroczyście, przybrane w wieńce i kwiaty, pełne gwaru strojnych tłumów, które śpieszyły ku nim z okrzykami radości.

— Cieszą się ludziska, żeśmy ich uwolnili od tych niegodziwców — rzekł żołnierz skromnie, z triumfem spoglądając na sąsiada.

Tymczasem dała się słyszeć muzyka, gwardia królewska w paradnych mundu-

rach ukazała się na drodze, z nią dwór cały i królowa matka, następnie wojsko pod bronią. Huknęły wystrzały.

— Co to wszystko ma znaczyć? —rzekł żołnierz zdziwiony. — Toć nie może być, żeby o tych rozbójników... Nie wiesz ty, bracie?

— Owszem: król powraca z dalekiej podróży, więc dwór, wojsko i naród śpieszą go powitać.

— Król! Ale gdzież on?

— Obok ciebie, zuchu: ja jestem królem.

Żołnierz zbladł i zadrżał pierwszy raz w życiu przypomniawszy sobie, w jaki sposób od wczoraj traktował młodzieńca. Padł na kolana prosząc o przebaczenie i tłumacząc się nieświadomością.

Król podniósł go własną ręką i uściskał serdecznie.

— Takich mi potrzeba zuchów — rzekł wesoło; — cenię twoją odwagę i przebaczam wszystko. Być może, iż ocaliłeś mi życie. Odtąd na niczym zbywać ci nie będzie. Weź ten pierścień; gdy czego będziesz potrzebował, on cię do mnie doprowadzi. Po-

zwalam ci także zaspokajać głód żołnierski z królewskiego stołu, ale zastrzegam sobie, że zdrowia nie wzniesiesz nigdy bez mojego pozwolenia. A teraz bądź zdrów, przyjacielu; widzisz, że czekają wszyscy. Do zobaczenia!

— Do zobaczenia — szepnął osłupiały żołnierz.



SZKLANA GÓRA

Pewna królowa miała śliczną córeczkę, która nie umiała jeszcze ani mówić, ani chodzić, lecz śmiała się tak dźwięcznie, jakby dzwonił srebrny dzwonek, a na czole miała cudną złotą gwiazdkę, świecącą wśród ciemności księżycowym blaskiem. Matka kochała bardzo to jedyne dziecię, stroiła je w drogie klejnoty, najpiękniejsze sukienki, lecz nie była cierpliwa, gdy maleństwo płakało i zdawało jej się wtedy, że jest najnieszczęśliwsza.

Razu jednego piastunka oddała królowej śliczne, uśmiechnięte dzieciątko, a sama poszła do zamku po jakąś zabawkę. Królowa była w ogrodzie, siedziała na złotej ławce pod zielonym jaworem i pieściła się z córeczką życząc jej, aby była najszczęśliwsza i najpiękniejsza na świecie.

I nie daremnie królowa wyrażała te życzenia, wiedziała ona, że skoro na wiosnę jawor okryje się liściem zielonym, dopóki słowik śpiewać nie przestanie, cudowne drzewo ma własność ziszczenia wszelkich pragnień i nadziei wyszeptanych w jego cieniu.

Nie każdy wiedział o tej własności jaworu, lecz król powiedział o niej młodej żonie, która dziś właśnie usiadła pod cieniem drzewa, aby jej życzyć wszystkiego, co szczęście dać może.

Wtem dziecina zaczęła płakać i grymasić; matka uspokajała ją, ale na próżno; w końcu, jak zwykle, straciła cierpliwość, a że niańka nie powracała, chcąc postraszyć maleńką podniosła ją w górę i zawołała głośno do kruków przelatujących:

— Kawki, kruki i wrony, weźcie sobie to niegrzeczne dziecko, nie chcę go widzieć więcej!

Nieszczęśliwa królowa zapomniała, że stoi pod cudownym jaworem. W tej samej chwili, kruki, wrony, kawki otoczyły ją w nieprzebranym mnóstwie, porwały śliczną królewnę i uleciały daleko.

Biedna matka w rozpaczy głośnym wybuchnęła płaczem, potem — zapominając o przestrogach męża — chciała skorzystać z własności jaworu i odzyskać dziecinę; lecz zaledwie wyraziła życzenie przeciwne temu, które wypowiedziała przed chwilą — zagrzmiało, piorun błysnął, drzewo stanęło w ogniu, a królowa upadła na ziemię zemdlona.

Tak przez jedną lekkomyślność nieszczęśliwa kobieta straciła dziecię i cudowne drzewo, naraziła się na gniew męża i w smutku i żalu pędziła odtąd życie.

Kruki tymczasem uniosły prześliczną królewnę do ciemnego lasu, zamieniły w kruka z białą gwiazdką na głowie i puściły na wolność, żeby sam, pod opieką starej czarownicy, szukał sobie żywności, żył na drzewach jak ptaki i nigdy nie odzyskał już ludzkiej postaci.

Wiele lat upłynęło od tej smutnej chwili; królewna dnia każdego na jedną godzinę zrzucała ptasie pióra, lecz zła czarownica czuwała nad nią, aby w ciągu tego czasu nie znalazła sobie wybawcy.

Pewien ubogi rycerz przejeżdżał raz

przez bór ciemny szukając służby u jakiego króla, gdzieby mógł swoją odwagę okazać i zdobyć sławę i mienie. Wtem na gałęzi dębu usłyszał głos kruka, wzywający go po imieniu.

Zatrzymał się zdziwiony i zbliżył do drzewa.

— Dzielny młodzieńcze — przemówił ptak smutnie — znam twoje myśli i wiem, czego szukasz na świecie, lecz ulituj się nade mną i uwolnij mię od zaklęcia, gdyż jestem najnieszczęśliwszą księżniczką.

— Cóż mam czynić? — spytał rycerz. Z całego serca pragnę dopomóc ci, księżniczko.

— Wszystko zależy od ciebie. Idź śmiało w głąb tego lasu, a trafisz na chatkę czarownicy, która czuwa, by mnie nikt wybawić nie mógł. Zrób wszystko, co ci każe i pozostań tam przez trzy dni, ale nie przyjmuj od niej żadnego pokarmu ani napoju, bo uśniesz twardo i zbudzić cię wczas nie zdołam. Każdego dnia w południe przyjadę do chaty i będę cię szukała w ogrodzie pod dębem. Czy mi przyrzekasz nie przyjąć nic od czarownicy, choćbyś umierał z głodu?

— Przyrzekam ci, księżniczko, nie lękaj się o mnie, wyzwolę cię spod opieki niegodziwej jędzy, choćbym miał umrzeć z głodu.

— Dziękuję ci, mój rycerzu — przemówiła królewna — ale chociaż ci wierzę, obawiam się bardzo, że przebiegła wiedźma namówi cię do skosztowania jadła albo napoju.

— Bądź spokojna księżniczko, nie godzien byłbym dłużej być rycerzem, gdybym nie dotrzymał słowa i nie wykonał twej woli. Przysięgam ci, że nie spocznę aż do chwili, w której odzyskasz swe prawa.

Ucieszyła się biedna zaklęta królewna, a rycerz pospieszył naprzód. Szedł długo, bardzo długo, do późnego wieczoru, nim odnalazł w lesie starą chatkę. Czarownica oczekiwała go na progu, a widząc, że jest znużony i głodny, wyniosła mu kubek wina i kawałek chleba.

— Posil się, piękny rycerzu — przemówiła z dobrocią — język ci usechł z pragnienia i oczy wpadły z głodu; mam litościwe serce i nie mogę patrzeć na cierpiącego człowieka.

Przemawiała tak słodko, iż trudno było uwierzyć, że coś złego ma na myśli, rycerz jednak, pamiętny na swą obietnicę, nic przyjąć nie chciał. Staruszka dziwiła się bardzo, sama posłała mu łóżko, nakarmiła konika, umieściła go w sieni i znowu powróciła do rycerza zachęcając, by się choć napił, nim uda się na spoczynek.

Rycerz pamiętał, co przyrzekł księżniczce, ale był tak spragniony, że język jak kawał kości sterczał mu w ustach sztywny i suchy; mówić prawie nie mógł; zdawało mu się, że zbawienie wieczne oddałby za szklankę wody; więc gdy stara podała mu pachnące wino, nie miał siły oprzeć się strasznej pokusie i umaczał w nim usta.

Rozkoszne uczucie ogarnęło go natychmiast: nie czuł pragnienia i głodu, kropla wina nasyciła go i napoiła, a prócz tego pogrążyła w śnie tak słodkim i błogim, jakiego nie kosztował jeszcze nigdy w życiu. Sen ten jednakże był zarazem tak twardy i tak głęboki, iż żadna moc ludzka spłoszyć go nie była w stanie.

W południowej godzinie zatętniało w lesie, zajechała kareta w cztery białe konie,

wysiadła z niej królewna ciemnowłosa, ze złotą gwiazdą na czole, z perłowymi ząbkami i smutnymi oczyma. Wysiadła i pobiegła prosto do ogrodu; ale pod dębem nikogo nie było, więc zapłakała łzami, a gdzie łezka padła, rozwijał się kwiat biały, podobny do dzwonka, z kroplą rosy w kielichu, a tak cudnie pachnący, że cały las napełnił się tą śliczną wonią, piękniejszą niż zapach róży i fiołka.

Nic to jednak nie pomogło, nie obudził się rycerz, więc królewna zbliżyła się do czarownicy i zapytała ze smutnym wyrzutem:

— Gdzie mój wybawca?

— Zobacz, jak smacznie zasypia! Do roboty go nawet obudzić nie mogę.

Weszła do izby królewna, popatrzała na rycerza, potrząsnęła go za rękę, wołała po imieniu, wszystko nic nie pomogło: leżał bezwładny jak kamień.

Uderzyła godzina, zarżały konie przed chatą, z płaczem wybiegła królewna, wsiadła do karety i zniknęła w ciemnym borze.

Teraz i rycerz obudził się nagle, zerwał się przestraszony, spojrzał, że słońce zaszło

już z południa, ze wstydem i rozpaczą wybiegł do ogrodu, ale pod starym dębem ujrzał tylko cudne białe dzwoneczki, z kroplą rosy w kielichu, pachnące piękniej niż fiołki i róże.

— Cóż uczyniłem? — szepnął nieszczęśliwy młodzieniec — nie godzien jestem imienia rycerza!

A wtem kropelki rosy upadły na ziemię, a kwiaty zamieniły się w białe motylki ze złotymi gwiazdkami na skrzydełkach i otoczyły rojem smutnego rycerza.

— Przysięga! przysięga! przysięga! — szemrały jedne cichutko. — Biedna zaklęta królewna! — skarżyły się drugie. — Tak daleko do Szklanej Góry, daleko do Szklanej Góry! — zawołały wszystkie razem i uleciały w górę, i zniknęły między drzewami.

A rycerz usiadł pod dębem i rozmyślał z goryczą o swej słabości i biednej księżniczce. Postanowił nie ruszyć się już z tego miejsca do drugiego południa i błąd popełniony naprawić.

Tymczasem nadeszła stara i spojrzawszy na niego, rzekła łagodnym głosem:

— Proszę cię, mój synu, narąb mi trochę drzewa, bo sama sił nie mam, a chciałabym rozpalić ogień i zgotować sobie posiłek. Wiem, żeś dobry i nie zechcesz odmówić mi tej przysługi za okazaną gościnność. Jeśli jesteś głodny, może zjesz kawałek chleba i popijesz winem.

Rycerz za wszystko grzecznie podziękował, lecz uczuł, że za gościnność winien odsłużyć starej, więc poszedł na podwórze i tępą siekierą zaczął rąbać kłodę drzewa, twardą jak żelazo.

Rąbie godzinę, drugą, pot spływa mu z czoła, język w ustach kołkiem stanął, a zaledwie kilka szczapek odłupać zdołał. Zmęczył się tak strasznie, że padł wreszcie na ziemię bezsilny i wyczerpany, a gdy litościwa babula podała mu wino, gdy wspomniał rozkosz, jakiej doznał wczoraj umoczywszy usta w tym dziwnym napoju, nie miał siły oprzeć się słodkiej pokusie i wypił łyk jeden.

Natychmiast ogarnęło go błogie uczucie, miłe, rozkoszne ciepło przeniknęło członki, w uszach zabrzmiała cudowna muzyka, przed oczyma zajaśniały tęczowe bla-

ski i gwiazdy, i zapadł w sen głęboki, pełen najsłodszych marzeń, ale twardy jak sen śmierci.

Nazajutrz o południu zatętniało w lesie, przed chatę czarownicy prześliczną karetą, w cztery siwe konie zaprzeżoną zajechała królewna z jasną gwiazdą na czole, z perłowymi ząbkami i smutnymi oczyma. Wysiadła i pobiegła prosto do ogrodu, ale pod dębem nikogo nie było, więc zapłakała łzami, a gdzie łezka padła, rozwijał się prześliczny dzwonek purpurowy z kroplą rosy w kielichu, pełen cudnej woni, piękniejszej od zapachu róży i konwalii.

Potem poszła przed chatę i zapytała starej:

— Gdzie mój wybawca?

— Śpi na podwórzu, podźwigał się wczoraj siekierą.

Zbliżyła się królewna, potrząsnęła młodzieńca, zawołała go po imieniu, ale nic nie pomogło: nie zbudził się ze snu twardego.

A wtem uderzyła godzina, zarżały koniki, biedna królewna wsiadła do karety i poniosły ją siwki w głąb czarnego boru.

A rycerz w tejże chwili obudził się także, spojrzał na słońce i jęknął z rozpaczy i wstydu. Zerwał się na równe nogi i wybiegł do ogrodu, ale pod dębem nie było nikogo; spoglądały nań tylko purpurowe dzwonki z perłami rosy w swych wonnych kielichach.

— Jakże nikczemny jestem! — szeptał zrozpaczony młodzieniec — czemuż mnie święta ziemia nie pochłonie! Wolałbym zginąć niż przeżyć wstyd taki!

Wtem zadrżały leciuchno dzwonki purpurowe, spadły wonne krople rosy na ziemię, a kwiaty zamieniły się w rój złotych motyli z purpurowymi gwiazdkami na błyszczących skrzydełkach i otoczyły rycerza.

— Przysięga! przysięga! przysięga! — szumiały. — Biedna królewna! Jeszcze jedna doba! Ostatnia doba! Do Szklanej Góry daleko! daleko!

Uniosły się wysoko i zniknęły między drzewami.

A młodzieniec stał długo na tym samym miejscu, rozmyślał gorzko o swej ciężkiej winie i postanowił nie ruszyć się stąd i nie tknąć więcej żadnego napoju.

Lecz na samo wspomnienie cudownego wina, ogarniał go taki smutek i tęsknota, iż czuł, że gotów oddać życie i sławę za czarodziejski napój i rozkosze snu kamiennego. Wtedy zrozpaczony przypomniał sobie świętą przysięgę, rycerskie swe słowo, los nieszczęśliwej księżniczki, jej wdzięczność, własną sławę... Ach, gdyby mógł stąd uciec! nie zobaczyć więcej niegodziwej kusicielki i jej zatrutego wina, którego zapach osłabiał w nim wolę i zacierał wszystkie wspomnienia.

Zbliżyła się do niego staruszka łagodna jak zawsze.

— Piękny rycerzu — rzekła — oddaj mi przysługę za gościnność, której udzielam ci chętnie. Oto złote żołędzie dojrzały na dębie, zbierz je do tego worka, nim słońce zajdzie.

Ucieszył się bardzo rycerz, bo mógł oddać starej żądaną przysługę i nie opuszczać miejsca, gdzie postanowił wytrwać do jutrzejszego południa. Robota przy tym łatwa i przyjemna skracała mu godziny żalu i oczekiwania, więc zabrał się do niej chętnie; wdrapał się na drzewo, wstrząsnął ga-

łązki, a które żołędzie spadać nie chciały, zrywał je z osobna.

Dąb był olbrzymi, stary, gałęzi moc wielka, więc ta robota dosyć czasu mu zajęła, przy tym siedząc na drzewie narażony był więcej na palące promienie złocistego słońca; toteż zmęczył się bardzo, i kiedy strudzony, aby dokończyć pracy, wspiął się aż do szczytu drzewa, złamała się pod nim zbyt cienka gałązka i spadł na ziemię na twarde gałęzie.

Wielkiej szkody nie poniósł w tym nagłym wypadku, gdyż nie połamał kości lecz podrapał się mocno, potłukł i pokaleczył. Teraz uczuł dopiero, jak niezmiernie jest zmęczony, jak go dręczy pragnienie... Och, wino, czarodziejskie wino.

Starał się nie myśleć o nim, pamiętać o swej przysiędze, o nieszczęśliwej królewnie, lecz stara już śpieszyła z kubkiem pełnym i słodkimi wyrazy.

— Napij się, piękny rycerzu — mówiła — raz wychyl do dna ten puchar rozkoszy, a wtedy poznasz dopiero całą jego potęgę. Pij! więcej w życiu nie skosztujesz tego nektaru.

Rycerz jak oszalały sięgnął po kubek, pełen aż po brzegi i wychylił go do dna. Ale w tejże chwili gorycz okropna napełniła mu usta, członki zesztywniały, tchu zabrakło w piersi, straszny śmiech starej zabrzmiał mu w uszach i stracił zupełnie przytomność.

W południowej godzinie zatętniało w lesie, zajechała kareta w kare konie zaprzężona, wysiadła z niej królewna ze smutnymi oczyma, w czarnej żałobnej szacie, ze złotą gwiazdką na czole, wysiadła i pobiegła prosto do ogrodu, pod stary dąb stuletni. Pod dębem na ziemi leżał uśpiony rycerz, nieruchomy jak posąg, jak marmur biały, z wyrazem bólu na twarzy i śladem krwi na czole.

Zapłakała królewna, ale nadaremnie wzywała go po imieniu, oblewała łzami, ze snu twardego zbudzić go nie mogła, i tylko z łez jej, które padały na ziemię, wyrastały czarne dzwonki cudnego zapachu z perłami rosy w kielichu.

Uderzyła godzina, zarżały koniki, królewna wstała zwolna, wzięła trzy żołędzie i wetknęła je w ziemię, potem załamała

rączki, podniosła je do góry i zawołała głośno:

— O gwiazdko moja, ty użycz mu siły!

Wsiadła do karety i odjechała pośpiesznie.

Rycerz spał długo jeszcze; kiedy się obudził, czuł znużenie i wstyd wielki. Nie rozpaczał głośno, lecz serce jego pełne było żalu. Wstał, złamał miecz swój, zbroję odrzucił daleko i rzekł:

— Rycerzem zwać mi się nie godzi; jak żebrak pójdę dalej i będę się starał krwawą zasługą zdobyć na nowo to wszystko, co utraciłem przez nikczemną słabość. A ty, księżniczko, jeśli mogę jeszcze co uczynić dla ciebie, błagam, wskaż mi drogę i pozwól życie położyć za ocalenie.

Zadrżały czarne dzwonki, spadły rosy kropelki, a kwiaty się zmieniły w rój czarnych motyli i jeden brzęknął cicho:

— Królowa z gwiazdką na czole mieszka na Szklanej Górze.

— Zostawiła ci dary — dodał drugi.

— Bułeczkę niedojadkę.

— Butelkę niedopijkę.

— Pieczeń niedogryzkę.

— I pierścień z jej imieniem.

W tej chwili jeden z motylków usiadł na palcu rycerza i zamienił się w pierścień złoty z czarnym kamieniem, na którym wyryte było imię zaklętej królewny; a na miejscu zasadzonych przez nią trzech żołędzi, leżała bułeczka niedojadka, której nie zabrakło nigdy, choćby kto karmił całe rzesze ludu, butelka niedopijka, zawsze pełna wina, i pieczeń niedogryzka, która również odrastała po każdym użyciu.

Rycerz ułamał sobie gałąź dębu, wziął dary, pozostawione przez królewnę i udał się niezwłocznie w drogę. Szedł długo ciemnym lasem, potem przez łąki, pola, góry i rzeki, lecz nie wiedział wcale czy zbliża się do Szklanej Góry czy od niej oddala, bo nikt mu powiedzieć nie mógł, w której stronie się znajduje.

Na koniec dnia pewnego po długiej wędrówce usłyszał w wielkim lesie dziwne, straszne wycie, lecz nie mógł dojść skąd pochodzi. Szedł, jak mu się zdawało, w kierunku głosu, ale i wieczór zapadł, a on nie natrafił na ślad żadnego dzikiego zwierzęcia. Dopiero kiedy zupełnie ściemniało, do-

strzegł w dali światełko. Pośpieszył w tę stronę i ujrzał stojącego przed domem olbrzyma, który okropnym wyciem napełniał las cały.

Rycerzowi przyszło na myśl, że zły potwór może pozbawić go życia, ale rozważywszy, że olbrzymy przebiegają świat cały w różnych kierunkach i mogą mu dać wskazówki co do Szklanej Góry, powiedział sobie, że dość już nabroił, nie powinien tchórzostwem powiększać swej winy, śmiało więc postąpił naprzód.

Olbrzym ujrzał go wreszcie i wyć przestał, ale na pozdrowienie odpowiedział tylko wzgardliwym ruszeniem ramion.

— Dobrze, żeś mi się trafił — odparł szyderczo — wytępiliśmy zwierzynę w tym lesie i jeść co nie ma; marny z ciebie wprawdzie kąsek, ale cóż robić?

— Jeśli ci o to chodzi — odparł rycerz — nakarmię cię wnet do sytości. Chodźmy do chaty.

I weszli obydwaj, a gdy olbrzym głód zaspokoił za pomocą pieczeni niedogryzki, bułki niedojadki i butelki niedopijki, zaczął z gościem rozmawiać na pozór łaska-

wie, rozmyślając, jakby mu odebrać te skarby.

Rycerz zapytał go o Szklaną Górę.

Zaśmiał się olbrzym.

— Sami się tam wybieramy z bratem — rzekł wreszcie — by zabrać księżniczkę i jej nieprzebrane skarby.

Przestraszył się młodzieniec usłyszawszy, że takie niebezpieczeństwo grozi zaklętej królewnie, lecz nie okazał tego i rzekł bardzo uprzejmie:

— Jeżeli się zgodzicie, poszedłbym tam z wami. Całą drogę będę was karmił, a za to dacie mi część skarbów.

— Mnie się to podoba, ale za brata nie ręczę. Zatrzymaj się do jutra, a tymczasem on powróci i zobaczymy, co powie.

Rycerz udał się wcześnie na spoczynek, gdyż był zmęczony drogą, lecz około północy, gdy wrócił drugi olbrzym, obudził go hałas i udawał tylko śpiącego, by poznać zamiary braci.

Młodszy potwór opowiedział wszystko, co się stało i dodał, iż chciał zabić gościa, aby mu zabrać jego skarby, lecz zdecydo-

wał się czekać na powrót starszego brata i zasięgnąć jego rady.

— Dajmy mu pokój teraz — odparł drugi — ludzie to małe i nędzne stworzenia, lecz mają czasem wielki rozum, więc i ten może nam się przyda w tej wyprawie, a gdy zdobędziemy księżniczkę, nie trudno nam będzie pozbyć się takiego robaka.

Tak uradzili i nazajutrz w zgodzie wszyscy udali się ku Szklanej Górze. Rycerz karmił olbrzymów, a oni go nieśli, gdyż inaczej nie mógłby nadążyć im w biegu. Przebywszy tym sposobem ogromne przepaście, dnia dziewiątego stanęli na koniec u stóp olbrzymiej Szklanej Góry.

Na szkło przynieśli młoty, które je skruszyć miały, lecz nie przewidzieli tego, że góra dokoła była obrosła nieprzebytym, niezmiernej wysokości płotem cierniowym. Olbrzymy kaleczyli ręce i twarze, a zbliżyć się nie umieli do tej niebezpiecznej zapory. Na koniec przyszło im na myśl podpalić żywopłot.

— Zaczekajcie — rzekł rycerz — z ogniem nie można żartować, kto wie, czy

nie spłonęłaby cała Szklana Góra z królewną i skarbami, a wtedy wszystko stracone.

— Więc cóż mamy robić? — pytali.

— Posłuchajcie mej rady: ja się przemknę od spodu pod cierniowym płotem, zobaczę z tamtej strony, czy nie ma ukrytego przejścia, i jeżeli je znajdę, wskażę wam natychmiast.

Podobało się to olbrzymom, pomogli rycerzowi przesunąć się pod płotem, a kiedy dostał się do wnętrza powiększył znacznie otwór, nie zważając na ostre kolce, które raniły mu ciało, i powiedział towarzyszom, iż za jego przykładem tędy przesunąć się mogą ostrożnie.

Aby im pomóc, zrobił pętlicę ze sznura; jeden olbrzym wsunął w nią głowę i zaczął pełzać, pociągany przez rycerza. Gdy uwiązł dosyć mocno, młodzieniec odciął mu głowę i przerzucił pętlicę drugiemu, utrzymując, że razem łatwiej przebędą te kolące wrota. Drugi olbrzym uwierzył i zginął jak brat starszy z ręki odważnego przeciwnika.

Ocaliwszy tym sposobem królewnę od zguby rycerz czuł, że choć w części naprawił swą winę, i pilno mu było teraz dostać

się na Szklaną Górę. Lecz trudności wzrastały przed nim niezwyciężone.

A naprzód: płot cierniowy. Gdyby nań spadł ze śliskiej góry, zabiłby się na miejscu: trzeba się go było pozbyć. Więc ciężką pracą, siekierą i nożem podrzynał ostre krzaki krwią zlewając ziemię, aż po kilku miesiącach jedna strona góry wolną była zupełnie od tej strasznej zagrody.

Przez ten czas widział co dzień zaklętą księżniczkę, odbywającą przejażdżkę w złotej karecie dokoła zamku — lecz jakże daleko była od niego!

Próbował wdrapać się na Szklaną Górę konno i pieszo, ale nadaremnie: zsuwał się z niej zawsze i zrozumiał na koniec, że musi innego szukać sposobu przebycia tej drogi.

Rok cały przebył już pod Szklaną Górą żywiąc się wyłącznie darami, pozostawionymi mu pod dębem, lecz postanowił sobie, że choćby miał umrzeć, nie ruszy się z tego miejsca, nikogo innego na górę nie dopuści a sam albo zginie, albo zaklętą królewnę ocali.

Gdy raz tak rozmyślał smutnie, ujrzał

pięknego konia, którego aż dwóch ludzi prowadziło za cugle, a każdy trzymał mocno i nie spuszczał z niego oczu. Gdy się zbliżyli do góry, każdy chciał wsiąść na rumaka, a drugi go nie dopuszczał. W końcu zaczęli się kłócić, konia przywiązali do drzewa, a sami uderzyli na siebie z dziką zawziętością.

Nasz rycerz patrzał na to, a podszedłszy ku nim zapytał, o co im chodzi.

— Jesteśmy złodziejami — odparli mu szczerze — ukradliśmy konia, który ma ostre kopyta i podobno może się wedrzeć nawet na Szklaną Górę. Otóż chcemy go spróbować, lecz nie dowierzamy sobie i stąd walka.

— Ja was pogodzę — rzekł rycerz. — Wsiądę na waszego konia i w waszych oczach spróbuję, co on potrafi; ażebyście jednak nie myśleli, że was chcę skrzywdzić, powierzę wam tymczasem rzeczy sto razy więcej warte od tego rumaka.

I pokazał im dary królewny.

Złodziejom podobały się te rzeczy i przystali na układ, ale ponieważ dawał im do ręki tylko bułeczkę i pieczeń, chcąc go

uspokoić i skłonić do zostawienia im także butelki ofiarowali mu w zamian jeszcze płaszcz niewidkę. Potem zasiadłszy pod drzewem niezwłocznie zabrali się do posiłku, gdyż głodni byli bardzo, a myśleli sobie, iż skorzystają zostawiając konia i płaszcz nieznajomemu, a zabierając w zamian jego skarby.

Rycerz dosiadł rumaka, płaszcz zarzucił na ramiona i tak rozpędził się na Szklaną Górę, że w mgnieniu oka stanął na jej szczycie.

Serce mu biło mocno, kiedy zbliżył się do zamku i zapukał do złotej bramy. Lecz ta otworzyła się natychmiast, gdyż dotknął jej pierścieniem, otrzymanym od królewny. Teraz szedł naprzód śmiało. Zamek zdawał się pusty, lecz wspaniałe komnaty pełne były skarbów i klejnotów wielkiej wartości. Minąwszy salę srebrną, złotą, kryształową, wszedł do olbrzymiej zielonej altany. Na środku stał jawor stary, okryty świeżymi, zielonymi listeczkami, obok biła fontanna i perłowe krople czystej jak kryształ wody bezustannie skrapiały drzewo, w koło pięły się rośliny i tysiące kwiatów

okrywało plecione, przeźroczyste ściany tego ukrytego ogrodu. Na gałęzi jaworu siedział kruk czarny z białą gwiazdką na głowie i niespokojnie patrzył na drzwi sali, którymi wszedł rycerz w swym płaszczu niewidce.

Rycerz spojrzał na kruka, potem zdjął pierścień z palca i rzucił go do fontanny, a w tej samej chwili spadły złote kajdanki z nóg ptaka, rozsypały się w koło czarne piórka i pod starym jaworem stanęła dziewica z gwiazdką złotą na czole, z perłowymi ząbkami i diamentową koroną na kruczych warkoczach.

— Gdzież jesteś, mój wybawco? — zawołała głosem, który brzmiał jak srebrny dzwonek.

Lecz rycerz zachwycony nie śmiał odrzucić płaszcza, teraz dopiero przypomniawszy sobie, że zamiast zbroi ma szaty żebracze.

— Cudna królewno — przemówił nareszcie — wybacz, że nie śmiem stanąć przed twoim obliczem w sukniach nędzarza, które nosiłem od chwili, gdy stałem się niegodny imienia rycerza.

— Wiem wszystko — rzekła królewna — wiem, coś uczynił dla mnie, widziałam walkę twoją z olbrzymami i pokutę za słabość, wszystko już minęło. Teraz mocą tego cudownego jaworu chcę, abyś stanął przy mnie w srebrnej, kutej zbroi, gdyż pilno mi powrócić do zamku rodziców, którzy dotąd opłakują swe stracone dziecię.

Jeszcze nie domówiła tych słów piękna królewna, gdy rycerz w srebrnej zbroi stał obok niej pod jaworem. Milczał i z wdzięcznością tylko patrzał na nią, a królewna rzekła znowu:

— Przez moc tego jaworu chcę być u ojca, matki, w naszym starym zamku.

Zadrżała ziemia, podniósł się wiatr gwałtowny, iż komnata przez chwilę kołysała się jak na morzu, a gdy rycerz i królewna otworzyli olśnione oczy, znaleźli się przed starym zamkiem, w pięknym, obszernym ogrodzie. Z bram zamku król wyjeżdżał na czele orszaku, złożonego z dworzan i rycerzy; w otwartym oknie siedziała królowa otoczona damami dworu.

Nagle królowa krzyknęła radośnie: ujrzała stary jawor na swym dawnym miej-

scu, a pod nim cudną dziewicę ze złotą gwiazdą na czole i rycerza w srebrnej zbroi.

Król spostrzegł także gości i zsiadł z konia natychmiast; królewna rzuciła się do nóg drogim rodzicom, a potem rzekła:

— Oto jest szlachetny zbawca, któremu zawdzięczam wolność. Jeśli pozwolicie, chciałabym zostać jego żoną, gdyż inaczej nie mogę odwdzięczyć się za to, co uczynił dla mnie.

Rodzice uszczęśliwieni uściskali córkę i zięcia; tegoż jeszcze wieczoru odbyło się wesele, które przez trzy dni trwało, a zaproszeni goście bawili się tak wesoło, iż wyjeżdżać nie chcieli. Więc młody król z piękną żoną udał się do zamku swego na Szklanej Górze obiecując za powrotem nową wydać ucztę i zaprosić wszystkich życzliwych.



DUMNA KRÓLEWNA

Śliczna, najpiękniejsza w świecie była królewna Drwidusza, tak piękna, że kto raz ujrzał jej przecudne czarne oczy, czoło bielsze nad śniegi, koralowe usta, ten już do końca życia zapomnieć jej nie mógł. Gdy rozpuściła czarne, jedwabiste włosy, osłaniały ją one niby płaszczem; gdy spojrzała z litością, nieszczęśliwi się uśmiechali i zapominali o swoich cierpieniach; a gdy bły-

snęła dumnym i gniewnym spojrzeniem, drżeli najodważniejsi rycerze i oczu podnieść nie śmieli.

Tak, piękniejszej królewny nie było na całym świecie i wiedziała o tym Drwidusza; lecz zarazem nie było dumniejszej i surowszej nad nią dla nieszczęśliwych bohaterów, którzy ujrzawszy piękne jej oblicze zapragnęli rękę i serce pozyskać. Ojciec, już stary, pragnął znaleźć zięcia, który byłby mu pomocą, więc rad witał każdego królewicza i rycerza, zgłaszającego się do zamku, aby pozyskać względy królewny. Ale córka każdego wyśmiała od razu, zażądała gwiazdy z nieba i słuchać nie chciała o przyjęciu go za męża.

Wielu, wielu bohaterów z niczym od niej odeszło, wielu straciło życie pełniąc jej rozkazy w nadziei, że zdobędą tym sposobem serce; wielu umarło z żalu i tęsknoty, gdy zabroniła im patrzeć na siebie i precz odejść kazała; ona śmiała się z tego i powtarzała zawsze, iż nie wyjdzie za mąż, bo na świecie nie ma nikogo, kto byłby godzien jej ręki.

Zniecierpliwił się wreszcie stary ojciec; wydał wspaniałą ucztę, sprosił z całego świata bohaterów, królewiczów i rycerzy i oznajmił córce, że musi wybrać spomiędzy nich męża. Zaproszonych zaś słowem królewskim zapewnił, iż jeden z nich tym razem zięciem jego zostanie.

Gości zjechała się moc nieprzebrana, młodzi, piękni, bogaci, szlachetni, ubodzy, waleczni, wszyscy przybyli z ochotą, każdy cieszył się, iż może on będzie wybranym. Ustawiono ich szeregiem w wielkiej zamkowej sali podług godności i zasługi: naprzód królewicze, następnie książęta, hrabiowie, baronowie, panowie, rycerze, a sznur był tak długi, że trzy razy okrążył salę.

Gdy nadeszła godzina, zagrała muzyka, otworzono wielkie podwoje i wśród szmeru westchnień i okrzyków uwielbienia i podziwu ukazała się królewna. Szła zwolna z dumą w oczach i na białym czole, w długiej, białej, diamentami haftowanej szacie, w diamentowej koronie na czarnych warkoczach, których jedwabny połysk równał się z blaskiem kamieni. W ręku miała złote

berło, które na znak władzy podać była winna przyszłemu mężowi.

Na jej widok królewicze i bohaterowie oniemieli z zachwytu i radosnej nadziei. Dziewica obejść miała cały szereg, zaczynając od królewiczów i wybranemu podać trzymane w ręku berło.

Zatrzymała się przed pierwszym i wybuchnęła śmiechem.

— I ty tutaj, grubasie! — zawołała szyderczo. — Pięknego bym miała męża!

Zapłonął gniewem wyśmiany królewicz, ale ona tymczasem szydziła z drugiego.

— Cóż to za dryblas, jak ogórek na szczudłach!

— A to prawdziwy indyk z koralowym nosem!

— Fe, jaka śmierć koścista!

— Jak się masz, karzełku!

— A to beczka od wina!

Jednym słowem każdemu miała coś do zarzucenia: ten za wysoki, ten za mały, ten gruby, ten cienki, jeden czerwony, drugi blady, ten się pochyło trzyma, ten jakby kij połknął, ów ma nos nazbyt długi, ten za krótką szyję, tamten za małe wąsy, inny za-

rosły jak niedźwiedź, — nie było końca porównaniom i żartom, z których śmieli się chętnie ci, którzy stali na końcu, lecz oburzali się surowo sądzeni wielbiciele.

Szczególniej uniósł się gniewem pewien królewicz młody, którego krzywodzióbem przezwała dlatego, że kiedy się uśmiechał, usta krzywił trochę, co jak wiadomo zdarza się wielu osobom. Królewicz ten po raz drugi zgłaszał się już do zamku, lecz wyśmiany dziś wobec wszystkich odszedł natychmiast grożąc, że pomści się srodze.

Żartowała z tej groźby młoda i piękna królewna i pobiegła dalej — aż do ostatniego. W końcu zaśmiała się głośno prześlicznym srebrnym śmiechem i oznajmiła ojcu, że wśród wszystkich zebranych królewiczów, książąt i rycerzy nie było ani jednego, godnego zostać jej mężem.

Muzyka zagrała znowu, a ona wyszła dumnie unosząc ze sobą złote berło.

Król pozostał na tronie zasmucony bardzo, gdyż dał słowo zaproszonym, iż córka wybierze spomiędzy nich małżonka i przewidywał, że teraz obrażeni zechcą na nim mścić się za żarty córki.

Tak się też stało: jedni grozili mu wojną, drudzy pytali, jaką wartość ma królewskie słowo, inni jeszcze żądali, by dotrzymał obietnicy.

Rozgniewany monarcha powstał na koniec z tronu.

— Szlachetni królewicze i bohaterowie — odezwał się poważnie — słowo moje święte i złamane być nie może; ponieważ królewna żadnego z was nie chciała wybrać na małżonka, żadnego nie uznała godnym swojej ręki, zostanie żoną pierwszego człowieka, który się teraz zjawi w moim zamku, chociażby był żebrakiem albo rozbójnikiem. Taką jest moja wola.

Wyrzekł i opuścił salę, a zebrani rozjeżdżać się także zaczęli, zadowoleni bardzo, że dumna dziewica będzie ukarana.

Cisza zaległa w zamku, stary król chodził pochmurny, piękna królewna kładła najpiękniejsze szaty, przechadzała się po ogrodzie i śmiała się wspominając o zawiedzionych nadziejach starających się o nią książąt i rycerzy.

Dnia trzeciego po pamiętnej uczcie siedziała właśnie z ojcem przy wieczerzy, gdy

śpiew i muzyka wędrownego grajka rozległy się za oknem. Stary król powstał z miejsca i wyjrzał na podwórze: ubogi wyciągnął rękę prosząc o jałmużnę, lecz monarcha nań skinął, by wszedł do komnaty.

W chwilę potem stanął na progu przygrywając tęskną piosenkę; okrywało go stare, podarte odzienie, długa broda za pas sięgała, a nogi, twarz i ręce zakurzone mocno świadczyły, że daleką odbył drogę.

Król kazał mu grać, śpiewać i patrząc na córkę wsłuchiwał się w głos twardy i drżący śpiewaka, który skończywszy skłonił się pokornie oczekując wynagrodzenia.

— Oto twoja nagroda — rzekł król biorąc nagle rękę królewny i prowadząc ją do ubogiego.

— Mój ojcze! — zawołała nieszczęśliwa księżniczka.

— Taką jest moja wola — odparł surowo monarcha. — Pośród królów i książąt całego świata nie znalazłaś godnego męża; nie ma go pośród rycerzy ani bohaterów; wyszydziłaś wszystkich dumnie, bez litości, nie uszanowałaś nawet słowa królewskiego, teraz spełnić musisz moją wolę: przyrze-

kłem odjeżdżającym, iż ukarana będziesz zostając żoną pierwszego obcego, który zjawi się w zamku choćby był żebrakiem.

Przerażona królewna do nóg ojcu padła, ale ten był niewzruszony; wezwano księdza i ślub odbył się natychmiast, potem monarcha rzekł do młodej pary:

— Żona wędrownego grajka nie może mieszkać w królewskim zamku, idź więc za mężem twoim, dokąd cię zaprowadzi; zdejm te królewskie szaty, które ci dziś nie przystoją; odtąd jego wolę pełnić będziesz i jego słuchać rozkazów, a z domu ojca na pamiątkę zabierz ten woreczek złota.

Podał jej woreczek złota, ale żebrak wziął go natychmiast z rąk żony i schował do kieszeni. Potem opuścili zamek. Królewska córka szła w milczeniu obok męża, który spoglądał na nią jakby ze źdźiwieniem.

Noc zapadła i musieli pomyśleć o schronieniu. Grajek chciał się skierować do pobliskiej wioski, ale królewna lękała się ludzi bardziej niż dzikich zwierząt, więc oznajmiła z płaczem, iż dalej iść nie może i zatrzymali się na noc pod dębem, rosnącym na skraju lasu. Ubogi płaszcz swój ro-

zesłał na ziemi, otulił żonę, a sam grał tak długo, dopóki sen nie skleił jej znużonych powiek.

Nazajutrz, kiedy wstała, podzielił z nią chleb czarny, jaki miał jeszcze w torbie, napili się czystej wody z pobliskiego źródła i poszli dalej przez las stary i cienisty, który ich zabezpieczał od słonecznego skwaru. Grajek starał się być troskliwym i dobrym dla pięknej żony, widać było jednak, że uważał się za jej pana, którego ona słuchać musi. To ją przejmowało obawą i czyniło uległą i uprzejmą.

— Co za piękny las — rzekła, gdy zatrzymali się znowu, aby odpocząć trochę. — Nie byłam tu nigdy jeszcze. Czy nie wiesz, do kogo należy?

— Mówiono mi — odparł żebrak — gdym szedł w tamtą stronę, że to las króla Krzywodzióba. Czy nie znasz go przypadkiem?

— Znam — szepnęła królewna i pomyślała sobie, że ten las mógłby być dziś jej własnością.

Za lasem rozciągała się przepyszna łąka,

pokryta milionami kwiatów, przerznięta srebrną wstęgą cicho płynącej rzeki.

— Co za prześliczna łąka! — zawołała Drwidusza; — jak żyję, nie widziałam takich kwiatów. Ciekawa jestem, do kogo należy?

— Mówiono mi, gdym szedł w tamtą stronę, że to łąka króla Krzywodzióba; jesteśmy w jego państwie.

Smutnie westchnęła nieszczęśliwa królewna i spuściła głowę na piersi.

I znowu szli dalej długo, bardzo długo, aż doszli do wielkiego miasta. Królewna tutaj nie lękała się ludzi, bo wiedziała, że jej nie znają, więc ciekawie patrzała na kamienne domy, wielkie kościoły i wieże złociste, sklepy, ogrody.

— Jakież to wspaniałe miasto, — zawołała na koniec pełna podziwienia. — Jak bogaty i potężny musi być król tego kraju! Czy nie wiesz, kto to taki?

— Król Krzywodziób.

— Czy być może! A ja nie chciałam go za męża! Jedno słowo moje i byłabym panią tego kraju.

— Czemuś go nie wyrzekła, póki był czas na to. Teraz jesteś moją żoną i musisz o tym pamiętać, żeby ci nie było gorzej. O królewiczach radzę ci zapomnieć.

Przestraszyła się królewna, bo zdawało jej się, że słyszy gniew w głosie męża, więc umilkła pokornie.

Tymczasem stanęli wreszcie przed maleńkim domkiem, starym, pochylonym i samotnym w polu. Ubogi siadł na progu, zadowolony widocznie.

— Czyj to domek? — zapytała niespokojnie królewna. — Ubodzy ludzie mieszkać tu muszą.

— To moja własna chata, w której żyć będziemy.

Załamała ręce królewna, lecz nie wyrzekła ani słowa, rada, że mąż nie widział tego gestu rozpaczy.

— A służba? — spytała cicho.

— Ubodzy ludzie służą sobie sami. Z rana ugotujesz mi zawsze śniadanie, potem uprzątniesz chatę, przygotujesz obiad, nie zapomnisz o wieczerzy, o praniu bielizny, i o wszystkim, co do gospodyni należy.

— Ależ ja ognia rozpalić nie umiem!

— Będę dobry dla ciebie i nauczę cię wszystkiego.

Weszli do chaty pochyliwszy głowy, aby o drzwi nie uderzyć; mąż pokazał jej, jak się pali ogień, jak się gotuje wieczerzę, zjedli skromny posiłek i spać się położyli.

Nazajutrz obudził się znowu o świcie, opowiedział, co ma robić, a sam poszedł w pole, gdzie miał kilka zagonów zboża, które zebrać trzeba było. Lecz na południe żona nie przyniosła mu obiadu, bo go ugotować nie umiała, musiał więc wrócić do domu i sam się tym zająć.

Kilka dni tak upłynęło; biedny człowiek sam gotować musiał i sprzątać, bo żona nic nie umiała, poparzyła sobie ręce i płakała gorzko, więc przemówił do niej wreszcie:

— Tak dłużej być nie może, umarlibyśmy z głodu, każdy coś robić musi. Kiedy ja mam gotować, pleć że ty koszyki, może to łatwiej ci pójdzie.

Przyniósł wikliny i zaczął uczyć ją pleść kosze, lecz twarda trzcina kaleczyła jej białe paluszki aż krew płynęła. Za ciężka robota...

— Co tu robić? — rzekł grajek — próż-

nować nie możesz, muszę znaleźć pracę dla ciebie. Prząść umiesz chyba.

Królewna nie umiała, lecz bała się do tego przyznać. Wyjęli zatem trochę pieniędzy z woreczka, który im król ofiarował i grajek kupił za to lnu, kądziel, wrzeciono, rad, że znalazł na koniec robotę dla żony.

Królewna prząść zaczęła, ale cienka nitka raniła do krwi jej białe paluszki, które nigdy żadnej nie dotknęły pracy. Płakała biedna gorzko, ale prząść nie mogła, bo ręce jej popuchły i bolały bardzo.

— Co ja z tobą pocznę? — narzekał nieszczęśliwy małżonek — do niczego nie jesteś zdatna, nie tylko pomocy nie mam, ale zginąć mi przyjdzie wkrótce z taką żoną.

Ulitował się jednak nad jej żalem, wyjął wszystkie pieniądze, jakie zostały w woreczku i rzekł:

— Jeszcze jednego spróbować musimy; twój ojciec dał ci trochę grosza, nakupię za to garnków, będziesz je sprzedawała w mieście: handel przynosi zyski, może w taki sposób zarobisz na życie.

Nakupił pięknych garnków, zaniósł je z żoną do miasta, ustawił w dobrym miej-

scu, powiedział jej cenę i zostawił ją na targu.

Biedna kobieta drżała z trwogi, żeby kto z kraju jej ojca nie przyszedł tutaj i nie ujrzał jej przy tym zajęciu; niemniej lękała się także króla Krzywodzióba: jakże by się mógł uśmiać, jak szydzić z niej teraz, że zamiast być królową w tym kraju, sprzedaje garnki na rynku!

Na szczęście jednak króla na targu nie było, ani ludzi z innych krajów; wieśniacy i mieszczanie prędko rozchwytali garnki, gdyż były ładne, dobre, a kupcowa miała tak piękne oczy, że popatrzeć w nie miło. Chętnie więc płacili, ile żądała, a wieczorem przyniosła dobry zarobek mężowi.

Ucieszył się biedny grajek; czas jakiś spokojnie teraz żyć mogli za grosz zarobiony, a gdy znów nadchodził jarmark, wziął pozostałe pieniądze, nakupił garnków i posłał żonę do miasta.

Kobieta rada, że sam z nią nie poszedł, umieściła się skromnie na uboczu, aby nie zwracać na siebie uwagi; ale źle na tym wyszła: ludzie mniej kupowali, dłużej siedzieć musiała, a w końcu pijany żołnierz potłukł

jej wszystkie naczynia, a gdy płakała, złodziej ukradł osła kupionego niedawno do noszenia towaru.

Zrozpaczona kobieta widząc, że płacz nie pomaga, powróciła do chaty i opowiedziała wszystko. Grajek był niepocieszony.

— I sprzedawać nie umiesz, ani bronić swego — mówił — cóż poczniemy teraz? jakież ci znajdę zatrudnienie?

Nazajutrz wyszedł wcześnie, a powróciwszy wieczorem oznajmił uradowany, że w królewskim zamku potrzebują pomywaczki, więc obiecał ją przysłać. Będzie tam miała darmo pożywienie, a co zostanie, może zabrać z sobą do domu. On tymczasem graniem coś zarobi także.

Cóż było robić? Nieszczęśliwa Drwidusza tłumiąc łzy gorzkie poszła za pomywaczkę do króla, który starał się o jej rękę. W kuchni była bezpieczna, tam jej nie zobaczy pewnie obcierającej od rana do nocy dzbany, misy i talerze z królewskiego stołu.

Dobrego pożywienia nie brakło jej tutaj, miała go do sytości, więc wspomniała o mężu, który w nędzy pędził życie, wstawiła sobie garnuszki w obie kieszenie fartu-

cha, przymocowała je dobrze sznurkami i składała w nie najlepsze kawałki, aby mu z nich wieczorem smaczny przygotować posiłek.

Grajek wdzięczny był niezmiernie za za ten dowód pamięci, dziękował żonie, prosił, aby nie zadawała sobie tyle trudu, ale widoczne było, że cieszy go bardzo jej dobroć i przywiązanie. Od tego czasu zaczął nazywać ją Gwiazdeczką.

Wkrótce doszła wieść do kuchni, że odbędzie się w zamku wesele króla z nieznaną księżniczką, która przybędzie z dalekiego kraju.

Gdy przybrano kwiatami oświetloną salę, a strojne damy, rycerze, książęta zajęli miejsca, służba pałacowa ciekawie cisnąć się zaczęła do drzwi, aby choć okiem rzucić na ten blask i przepych. Drwidusza długo opierała się tej pokusie tłumiąc łzy, które gwałtem cisnęły się jej do oczu, lecz gdy zabrzmiała wesoła muzyka, z bólem serca zbliżyła się także do progu. Może zobaczy męża. Wszakże jej powiedział, że i on będzie pomiędzy grajkami. Ach, czemuż nie

na tronie? Czemuż ona tu w kuchni? Co za straszna kara losu.

Wtem rozpoczęto tańce i w tej samej chwili książę jakiś czy królewicz, strojny w aksamity, drogie kamienie zamiast guzików i złoty łańcuch na szyi, zbliżył się i z uśmiechem wciągnął ją do sali.

Biedna kobieta krzyknęła, poznawszy Krzywodzióba, — czyżby i on ją poznał i zemścić się pragnął? Chciała się wyrwać, ale nadaremnie; na koniec przerażona obecnością tylu znajomych panów i rycerzy wymknęła się i wybiegła aż na schody. Lecz tu uchwyciła ją znów silna ręka: obejrzała się — król Krzywodzióbl

Krzyknęła i twarz zakryła.

— Nie lękaj się, droga żono; czyż mnie nie poznajesz, Gwiazdeczko? Jestem ubogim grajkiem, twoim mężem; żyliśmy w ubogiej chatce i musiałaś pracować, bo chciałem upokorzyć twą próżność i dumę; lecz gdy się przekonałem, że mnie kochasz ubogim, pilno mi było ujrzeć cię szczęśliwą. Pójdź ze mną, jesteś królową; ojciec twój wie o wszystkim i zjawi się tu wkrótce,

gdyż to nasze wesele. Pójdź Gwiazdeczko moja!

Lecz królewna płakała i nie śmiała nań spojrzeć.

— Nie warta jestem ciebie, ani tego szczęścia, byłam niesprawiedliwa, dumna, nierozsądna, za mało jeszcze jestem ukarana.

— Zapomnijmy o przeszłości, wszystko złe minęło; nauczyłaś się wielu rzeczy w naszej ubogiej chatce, które ci się przydadzą i w królewskim zamku, więc nie żałujmy, co było. A teraz śpiesz się, patrz: ojciec zajeżdża, służba czeka na ciebie, wszystko przygotowane.

I sam ją zaprowadził do komnat królowej.



WIERNY SŁUGA

Pewien król umierając kazał wezwać do siebie wiernego sługę, który przez całe życie niejednokrotnie dawał mu dowody przywiązania i roztropności, teraz więc rzekł do niego:

— Służyłeś mi od młodości wiernie i uczciwie, wiem, że nad ciebie nie mam przyjaciela, tobie zatem powierzam mego jedynego syna. Czuję, że śmierć się zbliża, choć pragnąłbym żyć jeszcze, dopóki on z młodzieńca nie stanie się mężem rozumnym i doświadczonym. Ty jeden zastąpić

mnie możesz. Przysięgnij mi, że będziesz czuwał nad nim jak ojciec, wspierał go radą i uczył wszystkiego, co umieć i znać powinien, a spokojnie zamknę powieki.

— Przysięgam ci, królu, — odparł wierny sługa — że służyć mu będę tak gorliwie jak i tobie; nie opuszczę go nigdy, uczyć i strzec go będę i życie bez wahania oddam zań w potrzebie.

— To dobrze, przyjacielu — szepnął umierający — teraz skonam spokojnie, a po mojej śmierci pocieszysz go powtarzając mu ostatnią moją wolę. Oddasz mu także wszystkie skarby moje, pokażesz wszystkie klejnoty, złoto, drogie kamienie, oprowadzisz po zamku, aby poznał sale, tajemne przejścia i skryte komnaty, lecz nie otworzysz przed nim drzwi błękitnego pokoju, w którym jest portret córki króla Wyspy o Złotym Brzegu. Gdyby ten portret ujrzał, zakochałby się gwałtownie i chciałby się z nią żenić, a ta miłość i małżeństwo stałyby się dla niego przyczyną wielu groźnych niebezpieczeństw. Więc strzeż go i nie wpuszczaj do błękitnego pokoju, a pamiętaj także o swojej przysiędze.

Wyciągnął rękę do wiernego sługi, który podał mu swoją na znak złożonej przysięgi; potem zmęczony upadł na wezgłowie i skonał nie wymówiwszy ani jednego słowa.

Na wieść o śmierci ojca syn zapłakał gorąco, i bardzo długo nie mógł pocieszyć go wierny sługa. Przez cały czas żałoby młodzieniec stronił od ludzi, unikał wszelkich rozrywek, a dni przepędzał na poważnych rozmyślaniach i rozmowach z przyjacielem ojca, który powtarzał mu ostatnie słowa umierającego i swoją przysięgę, że w potrzebie życie za niego gotów oddać bez wahania. Lecz gdy upłynął smutny rok żałoby, wierny sługa rzekł pierwszy:

— Teraz zobaczyć musisz dziedzictwo ojca twego: skarby i bogactwa, jak widziałeś obowiązki dobrego monarchy. Pójdź, oprowadzę cię po całym zamku, abyś poznał wszystkie sale i tajemne przejścia, obejrzał kosztowne sprzęty i klejnoty, policzył złoto w skarbcu zgromadzone.

I poszli razem. Sługa wiódł go wszędzie, nie otworzył jedynie drzwi błękitnego pokoju i minąwszy je poszedł dalej. Kiedy

powracali, królewicz zauważył, że minęli je znowu i zapytał o powód.

— Nie możesz tu wejść, królu — rzekł poważnie wierny sługa — gdyż byłbyś narażony na wielkie niebezpieczeństwo, przed którym strzec cię muszę.

— To być nie może — odparł stanowczo młodzieniec — powinienem i muszę znać cały mój zamek: nie jestem dzieckiem, strachów się nie boję, niebezpieczeństwo nie przeraża mnie żadne, przeciwnie nawet, pragnę poznać je koniecznie, abym się bronić umiał. Otwórz te drzwi natychmiast.

— Nie, panie, nie żądaj tego! Przysiągłem ojcu twemu, że ci drzwi tych nie otworzę i nie uczynię tego. Pamiętaj, że taką była jego wola i szanować ją powinieneś. On wiedział przecież, dlaczego wejść ci tam wzbrania.

— Ojciec miał mnie za dziecko i nie myślał o tym, że nie będę miał spokoju, póki tych drzwi nie otworzę. Mąż, rycerz i monarcha nie może lękać się rzeczy nieznanej i ustępować przed nią; nie ruszę się z tego miejsca, dopóki drzwi nie otworzysz.

Cóż miał począć wierny sługa? Wiedział, iż na nieszczęście obraz tak był ustawiony, że kto drzwi otwierał, ujrzeć go musiał zaraz; a królewna Wyspy o Złotym Brzegu wymalowana była tak cudownie, że zdawała się żyć, patrzeć i uśmiechać do każdego, kto przed portretem stanął. Prócz tego obraz zdobiły klejnoty, którymi wysadzana była korona pięknej królewny i stąd jaśniał z daleka takim blaskiem, że olśniewał wzrok patrzącego.

Stary sługa wzdychając i potrząsając głową sięgnął do pęka kluczy, wyjął z nich jeden wielki, sztucznie kuty, włożył w zamek, obrócił i pragnąc koniecznie zabezpieczyć młodzieńca przed widokiem obrazu, wszedł pierwszy i zarzucił na złociste ramy własną szatę. Lecz królewicz szarpnął go za rękę, zasłona spadła i cudna dziewica, strojna w klejnoty słonecznego blasku, ukazała się zdumionym oczom patrzącego. Była tak prześliczna, tak żyjąca na portrecie, że nieszczęsny młodzieniec pobladł w jednej chwili i z okrzykiem zachwytu upadł jak martwy na ziemię.

Troskliwie podniósł go wierny opiekun,

płacząc zaniósł na łoże i zaczął mocnym winem trzeźwić i nacierać zemdlonego.

— Nieszczęście! — powtarzał przy tym. — Stało się nieszczęście! Co teraz będzie, o Boże!

Królewicz jednak odzyskał przytomność i pierwsze jego słowa były:

— Czyj to portret?

— Córki króla Wyspy o Złotym Brzegu — odparł ze smutkiem wierny sługa.

— Kocham ją tak — rzekł królewicz — iż żyć bez niej nie mogę. Muszę dostać ją za żonę, albo zginę marnie. Tyś moim przyjacielem, więc radź i pomagaj.

Zafrasował się jeszcze bardziej wierny sługa i długo myślał i obmyślał sposób, jakim można zdobyć prześliczną królewnę Wyspy o Złotym Brzegu. Była najbogatszą i najpiękniejszą na świecie, lecz za mąż wyjść nie chciała, bo wiedziała dobrze, iż śmierć niechybna czeka w krótkim czasie wybranego przez nią małżonka.

Myślał i przemyśliwał wierny sługa, stanął wreszcie przed królewiczem i tak powiedział:

— Królu mój i panie, przysiągłem ojcu

twemu, iż służyć ci będę i życie oddam za ciebie w potrzebie. Stało się wielkie nieszczęście, żeś nie posłuchał jego woli, a gdy już nie ma rady i pragniesz koniecznie zdobyć królewnę milszą ci nad życie, tak postąpić musimy: Na Wyspie o Złotym Brzegu stoi najbogatszy w świecie zamek starego króla, z czystego złota zbudowany i sprzęty w nim złote także i szaty królewny, łóżka, stoły, nakrycia, kubki i talerze. Otóż trzeba zbudować wielki i piękny okręt, pokryć go złotą blachą, a że w skarbcu twoim znajduje się pięć skrzyń złota, więc wezwij złotników i każ z tego materiału zrobić przeróżne cacka, ptaki, motyle, zwierzęta, figurki, małe graciki, bogato przybrane w drogie kamienie, a z takim towarem pozwolą nam niezawodnie zawinąć do portu Wyspy o Złotym Brzegu i ujrzeć królewnę.

Ucieszył się młodzieniec z takiej mądrej rady, kazał natychmiast zbudować wspaniały wielki okręt, wezwał złotników z całego państwa i musieli pracując w dzień i w nocy ze wszystkiego złota wyrabiać przeróżne cacka i graciki, które składano

potem w wielkie skrzynie i ustawiano na okręcie. Gdy było wszystko gotowe, królewicz i wierny sługa przebrali się w kupieckie suknie, wsiedli na okręt i płynęli po morzu tyle miesięcy, że przybyli na koniec do Wyspy o Złotym Brzegu.

Wierny sługa wybrał teraz kilkanaście prześlicznych drobiazgów, związał je w jedwabną chustkę i rzekł do królewicza:

— Ja idę do zamku, a ty każ tymczasem poustawiać to wszystko na pokładzie i w kajutach, gdyż może mi się uda sprowadzić królewnę.

I poszedł śmiało przez kraj obcy i nieznany do królewskiego zamku, który stał na górze. Wchodząc na dziedziniec ujrzał młodą i piękną dziewczynę, która złotymi wiadrami czerpała wodę ze studni. Zobaczywszy go, zdziwiła się bardzo i zapytała, skąd i po co przyszedł.

— Jestem kupcem i niosę towar na sprzedanie — odparł spokojnie wierny sługa i pokazał jej złote rzeczy, zawinięte w chustce.

— Ach, jakież to śliczne cacka! — zawołała dziewczyna.

Postawiła wiadra z wodą i przeglądać zaczęła kolejno przedmioty.

— Nic piękniejszego nie widziałam w życiu — odezwała się obejrzawszy wszystko — musisz iść teraz ze mną do naszej królewny, która bardzo lubi wyroby ze złota i zapewne kupi te prześliczne rzeczy.

Mniemany kupiec nie dał się namawiać i chętnie poszedł zaraz za dziewczyną, która go zaprowadziła do królewny.

Obejrzawszy kosztowny towar królewna rzekła uprzejmie:

— Są to rzeczy bardzo piękne, starannie zrobione; chętnie kupię wszystkie. Jakiej żądasz ceny?

— Najpiękniejsza królowo — odparł kupiec śmiało — ja sługą jestem tylko bogatego pana, a to co widzisz tutaj niczym jest w porównaniu do skarbów, zgromadzonych na jego okręcie. Gdybyś je zobaczyć mogła, byłabyś zachwycona, bo żaden król na świecie nic podobnego nie posiada.

— Więc idź, powiedz panu swemu, aby mi przysłał to wszystko, a zapłacę mu hoj-

niej niż jakikolwiek monarcha, gdyż nikt nie dorówna mi w bogactwie.

— Najpiękniejsza i najbogatsza królewno — odezwał się kupiec znowu — trudno będzie spełnić to życzenie twoje, gdyż towar pana mego tak jest nieprzebrany, iż upłynęłoby wiele tygodni, nim mógłby być zniesiony do zamku, gdzie trzeba by dla niego przygotować wiele miejsca. Nie mamy tylu ludzi do noszenia i spieszy nam się z powrotem do domu, więc może raczysz posłać sługi twoje, aby wybrały dla ciebie to wszystko, co zakupić byś pragnęła.

— Nie! — zawołała zaciekawiona królewna — dziś jeszcze wszystko sama widzieć muszę; zaprowadź mię na okręt twego pana, niechaj mi sam pokaże swoje nieprzebrane skarby.

Tego właśnie pragnął tylko wierny sługa, natychmiast zaprowadził królewnę na okręt, a na jej widok królewicz o mało nie zemdlał po raz drugi, gdyż przekonał się, że była tysiąc razy piękniejsza od własnego portretu. Z sercem bijącym jakby wyskoczyć mu chciało, oprowadzał ją po kajutach i pokładzie pokazując każdy przed-

miot: złote okręciki z jedwabnymi żagielkami, rubinową latarnię ze szmaragdowymi oknami, przecudne ptaki, wysadzane drogimi kamieniami, smoki, motyle, drapieżne zwierzęta, wiatraki, chatki i zamki królewskie, figurki pięknych księżniczek, strzelców, rycerzy, karzełków, maleńkie gotowalnie, całe pokoiki zastawione maleńkimi sprzęcikami, ogród owocowy, w którym na złotych drzewach wisiały rubinowe, szafirowe i topazowe owoce wśród szmaragdowych liści i tysiące innych zachwycających cacek.

Królewna z zachwytem oglądała rzecz każdą długo i ciekawie i wszystko kupić chciała.

Zaprowadził ją potem do podwodnej kajuty, gdzie przy blasku lampy wszystko piękniejsze się jeszcze zdawało, a gdy wyszli na pokład, słońce świeciło znowu i królewna nie poznała, że już dzień drugi się zaczął, a ona wciąż oglądała śliczne i kosztowne cacka. Nie spostrzegła i tego, że ledwo weszła na okręt, wierny sługa rozkazał natychmiast sternikowi rozwinąć

wszystkie żagle i podnieść kotwicę, tak iż okręt popłynął lotem ptaka po fali.

Wreszcie obejrzała wszystko; podziękowała kupcowi, a czując się bardzo znużoną rozkazała, by ją odprowadzono niezwłocznie do zamku, skąd przyśle ludzi po zakupione rzeczy i należne za nie pieniądze.

Skoro jednak zbliżyła się do brzegu statku, .z przerażeniem spostrzegła, że razem z całym okrętem znajduje się na pełnym morzu i z daleka nawet nie widać Wyspy o Złotym Brzegu.

— Ach! — krzyknęła z przerażeniem — oszukano mię i porwano! Gwałtem i podstępem dostałam się w moc rozbójnika, który się kupcem przezwał! ale wolę umrzeć niż pozwolić, ażeby tak nikczemny człowiek triumfował nade mną!

I wyciągnęła ręce chcąc wyskoczyć w morze, lecz królewicz pochwycił ją i trzymał mocno.

— Nie lękaj się — mówił przy tym głosem drżącym — nie jestem kupcem ani rozbójnikiem, jestem królewskim synem i monarchą, a państwo moje równie wielkie i potężne jak kraje twego ojca. Kocham cię

i dlatego porwałem cię podstępem, bo wiedziałem, że nie chcesz być niczyją żoną. Gdy ujrzałem twój portret, upadłem zemdlony, a odzyskawszy zmysły powiedziałem sobie, że cię zdobędę lub zginę, bo życie nie ma dla mnie żadnej wartości bez ciebie.

Podobała się ta mowa królewnie i życzliwie spojrzała na pięknego młodzieńca, a kiedy ją przekonał, że bez niej żyć nie potrafi, zgodziła się nareszcie zostać jego żoną i usiłowała serdecznie zapomnieć o wszystkich przepowiedniach i niebezpieczeństwach.

Wierny sługa tymczasem siedział wciąż przy sterze, grał na harfie i słuchał, co szumiały fale, co szeptał wiatr wieczorny, co mówiły gwiazdy mrugając wśród ciemności na sklepieniu nieba. Cieszył się bardzo szczęściem swego pana, ale zapomnieć nie mógł słów starego króla i drżał ciągle przed nieznanym groźnym niebezpieczeństwem.

Raz gdy tak siedział przygrywając z cicha, ujrzał trzy czarne kruki bujające nad okrętem i okrążające go w różnych kierunkach.

— Krrr, Krrr! — zawołał jeden; — patrzcie, to królewicz wiezie porwaną królewnę Wyspy o Złotym Brzegu!

— Jeszcze jej nie ma.

— Jak to? Wszakże siedzi obok niego pod purpurowym żaglem na okręcie.

— To nic nie znaczy; wiezie narzeczoną, którą spodziewa się poślubić wkrótce, ale nie wie, że skoro przybije do brzegu, koń złotogrzywy zarży mu na powitanie, królewicz zachwycony pięknością rumaka zechce go dosiąść, a wówczas koń ognisty pędem strzały wzbije się z nim w powietrze, gdzie spłoną oba i nawet proch jego nie spadnie na ziemię.

— To straszne, ale przecież może uniknąć zguby.

— Zapewne, jeśli znajdzie tak wiernego i odważnego przyjaciela, który zamiast niego dosiędzie rumaka, wyjmie ukryty w grzywie jego sztylet i uderzy nim silnie w głowę konia. Wówczas wróg jeden byłby pokonany, lecz jest to niebezpieczeństwem, ponieważ gdyby kto wiedział o tym i wymówił jedno słowo, natychmiast skamienieje po kolana i królewicza nie ocali.

— Tak, tak, nie ma ratunku dla męża królewny i dla niej samej; jego koń rozniesie, lecz chociażby ocalał i przybył do zamku, znajdą na stole w królewskim pokoju dwa purpurowe płaszcze, złotem przetykane, kamieniami drogimi bogato przybrane, perłami ozdobione. Nie ma takich płaszczy żaden monarcha na szerokim świecie, więc zechcą się w nie przybrać na uroczystość weselną nie wiedząc, że to zdrada i że gdy zarzucą strój ten na siebie, spłoną w mgnieniu oka, tak że popiołu nawet po nich nie zostanie.

— I nikt ich nie może ostrzec, choćby kto wiedział o tym, bo skamieniałby natychmiast do pasa!

— Tak, ale mógłby ocalić ich jeszcze rzucając w ogień te kosztowne szaty; trzeba tylko, aby ich nie dotykał rękoma, lecz przez żelazne kleszcze; inaczej sam zginie.

— I to by nie pomogło — zakrakał kruk trzeci — chociażby uniknęli tych dwóch niebezpieczeństw, grozi im śmierć niechybna, bo gdy wśród zabawy królewicz zacznie tańczyć ze swą narzeczoną, ta ostatnia upadnie nagle jak nieżywa i nikt jej nie ocuci,

bo nikt nie wie, że trzeba przekłuć szyję królewny i ssać z niej krew tak długo, póki się nie ocknie. Jeśli tego nie zrobią, królewicz umrze z żalu, a królewna zostanie żywcem pochowana i nie ma na to rady, bo choćby kto wiedział i wymówił jedno słowo, skamienieje cały od stóp do głowy.

Poleciały kruki, a wierny sługa przestał grać na harfie i do białego ranka siedział zamyślony; a gdy się ocknął wreszcie, blady był i smutny, nie słuchał szumu fali ani szmeru wietrzyka, ale rozważał słowa zmarłego króla i przyjaciela.

— Przysiągłem umrzeć zań nawet — szepnął na koniec z ciężkim i smutnym westchnieniem.

Gdy przybili do lądu, spełniło się wszystko, co kruki przepowiedziały. Złotogrzywy rumak wybiegł z wesołym rżeniem na powitanie króla, który chciał go dosiąść, lecz wierny sługa szybko zbliżył się do konia, wyjął błyszczący sztylet wśród grzywy ukryty i tak nim silnie uderzył w głowę, iż zwierzę padło na miejscu nieżywe.

Królewicz się zadziwił, a zazdrośni dworzanie głośno szemrać zaczęli:

— Cóż to za zuchwalstwo? zabić tak piękne zwierzę, godne nosić króla! To zasługuje na surową karę.

— Ciszej! — rzekł monarcha groźnie — uczynił to mój wierny sługa i przyjaciel, więc musi to być dobre i konieczne.

I poszedł naprzód z piękną narzeczoną, choć żal mu było ślicznego rumaka.

W tronowej sali na złocistej tacy leżały dwa przepyszne płaszcze purpurowe, złotem i kamieniami drogimi przybrane, a tak piękne, że królewicz aż krzyknął z podziwu i chciał się w nie przybrać ze swą narzeczoną; lecz wierny sługa przyskoczył z pośpiechem, odtrącił na bok rękę króla i królewny, sam płaszcze porwał przez żelazne kleszcze i rzucił je w płonący ogień na kominku.

— To za wiele — szepnęli zazdrośni dworzanie; — spalić płaszcze królewskie tak cudnej roboty! Wkrótce zuchwały sługa sam panować zechce.

Lecz król nakazał powtórnie milczenie oświadczając, że ufa swemu wiernemu słudze i co on czyni, za dobre uważa.

Podano do stołu i zaczęła się uczta i za-

bawa. Kiedy zagrała muzyka do tańca, król podał rękę pięknej swej małżonce, a wierny sługa zauważył, iż zbladła zaraz i zaledwie zwolna postąpiła parę kroków, zachwiała się i upadła martwa.

Przestraszyli się wszyscy, ale wierny sługa podniósł ją spiesznie, wybiegł do drugiego pokoju, tam położył dziewicę na królewskim łożu, ostrym nożykiem przekłuł białą szyję i pił z niej krew tak długo, aż zemdlona królewna westchnęła i otwarła oczy.

Wtedy się wyprostował, ale król stał przy nim i widział wszystko, a uniesiony gniewem kazał wiernego sługę wtrącić do więzienia. Nazajutrz, gdy tłumaczyć się nie chciał przed sędzią, skazano go na powieszenie.

Przed oknami pałacu wzniesiono szubienicę, gdyż zagniewany monarcha chciał sam widzieć śmierć zuchwalca, co poważył się zranić jego żonę i pić jej krew gorącą. Gdy w dzwon uderzono i skazany pod strażą szedł na śmierć haniebną, spojrzał w okno zamkowe i ujrzawszy króla, zapytał, czy raz jeszcze przemówić mu wolno.

— Tak — odparł monarcha dumnie — każdy umierający może przed śmiercią powiedzieć, co chce.

— Jestem niewinny — rzekł wówczas wierny sługa — nie popełniłem żadnego występku.

I opowiedział głośno podsłuchaną rozmowę kruków, która mu pozwoliła ocalić życie królowi. Ten ostatni słuchał go ze łzami w oczach i wyciągnąwszy do niego ręce zawołał:

— Przebacz mi, przyjacielu, przebacz mój gniew szalony, przebacz i nie opuszczaj mnie nigdy.

Lecz wierny sługa milczał, nie mógł odpowiedzieć, albowiem był już kamieniem.

Nie pomógł żal spóźniony, łzy króla i królowej nie powróciły życia najwierniejszemu słudze, więc na wieczną pamiątkę swojej ciężkiej winy, kazał król kamienny posąg postawić w swoim pokoju, aby go widział wstając i kładąc się na spoczynek i strzegł się popełnienia podobnej niesprawiedliwości. I nieraz siedząc obok ukochanej żony wzdychał spojrzawszy na kamien-

ne rysy najwierniejszego przyjaciela i powtarzał:

— O, cóż bym dał, ażeby przywrócić ci życie!

Królowa żałowała go także serdecznie i to jedno zasmucało ich niezmierne szczęście.

W jakiś czas potem nowa radość zawitała do królewskiego zamku: przyszło na świat dwóch chłopców, bliźniąt, śliczne dzieci, z oczyma błękitnymi jak bławatki, ze złotymi włoskami i twarzyczką, podobną do świeżego płatka róży. Król i królowa nad życie kochali te śliczne dziatki i ani na minutę nie spuszczali ich z oka; ojciec lub matka zawsze byli z nimi, by czuwać nad największym, najdroższym swym skarbem.

Raz królowa udała się do świątyni na modlitwę, a ojciec pozostał z dziećmi. Dzień był dżdżysty, więc chłopcy bawili się w pokoju, a monarcha z rozkoszą patrząc na ich igraszki mimowolnie wzrok podniósł na kamienny posąg i szepnął ze szczerym żalem:

— O wierny mój i drogi przyjacielu, cóż bym dał, żeby przywrócić ci życie!

Nagle poruszyły się kamienne usta i głuchy głos odpowiedział:

— Możesz mi je zwrócić, jeśli zechcesz poświęcić, co masz najdroższego.

— Wszystko! — zawołał młody król z zapałem — wszystko, co mam na świecie, oddam bez wahania, aby ci wynagrodzić wyrządzoną krzywdę, przywrócić życie, któreś mi poświęcił.

— Życie za życie — szepnął posąg głucho — krew twoich dzieci ocalić mnie może. Jeśli własną ręką przebijesz im serca i krwią gorącą pryśniesz mi na twarz i piersi — odzyskam życie.

Umilkł głos posągu, ale król stał długo nieruchomy i blady, jak gdyby skamieniały. Te dzieci ukochane zabić ma własną ręką, aby zmazać winę, spełnić dług wdzięczności? — to straszna kara!... Ale z drugiej strony przypomniał sobie, że ten wierny sługa dobrowolnie życie poświęcił za niego...

Blady, drżącą ręką sięgnął po miecz, wymierzył — i potężnym ciosem przebił serce jednego i drugiego chłopca; potem szybko krwią gorącą prysnął na twarz posągu, któ-

ry zadrżał gwałtownie, zachwiał się i nagle odzyskał życie.

Król postąpił ku niemu i zapłakał w objęciach wiernego sługi swego; i płakał długo, bo nie miał odwagi odwrócić oczu i spojrzeć na martwe, zimne ciała synów.

— Uspokój się — rzekł na koniec odzyskany przyjaciel — to była tylko próba wierności słów twoich i pragnienia, któreś tak często powtarzał. Spojrzyj na dzieci.

Król spojrzał ze łzami, ale natychmiast krzyknął w uniesieniu radości: bliźnięta stały obok, zdrowe, uśmiechnięte i patrzyły nań oczyma błękitnymi jak bławatki.

Teraz nic nie brakowało królowi do szczęścia; odzyskał przyjaciela, miał ukochane dzieci, ale chciał poznać i serce małżonki, więc podszedł ku niej, kiedy wracała do domu.

— Czy modliłaś się o życie wiernego sługi naszego? — zapytał.

— Tak — odparła — serdecznie modliłam się o to; nigdy nie zapominam, co on uczynił dla nas.

— To dobrze, gdyż przyszedłem, aby ci powiedzieć, że nasz przyjaciel może powró-

cić do życia, jeżeli poświęcimy ukochane dzieci. Ich krew gorąca ocalić go może.

Zbladła królowa i załamała ręce; długo milczała, w końcu zalała się łzami i szepnęła cicho:

— Winniśmy ponieść tę ofiarę... on życie oddał za nas.

— Dziękuję ci, droga żono! — zawołał król radośnie. — Przyjaciel nasz ocalony i dzieci żyją także; chciałem się tylko przekonać, czy jednakowo myślimy.

I opowiedział jej wszystko, co się stało, a potem zaprowadził do pokoju, gdzie powitały ją wesołe dzieci i najwierniejszy przyjaciel.



RUSAŁKA

W bardzo pięknej dolinie otoczonej lasem, nad rzeką rozlewającą się w staw wielki jak jezioro, stał młyn duży, porządny, czynny nieustannie, tak iż szum wody i turkot kamienia nie milkły prawie nigdy. Mieszkał tu z żoną bogaty, pracowity młynarz. Roboty mu nie brakło, więc choć żył niewygodnie, przybywało mu prawie z dniem każdym dostatku i byłby najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, gdyby miał choć jedno dziecko.

Póki był zajęty pracą, nie miał czasu na smutne myśli; lecz kiedy w święto ucichł turkot młyna, pusto i cicho robiło się w chacie, młynarzowa wzdychała, a on wiedział dobrze, że zarówno z nim się martwi, komu zostawią dostatek, dla kogo pracować będą, kto ich pocieszy w starości...

Patrząc na dzieci wiejskie zazdrościli nieraz szczęśliwym ich rodzicom i powtarzali sobie, że nic nie wart dostatek, gdy największego skarbu, zdrowego dziecka nie ma w domu; że szczęśliwszy od nich jest każdy ubogi, któremu Bóg nie odmówił tej pociechy.

Wtem z wiosną, kiedy śniegi stopniały na górach, wezbrały wody w rzece, pozrywały tamy, popsuły koła młyńskie, poniszczyły budynki i ogromne w okolicy wyrządziły szkody, młynarz stracił bardzo wiele i od tego czasu zaczęły nań spadać klęski coraz nowe. W krótkim czasie padły mu krowy z zarazy, złodziej ukradł pieniądze, młyn psuł się co chwila, nie zawsze teraz mógł wydążyć z robotą, a z tego różne wynikały straty, kłopoty, niezgody. Rok nie upłynął, a młynarz z bogacza i pana stał się tak ubogim, że nieraz i chleba w chacie brakowało. Znosił to odważnie, nie ustawał w pracy, lecz martwił się coraz bardziej, nie sypiał po nocach i z ciężkim żalem myślał, że przyjdzie mu chyba opuścić rodzinne strony razem z żoną i szukać gdzie indziej szczęścia.

Raz po bezsennej nocy wstał o świcie i wyszedł na świat Boży. Młyn stał już od dawna, nikt do niego zboża nie przywoził, więc w pięknej dolinie panowała cisza; rzeka płynęła spokojnie, na zielonej trawie niby rozsypane perły błyszczały krople rosy, niebo było pogodne, różowe na wschodzie, powietrze czyste, chłodne. Młynarz szedł wzdłuż stawu z głową pochyloną smutnie. Wtem słońce wzeszło, złote promienie oblały dolinę, a w nadbrzeżnej trzcinie coś się poruszyło, zakołysały się liście wysokie i z pluskającej fali podniosła się zwolna cudnej piękności kobieta.

Włosy jej jasne jak promienie słońca spływały na ramiona i osłaniały ją całą, oczy świeciły jak gwiazdeczki, a w koralowych ustach jaśniały ząbki perłowej białości. Śmiała się i pluskała w przeźroczystej wodzie, jej złote włosy rzucały blask śliczny, a białe ręce, które podniosła do góry, zdawały się wabić ptaszki i motyle, unoszące się rojami nad tym prześlicznym zjawiskiem.

Młynarz odgadł natychmiast, że to być musi rusałka i przerażony chciał uciec co

prędzej, ale wodna dziewica zaśmiała się srebrnym śmiechem, zawołała nań po imieniu i głosem słodkim jak powiew wietrzyka zapytała o powód smutku.

Młynarz nie mógł już odejść; oczarowany tym głosem, z zachwytem patrzał na śliczną rusałkę, odpowiadał na jej pytania i z ufnością zwierzył jej się ze swych kłopotów i ciężkiego zmartwienia.

— Dobry człowieku — odparła rusałka — szczęście twoje, żeś dzisiaj stanął tu nad brzegiem; nie wiesz nawet, jak wielką litość budzisz we mnie! Chcę ci nagrodzić wszystkie twoje straty, obsypać cię bogactwem i wszelką pomyślnością, ale żebyś miał prawo korzystać z mej opieki, musisz mi oddać to, co w tej chwili urodziło się w twojej chacie.

— Cóż by to być mogło? — pomyślał młynarz — chyba małe kocię?... — i bez wahania zgodził się na ten warunek.

— To dobrze — przemówiła znów słodko rusałka — wracaj spokojnie: szczęście idzie za tobą.

I zanurzyła się w przejrzystej wodzie.

Młynarz stał jeszcze chwilkę na tym sa-

mym miejscu i patrzał na uciszające się fale; potem pełen otuchy zawrócił do domu. Lecz w tejże chwili z chaty wybiegła służąca wołając go do żony, która uszczęśliwiona pokazała mu ślicznego chłopczyka, leżącego na łóżku.

— Straciliśmy majątek, ale mamy dziecko; urodził się nam syn upragniony, więc powinniśmy być zadowoleni i za wszystko dziękować Bogu.

Tak mówiła młynarka nie mogąc zrozumieć dlaczego mąż nie cieszy się z tej wiadomości, a gdy opowiedział jej wszystko, co go spotkało nad stawem, głośno wyrzekać i płakać zaczęła.

Cóż jednak można było już poradzić na to nieszczęście? Wezwano krewnych, przyjaciół, znajomych, lecz wszyscy uznać musieli, że chłopczyk młynarza jest własnością rusałki.

Szczęście tymczasem wróciło istotnie: młyn turkotał nieustannie, roboty było wiele, wszystko wiodło się pomyślnie, a pieniędzy i dostatku w oczach przybywało. Wkrótce młynarz był znowu panem i bogaczem, ale nie czuł się szczęśliwym, obietnicą

dana rusałce zatruwała mu każdą godzinę. Sam nie zbliżał się do stawu i drżał, że lada chwila przewrotna istota w ten lub inny sposób przyjdzie upomnieć się o swoją własność.

Chłopczyk chował się zdrowo, był wesół, śliczny, mądry, rodzice pilnowali go jak oka w głowie i ostrzegali ciągle, że gdyby kiedykolwiek zbliżył się do stawu, niewidzialna ręka wciągnie go w głąb i utopi. Roztropny chłopczyk słuchał we wszystkim rodziców. Lata płynęły, nic go złego nie spotkało; w końcu też zapomniano prawie o rusałce i danym jej przyrzeczeniu.

Chcąc jak najdalej usunąć syna od groźnej wody młynarz oddał go z czasem na naukę do strzelca. Młodzieniec był zręczny, śmiały, wyuczył się prędko rzemiosła, został strzelcem w wielkim lesie i ożenił się z piękną dziewczyną, którą poznał w sąsiedniej wiosce. Książę, u którego służył, dał im śliczny domek, w którym po weselu zamieszkali i kochając się bardzo żyli spokojnie i szczęśliwie.

Strzelec co rano wychodził do lasu, wracał na obiad obciążony łupem, a następnie

znów do wieczora tropił zwierzynę lub zastawiał sidła. Czasem noc całą przepędzał w zasadzce, niekiedy z księciem wyjeżdżał na łowy.

Razu jednego ścigał długo sarnę, która wybiegła z lasu aż w dolinę, gdzie nareszcie strzał celny położył ją trupem. Strzelec nie spostrzegł, że stało się to właśnie w pobliżu stawu rusałki; zbliżył się do wody, by obmyć skrwawione ręce, zaledwie się jednak schylił, cudna rusałka podniosła się z fali, zarzuciła mu mokre ramiona na szyję i skryła się z nim w głębinę.

Noc zapadła, a żona czeka daremnie strzelca; zdjęta niepokojem biegnie w końcu nad wodę, gdyż wiedziała dobrze, jakie niebezpieczeństwo grozi mu ze strony zdradzieckiej rusałki; woła — nikt się nie odzywa. Wtem spostrzega zabitą sarnę i torbę myśliwską strzelca, poznaje własność męża i odgaduje nieszczęście. Zrozpaczona błądzi nad stawem, załamuje ręce, z głośnym płaczem wzywając męża po imieniu. Wszystko na próżno, śmiech tylko jakiś w ciemności słychać nad wodą; więc przeklina rusałkę i wzywa jej litości — na próżno i nadarem-

nie; jasny księżyc oświetlił gładką powierzchnię wody, na której śladu życia dopatrzeć się nie można.

Noc, cisza, księżyc, woda nieruchoma, zabita sarna, las czarny dokoła i nieszczęśliwa kobieta, wzywająca męża głosem rozpaczy i trwogi... Obiegła staw wokoło, biegnie po raz drugi jęcząc i płacząc; gdy jej siły zbraknie, idzie słabnącym krokiem. I znów przypomina sobie los swój okrutny, stratę niepowetowaną, wybucha krzykiem, biegnie jak szalona, na koniec nieprzytomna upada na ziemię. Leży bezsilna, omdlała, bez ruchu i powoli zapada w sen głęboki, pełen marzeń...

Śniło jej się, że szła spłakana na wysoką górę pnąc się po stromych skałach; krew płynęła jej z twarzy i rąk, podrapanych o ostre ciernie, deszcz zmoczył jej suknie, wiatr szarpał długie włosy, lecz szła naprzód ciągle, aż stanęła na szczycie góry. Tu odetchnęła na koniec: nad nią było pogodne i błękitne niebo, przed nią łąka kwiecista, a dalej nad strugą białą czyściutka chata. Gdy zapukała do drzwi, głos przyjazny ją wezwał, aby je otworzyła i ujrzała

w izdebce miłą twarz staruszki, która skinęła na nią.

Obudziła się biedna kobieta, otworzyła oczy i przypomniała sobie, co się stało. Rozpacz ją ogarnęła, ale w tejże chwili sen stanął jej w pamięci, więc podniosła się natychmiast, a ponieważ ciemności nocy ustąpiły, udała się niezwłocznie w drogę.

Szła wciąż przed siebie, póki nie ujrzała wysokiej i stromej góry; wówczas piąć się zaczęła, zupełnie tak jak we śnie. Jak we śnie znalazła chatkę i siwą staruszkę o życzliwym, dobrym uśmiechu i łagodnym spojrzeniu.

— Musisz być nieszczęśliwa, kiedyś przyszła do mnie — rzekła staruszka podając jej niski stołeczek, aby spoczęła po dalekiej drodze.

— Tak — odparła kobieta i opowiedziała jej wszystko.

Staruszka popatrzała na nią, potem sięgnęła do kieszeni i podała jej złoty grzebień.

— Na pełni księżyca idź nad staw z tym grzebieniem — odezwała się łagodnie — usiądź nad wodą i czesz się tym grzebieniem

tak długo, aż jeden z twoich czarnych, długich włosów pozostanie na grzebieniu. Potem połóż go na brzegu i uważaj, co się stanie.

Biedna kobieta wróciła do domu, lecz dni wiekami jej się wydawały, nim się doczekała upragnionej pełni. Wreszcie zaświecił księżyc na ciemnym błękicie, przejrzał się w lustrzanej szybie kryształowej wody i we wszystkich kropelkach rosy na zielonej trawie. Wtedy z chatki wybiegła stęskniona kobieta, usiadła na brzegu stawu i złotym grzebieniem długo czesała swoje czarne włosy, aż nareszcie włos jeden owinął się około grzebienia. Położyła go zaraz na wybrzeżu i czekała z bijącym sercem, co się stanie.

Wtem zaszumiała woda, podniosła się fala, uderzyła o brzeg i zabrała złoty grzebień. Zakołysała się powierzchnia stawu, potem otworzyła nagle w samym środku i głowa strzelca ukazała się nad wodą. Spojrzał na żonę smutnymi oczyma, ale nic nie powiedział, gdyż w tej samej chwili nowa, potężna fala zakryła go znowu. Wszystko zniknęło i wszystko ucichło; nieruchoma fa-

la wody leżała spokojnie, nad nią świecił jasny księżyc, a na brzegu kobieta płakała łzami.

I nie odeszła stąd znowu aż do poranku; spała na mokrej trawie i po raz drugi we śnie przebywała trudną drogę do chaty staruszki. Gdy się obudziła, słońce już świeciło, więc niezwłocznie udała się na znaną górę i zapukała do drzwi siwowłosej wróżki. Ta przyjęła ją uprzejmie, wysłuchała opowiadania i uśmiechnęła się życzliwie.

— Bądź dobrej myśli, moja córko — rzekła — daję ci oto tę srebrną fujarkę. Gdy księżyc zaświeci w pełni, pójdziesz na brzeg stawu, zagrasz na niej piosenkę, potem ją położysz i uważaj dobrze, co się dalej stanie.

Z tęsknotą i upragnieniem oczekiwała znowu biedna kobieta pełni i kiedy srebrny księżyc zaświecił wreszcie na niebie, wiernie spełniła polecenie wróżki: zagrała na srebrnym flecie piosenkę, którą razem śpiewali z mężem, potem położyła fujarkę na brzegu.

Zaszumiała woda, podniosła się wysoka fala, uderzyła silnie o brzegi i zabrała fujar-

kę. W tej chwili zakołysała się powierzchnia stawu, zawrzało coś w głębinie, rozstąpiła się woda i ukazała się nad nią postać strzelca do pasa. Spojrzał stęsknionym wzrokiem na kochaną żonę i wyciągnął do niej ramiona; lecz druga olbrzymia fala spadła nań gwałtownie i zakryła go znowu.

Zaszlochała biedna kobieta i rzuciła się na mokrą ziemię.

— I cóż mi z tego, że go zobaczę na chwilę, gdy znowu tracić go muszę! — wołała płacząc gorzkimi łzami, póki nie usnęła.

We śnie widziała znowu dobrą wróżkę i udała się do niej po raz trzeci. Białowłosa staruszka wysłuchała ją życzliwie i położyła rękę na jej czarnych włosach.

— Trzeba być cierpliwą — rzekła — nie wszystko jeszcze spełniłaś. Masz tu bursztynowe wrzeciono; gdy księżyc zaświeci w pełni, idź na brzeg stawu i naprządź całe wrzeciono lnianej przędzy, a następnie wetknij je w piasek dość mocno i czekaj, co dalej będzie.

Żona strzelca serdecznie podziękowała staruszce, doczekała się pełni, wzięła len,

wrzeciono, usiadła na wybrzeżu i przędła tak pilnie, iż wkrótce osnuła całe cienką nicią. Wtedy wetknęła je w ziemię i uważała z biciem serca co nastąpi.

Gwałtownie zaszumiała, wzburzyła się woda, uderzyła mocno o wybrzeże i zabrała wrzeciono; a w tej samej chwili ryknęło coś w głębi stawu, spiętrzyły się fale, rozpadła się ciemna woda i na spienionych bałwanach ukazał się strzelec, blady, ze stęsknionym wzrokiem. Ujrzawszy żonę, krzyknął i poskoczył ku niej; w mgnieniu oka pochwycił ją silnie w objęcia i zaczęli szybko uciekać do lasu. Lecz woda w stawie zawrzała gwałtownie, podniosła się aż pod obłoki i z rykiem całą masą zalała zieloną łąkę pokrywając wspólnym grobem biednych zbiegów.

Wierna żona jednakże w chwili niebezpieczeństwa wymówiła w rozpaczy imię dobrej wróżki, która zamieniła ich natychmiast w żaby. Tym sposobem, choć woda porwała ich i zalała, nie pozbawiła życia, tylko rozdzieliła i poniosła w strony przeciwne. Stanąwszy znów na suchej ziemi, strzelec i jego żona odzyskali postać ludz-

ką, lecz nie wiedzieli o sobie nawzajem, gdzie się znajdują i czy zostali przy życiu. Rozdzielały ich góry i doliny, w obcych nieznanych byli okolicach i zajęli się oboje pasterstwem, pędząc smutne życie w tęsknocie i ciężkim żalu. Samotność im ciążyła bardzo, lecz nie szukali ludzi, bo nieszczęście i smutek uczyniły ich lękliwymi; strzegli więc tylko stad swoich wybierając dla nich łąki z najpiękniejszą paszą.

Lat kilka upłynęło im tak w odosobnieniu, gdy pewnej wiosny ujrzeli się znowu w jednej dolinie. Każde przybyło tu z przeciwnej strony, lecz nie poznali się wzajem, choć radzi byli, że nie są już sami.

Odtąd pędzili życie obok siebie, mało z sobą rozmawiając i nie znając się wcale, razem jednakże paśli swoje małe stada, które zajmowały ich wyłącznie.

Raz na wiosnę, gdy wzgórza, lasy i doliny pokryła świeża zieloność i kwiaty, woda płynęła bystro potokami, a księżyc w pełni zaświecił na niebie, pasterz usiadł na dużym kamieniu przy stadzie, które spało u nóg jego, wziął w rękę srebrną fujarkę i grać zaczął pieśni coraz smutniejsze i coraz tęskniejsze.

Gdy skończył spostrzegł, iż biedna pasterka płakała cicho siedząc obok niego.

— Czego płaczesz? — zapytał.

— Jakże nie mam płakać, kiedy tak samo świecił jasny księżyc, gdy na srebrnej fujarce grałam jedną z tych pieśni i ujrzałam na chwilę postać mego męża, porwanego przez rusałkę. Wyciągnął do mnie ręce, lecz olbrzymia fala zalała go w tejże chwili i znów zostałam sama.

Pasterz spojrzał na siedzącą obok niego kobietę i jak gdyby zasłona spadła mu nagle z oczu, poznał w niej żonę; więc krzyknął radośnie, a gdy ona podniosła nań zdumione oczy, przy jasnym blasku pełni poznała twarz drogą i oboje w uniesieniu szczęścia i radości uścisnęli się serdecznie, płacząc słodkimi łzami.

Czy trzeba opisywać, jak byli szczęśliwi? Drogiej im teraz Doliny Poznania opuścić więcej nie chcieli; tu więc zbudowali chatę, połączyli swoje stada i żyli długie lata do najpóźniejszej starości, wolni od niebezpieczeństw, kochając się zawsze i wychowując ukochane dzieci.



GOŚĆ ZIMOWY

W maleńkim domku z ogródkiem, niedaleko lasu, mieszkała wdowa z dwiema córeczkami. Trzy kobiety choć ubogie były bardzo szczęśliwe, gdyż kochały się serdecznie i zgadzały we wszystkim. Mały ich domek, czyściutki i biały, na zielonym tle lasu wyglądał prześlicznie; w ogródku rosły owoce i kwiaty, a najwięcej białych lilij i róż polnych; pierwsze pielęgnowała starsza córka wdowy, drugie młodsza bardzo lubiła, a obie tak podobne były do tych kwiatów, że matka starszą nazwała Lilijką, młodszą zaś Różą.

Lilijka cicha była jak marzenie, uśmiechała się słodko jak aniołek, oczy miała błękitne, włosy bujne, złote, twarzyczkę delikatną, bladą, a chód tak lekki jak powiew wietrzyka. Ulubionym jej zajęciem

było pomagać matce, pielęgnować kwiatki w ogródku, słuchać szumu strumyka albo wiatru w lesie, patrzeć na błękit nieba i białe obłoczki przesuwające się po nim cichutko, albo słuchać rozmowy siostry i mateczki. Różyczka nie podzielała upodobań siostry i nie była do niej podobna. Ciemnowłosa i czarnooka, cerę miała świeżą, rumianą jak rozwijający się pączek ulubionego jej kwiatu, ruchy żywe, głos dźwięczny; śpiewała też od rana jak skowronek w polu, a biegała bez ustanku po łąkach i lesie zbierając kwiaty i zdobiąc nimi ukochany domek. Matka i siostra kochały ją bardzo, a ona, choć posłuszna na każde skinienie, nieraz rządziła nimi tak pięknie wszystko układając, że matka i córka chętnie zgadzały się na jej plany.

Nie mogąc usiedzieć w domu, a kochając siostrę, Różyczka nie lubiła zostawiać jej samej, gdy biegła w pole lub do lasu, i łagodna Lilijka zwykle bardzo chętnie szła z nią, jeśli nie miała w domu pilnego zajęcia. Na łąkach wiły wieńce, zbierały wiązanki kwiatów, z lasu przynosiły grzyby i jagody i tak się zaprzyjaźniły ze wszyst-

kimi zwierzętami, iż nie uciekały od nich, lecz przeciwnie okazywały im chętnie życzliwość i zaufanie: płochliwe zajączki brały z rąk ich liście kapusty; sarny i jelenie biegły na ich powitanie, ptaszki weselej i głośniej śpiewały spostrzegłszy siostry z daleka. I tak się czuły bezpiecznie wszędzie, że gdy zdarzyło się czasem, że noc zaskoczyła je w lesie i wrócić nie mogły, kładły się na mchu pod drzewem i spały do rana, a powróciwszy do domu zastawały matkę spokojnie czekającą na nie ze śniadaniem.

Razu jednego zbłąkały się tak, że nie mogły odnaleźć drogi i zasnęły, a obudziwszy się o wschodzie słońca ujrzały obok siebie śliczną dziecinę w białej, przejrzystej sukience, która uśmiechnąwszy się do nich życzliwie, odeszła i zniknęła pomiędzy drzewami. Zdziwione dziewczynki podniosły się i teraz dopiero spostrzegły, że spały nad samym brzegiem czarnej, strasznej przepaści, w którą wpaść łatwo mogły, gdyby wzrok życzliwy nie czuwał nad nimi w nocy. Kiedy opowiedziały matce to zdarzenie, staruszka uściskała je ze łzami mówiąc, że prawdopodobnie Anioł-Stróż tak troskli-

wie opiekował się nimi i ukazał im się nad ranem.

Siostry kochały się bardzo i wtedy tylko były zupełnie szczęśliwe, kiedy znajdowały się razem.

— Nie rozstaniemy się nigdy! — mawiała Różyczka.

— Nigdy w życiu! — potwierdzała Lilijka i ściskały się serdecznie.

Obie były niezmiernie pracowite i porządne, zajmowały się same wszystkim, a matka staruszka uczyła je tylko czasem, jak co zrobić mają, i spokojnie siedząc sobie przed domem lub przy kominku przędła kądziel i wyciągała nici tak cieniutkie, że aż oczy bolały patrzeć na nie. W lecie Różyczka zwykle wstawała o świcie i wybiegała po bukiet dla matki, który przynosiła błyszczący od rosy, świeży i piękny jak jej rumiana twarzyczka. W drodze już powitała skowronka i pszczółki, wylatujące na robotę, a tymczasem w domu Lilijka rozpaliła ogień, uprzątnęła izdebkę i na bieluchnym niby śnieg obrusie zastawiła skromne śniadanie. Potem Różyczka pomagała matce przy gotowaniu obiadu, a Lilijka biegła

do krówki, owieczek, odwiedzała gołąbki, karmiła gęsi i kaczki. Po południu, gdy słońce nie tak już paliło, matka siedziała przed domem z kądzielą i przędła patrząc na prześliczne kwiatki i dojrzewające owoce, a dziewczęta biegły do pobliskiego lasu dla zabawy lub na jagody.

W zimie znowu najmilsze były dla nich wieczory: siadały wszystkie razem przy kominku, ogień trzaskał wesoło, one przędły, śpiewały, matka opowiadała im różne historie, co widziała na świecie lub słyszała kiedy od starszych ludzi; u nóg figlarnej Różyczki leżało jej ulubione jagniątko z małym dzwoneczkiem na bielutkiej szyi, nad Lilijką na kominku siedział biały gołąbek, najmilszy jej wychowaniec. W całej izdebce próżno szukałbyś jednego pyłku, rondle na półce świeciły jak złote, a ściany, pułap, podłoga były tak czyste i białe, że w królewskim pałacu nie znalazłbyś czyściejszych.

Właśnie zima pokryła ziemię grubą warstwą śniegu, drzewa stały białe od szronu, a przed okrutnym mrozem pokryły się w swoje nory zwierzęta i ptaki; na ciem-

nym niebie świeciły miliony złotych gwiazdek niby światełka w jakimś oddalonym mieście, a w naszej chatce przed jasnym ogniskiem rozmawiały wesoło matka i dziewczynki.

Wtem ktoś zapukał do drzwi.

— Idź, otwórz, Różyczko — rzekła staruszka. — Widać podróżny jakiś w tę noc mroźną potrzebuje schronienia. Dorzuć, Lilijko, parę drewek na ognisko.

Obie córki wykonały pośpiesznie rozkazy, lecz gdy Różyczka uchyliła drzwi chaty, olbrzymi, czarny niedźwiedź wsunął przez nie głowę i mruknął coś pokornie.

Na ten widok Różyczka z krzykiem w kąt uciekła, Lilijka skryła się za spódnicę matki, jagniątko zabeczało i zadzwoniło dzwonkiem, gołąbek niespokojnie fruwać zaczął po pokoju, ale niedźwiedź odezwał się głosem łagodnym:

— Nie lękajcie się mnie, dobrzy ludzie, nic ja wam złego nie zrobię, zziąbłem tylko okrutnie na tym strasznym mrozie i chciałem ogrzać się trochę. Czy mi pozwolicie?

— A któż by też mógł bez litości odegnać od progu biedne zziębłe zwierzę? —

odparła staruszka. — Wejdź, niedźwiedziu, proszę, połóż się przed ogniem, uważaj tylko, żeby iskra nie zapaliła ci futra. Lilijko, Różo, nie lękajcie się niedźwiedzia, nic wam nie zrobi złego.

Zwolna i nieśmiało zbliżyły się dziewczynki i stanęły przy matce, gołąbek i jagniątko powróciły na swoje miejsca i po niedługiej chwili przestały się obawiać straszliwego zwierza.

— Moje panienki, proszę was, otrzepcie mi zimny, mokry śnieg z futra — odezwał się niedźwiedź.

Różyczka się roześmiała, Lilijka wzięła szczotkę, obie uklękły na czystej podłodze i równiutko, czysto, ślicznie muskały niedźwiedzia i wyprostowały mu splątane kudły.

Gość wyciągnął się wygodnie i mruczał z zadowolenia.

Nie upłynęła godzina, a dzieci tak się z nim oswoiły, że głaskały go rączkami, stawiały na nim nogi, uderzały go z lekka i śmiały się, gdy pomrukiwał; wkrótce Lilijka przyniosła mu skorupkę miodu, a Różyczka kawałek chleba.

Niedźwiedź zjadł wszystko, wdzięcznie i łagodnie popatrzał na swe opiekunki i pozwolił im żartować i bawić się z sobą, kiedy niekiedy pomrukując groźnie jakby je chciał postraszyć.

Gdy nadszedł czas spoczynku, matka staruszka wstała i odchodząc z dziewczętami powiedziała do gościa:

— Możesz tu zostać, biedaku, i spać sobie przy kominku; bądź co bądź, wygodniej ci będzie niż na śniegu i mrozie.

I niedźwiedź został na noc. Nazajutrz z samego rana wypuściły go dziewczątka i poszedł sobie zaraz ciężkimi krokami po głębokim śniegu do lasu, ale wieczorem wrócił i odtąd codziennie przychodził o jednej porze pozwalając się bawić z sobą Róży i Lilijce, które w końcu tak przywykły do kudłatego gościa, że drzwi nawet nie zamykały przed jego przybyciem.

Tak upłynęła zima. Stopniały nareszcie śniegi, wzgórza i doliny okryły się świeżą sukienką, słońce świeciło cieplej i weselej, zniknęły lody, ucichły wiatry mroźne i surowe.

Pewnego ranka, gdy Lilijka przyszła, aby wypuścić jak zwykle niedźwiedzia, ten obejrzał się od progu i przemówił do niej:

— Bywaj mi zdrowa, Lilijko, nieprędko się zobaczymy, chyba aż z pierwszym śniegiem.

— Dlaczego, niedźwiedziu? — zapytała smutnie Lilijka. — Gdzież będziesz całe lato, że o nas chcesz zapomnieć.

— Muszę iść strzec moich skarbów — odparł czarny gość pochmurnie. — Niegodziwe karły, które podczas zimy śpią sobie w swoich podziemnych kryjówkach, pobudziły się już na pewno, kręcą się wszędzie i kradną, co mogą, a co się raz dostanie do ich lochów, to nie tak łatwo odebrać. Bądź zdrowa, do widzenia, moja miła dziewczynko!

Lilijka zasmuciła się bardzo tymi słowami i nic nie mówiąc otworzyła drzwi chatki; ale i niedźwiedziowi żal było odchodzić i tak się oglądał za nią, że zawadził o rygiel i szarpnął sobie sierść na szyi; w tej sekundzie wydało się dziewczynce, że coś zabłyszczało na nim jak promienie słońca, ale pewno jej się tylko wydawało, bo niedź-

wiedź już był za drzwiami i szedł prosto do lasu.

Piękne słońce, kwiaty, zieloność, przechadzki po lesie zastąpiły miejsce przyjemnych wieczorów zimowych i dziewczynki zapomniały prawie o kudłatym gościu rozradowane co dzień wesołym widokiem świata bożego w płaszczu szmaragdowym, przetykanym różnobarwnymi kwiatami, piękniejszymi od pereł i drogich kamieni.

Dnia pewnego przed wieczorem wybiegły po chróst do lasu; śmiejąc się i rozmawiając zrywały po drodze kwiatki i trawy kwitnące i zdobiły nimi swoje piękne główki. Wtem z daleka spostrzegły leżący pień drzewa, koło którego coś w wysokiej trawie skakało niby zając czy wiewiórka.

— Co to być może? — zawołały ciekawie i zwróciły się w tamtą stronę.

Wkrótce też zobaczyły maleńkiego karzełka w czerwonej czapce i żółtym kubraczku, ze starą, złośliwą twarzą i brodą do samej ziemi. Ta broda właśnie, piękna, długa, biała, uwięzioną była w pniu drzewa i malutki człowieczek złoszcząc się i skacząc żadnym sposobem uwolnić jej nie mógł.

Lilijka i Różyczka trzymając się za ręce stały o kilka kroków i patrzyły na niego z trwogą i politowaniem. Wtem karzeł zwrócił na nie krwią nabiegłe oczy.

— Czego stoicie próżno? — krzyknął z wielką złością. — Nie możecie mi raczej pomóc? Widzicie przecież, że sobie rady dać nie mogę!

— Biedny karzełku — zawołała Lilijka — pragnęłybyśmy chętnie ci dopomóc ale jak się to stało? kto ci tak dokuczył?

— Kto mi dokuczył? — powtórzył karzełek — a któż mi miał dokuczać? Sam chciałem odłupać z drzewa kilka małych drzazeg, żebym miał przy czym ugotować obiad, ale to śliskie drzewo wymknęło mi się z ręki i ścisnęło tak mocno moją śliczną brodę, że jej wyrwać nie mogę. Przeklęte drzewo! A wy, przebrzydłe dziewczęta, zamiast się gapić ciekawie na moje nieszczęście, pomóżcie mi, bo inaczej...

— Pobiegnę zawołać ludzi — odezwała się Różyczka puszczając rękę siostry.

— Milcz, barania głowo! — wrzasnął karzeł — i ani się waż ruszyć z miejsca! Ludzi mi tu chce sprowadzić! Mało mi was je-

szcze, obrzydliwe potwory! Wynoście się przynajmniej, kiedy pomóc mi nie umiecie!

— Cierpliwości, karzełku — odezwała się Lilijka — już ja znalazłam sposób na twoje nieszczęście.

To powiedziawszy, schyliła się i wkrótce znalazła ostry kamyk; wtedy zbliżyła się do drzewa i przy pomocy Różyczki odcięła uwięziony kawałek siwej brody.

— Ach, przeklęta istoto! — zawołał karzełek — tak bez litości popsuć moją śliczną brodę!

Rad był jednak widocznie, że się uwolnił z więzienia, poskoczył żywo i spomiędzy sterczących korzeni wyjął spory worek, w którym przez rzadkie płótno świeciło coś jak diamenty, zarzucił go sobie na plecy i zniknął tak szybko, że dziewczynki nie spostrzegły nawet, gdzie się podział.

Za powrotem do domu opowiedziały matce tę przygodę, a staruszka wysłuchawszy jej uważnie rzekła z westchnieniem, że prawdopodobnie karzeł ukradł czyjeś skarby, które może były ukryte w tym właśnie drzewie i uniósł do swych podziemi. Przestrzegała też córki, aby unikały powtórne-

go z nim spotkania, bo złośliwa istota mogła im wyrządzić krzywdę.

Upłynęło kilka tygodni, siostry zapomniały o karzełku, kiedy raz idąc po wodę do pobliskiego strumienia ujrzały go biegnącego z całej siły brzegiem, skaczącego do wody i wyskakującego z niej na nowo jakby się z kimś mocował.

Zatrzymały się obie i spojrzały na siebie, ale w tej samej chwili karzełek krzyknął i znikł pod wodą. Więc przestraszone, sądząc, że już tonie, pośpieszyły mu na pomoc zapominając zupełnie o własnym bezpieczeństwie i przestrogach matki.

Ale mokry potworek już wydostał się na brzeg i chwytając za łodygi tataraku i innych roślin, pokrywających wybrzeże, widocznie walczył z jakimś potężnym nieprzyjacielem.

— Co się stało? co się stało? — zawołały dziewczęta.

— Ach, to wy, niegodziwe, szkaradne stworzenia! Nie widzicie, że wielka ryba połknęła haczyk mojej wędki i ciągnie tak gwałtownie, że utrzymać jej nie mogę, a tymczasem broda splątała mi się ze sznu-

rem, i jeśli puszczę wędkę, sam utonąc muszę. Przeklęta ryba, przeklęte wszystkie wielkie i silne istoty!

Lilijka i Różyczka nie zważając na to powitanie podbiegły śpiesznie, chwyciły za wędkę i usiłowały wyciągnąć z wody wielką rybę. Przekonały się wkrótce, że to nadaremnie. Wtedy Różyczka wszelkimi siłami chciała odplątać brodę od wyprężonego sznurka, i to jednakże okazało się niepodobieństwem, a ponieważ każda chwila groziła utopieniem zmęczonemu już karłowi, Lilijka nie namyślając się dłużej sięgnęła po nożyk, który miała przy sobie, i odcięła mu znowu trochę białych włosów od nieszczęśliwej brody.

Lecz zobaczywszy to karzeł wpadł w złość niewypowiedzianą.

— Niegodziwe czarownice! — wołał wygrażając dzieciom pięściami; — przez was nie będę śmiał wkrótce pokazać się swoim braciom! Kto was prosił, żebyście wtrącały się do mnie? Idźcie precz, bo jak spotkam was jeszcze kiedy na drodze...

Nie dokończył swojej groźby i poskoczył ku trzcinie, w której się nagle coś po-

ruszyło leciuchno, porwał stamtąd jakiś worek i uciekł tak prędko, że w mgnieniu oka zniknął za sterczącą skałą.

W pośpiechu jednak nie spostrzegł, że worek był przedziurawiony i coś sypało się z niego na ziemię, a gdy dziewczęta schyliły się przez ciekawość, ujrzały w trawie kilka tak kosztownych pereł, że skoro je odniosły matce, ta ostatnia oznajmiła, że muszą być własnością samej królowej morza.

Teraz dziewczynki częściej myślały o karle: bały się go trochę, lecz zaciekawiał je także niemało i mówiły sobie, że mógłby im kiedy pokazać swą kryjówkę, pełną dziwnych skarbów.

Tak właśnie rozmawiały, idąc raz do miasta po różne drobne rzeczy, do gospodarstwa potrzebne. Dla skrócenia drogi poszły wprost przez łąkę, na której tu i ówdzie znajdowały się olbrzymie kamienie, rozrzucone jakby dla igraszki. Wtem w powietrzu zakrążył wielki orzeł i zwolna poruszając potężnymi skrzydłami spuszczać się zaczął ku ziemi. Nagle zniknął za skałą i w tej samej chwili rozległ się z tego miejsca krzyk przerażający.

Róża i Lilijka struchlały, lecz domyśliły się prędko, że ptak drapieżny porwać chce jakąś ofiarę, więc pośpieszyły na ratunek i ujrzały znowu znajomego karzełka w szponach napastnika. Biedny człowieczek wrzeszczał z całej siły, niewiele mu to jednak w walce pomagało, i zginąłby jak mucha przez jaskółkę schwytana, gdyby dobre dziewczynki nie uczepiły się go i własnym ciężarem nie ściągnęły ku ziemi; ptaka zaś silnie uderzały kijami, że porzucił łup nareszcie i odleciał pod obłoki.

— No, teraz przecież powinieneś zostać naszym przyjacielem — odezwała się uprzejmie Różyczka, rada zawiązać z nim bliższe stosunki.

Ale karzeł złowrogo spojrzał na dziewczynki i zaczerwienił się ze złości.

— Dlaczego mnie szpiegujecie?!—krzyknął grożąc im pięścią. — Podarłyście na mnie ubranie, zniszczyłyście moją brodę, a teraz chcecie mnie okraść zapewne! Zapowiadam wam, że choć takie wielkie jesteście, jeśli was spotkam jeszcze kiedy, ręce wam poodgryzam, nogi pokaleczę, żebyście mi raz dały spokój.

— Nie gniewaj się karzełku — przemówiła Lilijka — nie chcemy ci wyrządzić żadnej krzywdy, a może jeszcze kiedy przydamy się znowu.

I odeszły spokojnie nie troszcząc się więcej o niewdzięczne stworzenie, które gdzieś zniknęło, jak gdyby wpadło w ziemię.

Późno już nad wieczorem powracały z miasta; słońce zachodziło czerwono za rzekę i ostatnie jego promienie żegnały rozpalony piasek, drzewa i chmurki na niebie. Przechodziły tą samą drogą i niedaleko od skały, gdzie orzeł napadł karła, ujrzały znowu tego ostatniego. Siedział na ziemi i bardzo mozolnie patrzał przed siebie, jak gdyby coś liczył. Dziewczynki, nie pamiętając o przestrodze, zbliżyły się cichutko na paluszkach i olśnione stanęły za nim. Na gładkim kamieniu brzydki karzeł porozkładał swoje skarby: diamenty i szafiry, rubiny, szmaragdy, perły, topazy i moc nieskończoną innych klejnotów, które w blasku słońca lśniły jak iskry różnobarwne. Mały człowieczek widocznie napawał się tym blaskiem i pięknością drogich

kamieni, gdy nagle... któraś dziewczynka głośniej odetchnęła, a on skoczył jak zwierz zraniony, gotów zębami bronić swego gniazda.

Na widok zmienionej gniewem, sinej twarzy potwora, Różyczka i Lilijka krzyknęły z rozpaczą, lecz w tejże chwili poza nimi rozległo się grube, choć przyciszone mruczenie i olbrzymi niedźwiedź stanął naprzeciw karzełka.

Ten ostatni oniemiał i padł na kolana.

— Wspaniały panie niedźwiedziu — zawołał — daruj mi życie, zlituj się nade mną biednym! Nie pożywisz się nawet taką okruszyną, a moje stare kości smakować ci nie będą. Ot, spojrzyj lepiej na te niegodziwe dziewczęta, jakie tłuste i białe, jakie smaczne być muszą! To kąsek godny ciebie, wspaniały niedźwiedziu, i głód nim zaspokoisz, a ja gotów jestem oddać ci jeszcze wszystkie moje skarby.

— Milcz, potworze — mruknął niedźwiedź i raz tylko uderzył go silną łapą po głowie, a złośliwe stworzenie padło bez duszy nie wydawszy jęku.

Dziewczynki chciały uciekać, lecz głos

znajomy zawołał na nie po imieniu, a kiedy się obejrzały, niedźwiedzia nie było, tylko skóra jego leżała na łące, a przy nich stał prześliczny w bogatym stroju młodzieniec i uśmiechał się życzliwie.

— Nie uciekajcie, najmilsze Lilijko i Różyczko — mówił: — jestem synem królewskim i tylko ten oto karzeł ukradłszy skarby moje rzucił na mnie zaklęcie, i musiałem do jego śmierci pokutować w niedźwiedziej skórze. Teraz mój wróg nie żyje, jestem wyzwolony, odzyskałem stracone skarby i wracam do ojca i brata, którzy opłakują mnie ciągle. Ale przedtem raz jeszcze pójdę do waszej chaty, bo musicie wszystkie jechać ze mną.

To powiedziawszy, wziął z kamienia małą śliczną gwizdawkę z jednego szafiru, gwizdnął i w tejże chwili wysunęła się z lasu wspaniała kareta otoczona orszakiem dworzan. Królewicz kazał dworzanom pozbierać rozrzucone klejnoty i poszukać więcej skarbów w pobliskiej kryjówce karła, sam zaś z Różyczką i Lilijką wsiadł do złocistej karety i zabrawszy ich matkę udał się do swego państwa.

Wkrótce potem Lilijka została jego żoną, a Różyczka wyszła za młodszego brata, podzielili się państwem i skarbami, które w jaskini karła znaleziono i żyli wszyscy razem kochając się serdecznie i nie rozłączając nigdy.

A staruszka matka, najszczęśliwsza ze wszystkich, piastowała śliczne wnuki i przędąc cienkie nici na kądzieli opowiadała długie ciekawe historie.



SIEDMIOBÓJ

Wesoły krawczyk siedział przy otwartym oknie, gwizdał sobie głośno i szył tak zawzięcie, że igła jak błyskawica migała mu w ręku. Był on młody, dowcipny i zawsze w dobrym humorze, a że przy tym w robocie nie ustępował nikomu, znało go całe miasto i nie brakło mu nigdy zajęcia ani pieniędzy.

— Miód wyborny i tani! miód wyborny i tani! — rozległo się tymczasem wołanie wieśniaczki przechodzącej ulicą z ciężkim koszem na plecach.

Krawczyk połknął ślinkę, gdyż lubił słodycze i wychylił się zaraz oknem.

— Chodźcie tutaj, matko! — zawołał gościnnie. — Ulżę wam trochę tego słodkiego ciężaru.

Wieśniaczka pospiesznie weszła po scho-

dach do sklepu i rozłożyła swój towar, upakowany w garnkach rozmaitej wielkości. Krawczyk oglądał wszystkie, ważył w ręku, chwalił kolor i zapach, wreszcie kazał sobie odważyć całe ćwierć funta miodu.

Rozgniewała się wieśniaczka, że jej zabrał tyle czasu dla takiej odrobiny, lecz dała mu, czego żądał, tylko nie śmiała się więcej z jego żartów i dowcipu.

Krawczyk tymczasem nie tracił humoru, ukrajał sobie duży kawał chleba, grubo miodem posmarował i położył na stole, sam zaś zajął się gorliwie ukończeniem roboty, którą miał niezadługo odnieść.

Nie zwrócił też uwagi, że łakome muchy, przynęcone zapachem miodu, obsiadły chleb w koło, łakomie racząc się jego przysmakiem. Gdy to spostrzegł, zawrzał gniewem i odpędził je daleko; ale zaledwie powrócił do igły, znowu zajęły swoje stanowisko. Krawczyk machnął ręką raz i drugi, przekonał się jednak wkrótce, że bezwstydne złodziejki kpią sobie z jego gniewu; wtedy złożył robotę, wziął skórzaną klapkę, osadzoną na długim kiju i wymierzył nią tak dobrze, że siedem trupem położył.

— Wiwat! — zawołał ujrzawszy to uradowany. — To się nazywa cios dobrze wymierzyć! Niech żyje męstwo i waleczność! Siedem na raz! No, proszę, który z panów rycerzy dokaże mi takiej sztuki?

Cieszył się, śpiewał, skakał zajadając chleb z miodem, na koniec pomyślał sobie:

— To nie może tak zostać; niech się całe miasto dowie, jakim jestem bohaterem! Ech! co tam miasto! świat o tym wiedzieć musi! Tak jest, sam pójdę głosić swoją sławę.

Wyjął z szuflady szeroki pas skóry i czerwonym jedwabiem wyszył na nim starannie:

7 zabitych od jednego razu.
Kto nie wierzy,
Niech się zmierzy.

Włożył ten strój na siebie i postanowił natychmiast udać się w drogę, aby jak najprędzej świat dowiedział się o jego wielkości. Odchodząc spojrzał w koło, co by zabrać z sobą, lecz nic nie było w jego ubogim mieszkaniu, prócz kawałka twarogu i młodego wróbla, który niedawno wypadł z gniazda i łatwo dał się oswoić wesołemu

chłopcu. Krawczyk ser i ptaka schował do kieszeni, potem zagwizdał i wyruszył w podróż.

Lekkim krokiem przebiegał duszne ulice miasta, potem w polu raźniej mu się zrobiło na duszy i głośno już śpiewać zaczął, a gdy minął las, rzekę i uczuł się w obcym kraju, wykrzykiwał z całej siły dla dodania sobie otuchy.

Po długiej drodze wdrapał się wreszcie na górę i tu ujrzał przed sobą niezmiernej wysokości olbrzyma, który siedząc na szczycie, spuścił ze skały nogi i patrzał obojętnie na zbliżającego się człowieka.

— Jak się masz, towarzyszu! — rzekł ten ostatni śmiało — siedzisz tu sobie spokojnie i rozglądasz się po świecie? Ja tam właśnie idę pokazać, co umiem; może pójdziemy razem?

— Ach, ty nędzny robaku! — zawołał olbrzym wzgardliwie; — jak śmiesz nawet w taki sposób odzywać się do mnie? Czy chcesz, bym cię zgniótł jak muchę?

— To zobaczymy jeszcze — odparł krawczyk zuchwale. — Przeczytaj, co tu napisano i możemy się spróbować.

Olbrzym przeczytał i zdziwił się bardzo.

— No, no — rzekł — między swymi musisz mieć wielkie znaczenie, dla mnie jednakże jesteś tylko człowiekiem; zgniótłbym cię w ręku na proch, jak ten kamień.

To mówiąc wziął kamień w rękę, ścisnął i tylko piasek posypał się na ziemię.

— Głupstwo! — zawołał krawczyk — ja tak kamień ścisnę, że sok z niego popłynie, a ty nie potrafisz tego.

Wyjął z kieszeni kawał swego twarogu i ścisnął, aż serwatka pociekła na ziemię, a z mniemanego kamienia zrobiła się miękka masa.

— Nie ma co mówić — rzekł zdziwiony olbrzym; — nie wyglądasz jednakże na takiego siłacza. No, spróbujmy się jeszcze. Kto wyżej rzucić potrafi?

Podniósł kamień i rzucił go w górę z taką siłą, że upłynął kwadrans, nim spadł na ziemię.

— Mój nie spadnie wcale — przechwalał się krawczyk.

I rzucił wróbla, który rozwinąwszy skrzydła odleciał het daleko od obu siłaczów.

— Jesteś zuch — zaśmiał się olbrzym śmiesznie kręcąc głową — ale chciałbym się jeszcze lepiej przekonać o tym. Czy mógłbyś zanieść to drzewo do lasu?

Wskazał dąb olbrzymi, wyrwany z korzeniem, który leżał przy drodze. Krawiec popatrzał uważnie.

— Sam nie podołam — rzekł na koniec — lecz i ty nie dałbyś rady. Spróbujmy się inaczej: ty weź za pień, ja podniosę wierzchołek z koronami, to przecież więcej. Zobaczymy, kto dłużej wytrwa.

Zgodził się olbrzym, położył sobie na ramieniu ogromny pień dębowy, a mały krawczyk pogwizdując usiadł sobie wygodnie między gałęziami i pozwolił się ciągnąć spory kawał drogi.

— Nie mogę dłużej — mruknął olbrzym potem okryty.

Wtedy krawczyk podskoczył, prędko dwie gałęzie położył sobie na ramionach i czekając, aż olbrzym rzuci pień na ziemię, śmiał się na całe gardło.

— I czegóż się tak cieszysz, czarna mrówko?

— Jak się śmiać nie mam? taki wielki jesteś, a kawałka drzewa unieść nie masz siły!

Ponuro spojrzał olbrzym, lecz nie odpowiedział i w milczeniu szedł obok śpiewającego chłopca. Wtem spostrzegli drzewo wiśniowe, a że dzień był gorący, rzekł olbrzym:

— Narwij wiśni, nachylę ci wierzchołek drzewa.

Jak powiedział, tak zrobił, ale kiedy krawczyk wziął w rękę grubą gałąź, olbrzym puścił drzewo i biedny chłopiec nagle zawisł w górze między gałęziami.

— Cóż to? — zaśmiał się olbrzym: — nie masz siły utrzymać drzewa?

— Nie pleć — rzekł chłopiec — lepiej uciekaj tu do mnie, bo tam poza krzakami kryje się właściciel drzewa, który pewno ma ochotę pomścić swojej krzywdy. No, hop w górę, za moim przykładem!

Ale olbrzym nie mógł podskoczyć tak zręcznie i krawczyk triumfował znowu.

— Kiedyś taki silny i śmiały, to bądź naszym towarzyszem i zamieszkaj w naszej jaskini.

Zgodził się wesoły chłopak, choć pomyślał w duchu, że chętnie zrzekłby się tego zaszczytu. Cóż jednak było robić? Nie przewidział wcale, że tam go zaprowadzi niewinne samochwalstwo i obawa okazania swej słabości złośliwemu potworowi.

Tymczasem doszli do jaskini, którą była wielka wydrążona góra. Kilkunastu olbrzymów siedziało wkoło ogniska, a każdy miał przed sobą pieczonego barana. Gościowi zrobiono miejsce i gościnne potwory ofiarowały mu rogi i ogony od swoich porcyj. Krawczyk podziękował grzecznie, ogryzł kilkanaście ogonków i pożywił się trochę.

Potem wskazano mu ogromne łóżko, na którym szukając sobie wygodnego miejsca ułożył się na koniec w kąciku za poduszką.

O północy zazdrosny olbrzym, który nie mógł się pogodzić z myślą, żeby człowiek silniejszym się okazał od niego, wziął siekierę i w ciemności zaczął rąbać po łóżku. Po kilku uderzeniach, pewien, że zabił wroga, położył się i zasnął najspokojniej. O świcie opowiedział wszystko towarzyszom, którzy pochwalili jego podstęp i za-

pomniawszy o małym krawczyku wstali i zasiedli do śniadania.

Wtem spoza porąbanej poduszki ukazała się głowa chłopca. Zapach pieczonego mięsa podniecił jego apetyt, więc pogwizdując, szybko zeskoczył na ziemię i zbliżył się do ogniska. Olbrzymy pootwierali usta z przerażenia widząc go żywym, a gdy gwizdać zaczął, przyszło im na myśl, że pragnie pomścić się za wiarołomstwo, więc przerażeni uciekli co prędzej pozostawiwszy zaczęte śniadanie.

Krawczyk nie mógł odgadnąć, co ich przestraszyło, lecz rad był temu. Podjadł sobie smacznie i ruszył dalej z mocnym postanowieniem unikania podobnego towarzystwa.

Szedł już wolniej, ostrożniej i rozmyślał nad tym, jakby to dobrze było trafić do wielkiego miasta, gdzie od razu całe tłumy mogłyby go podziwiać, a i o zarobek łatwiej. Nie znalazł jednak miasta do wieczora ani przez dzień następny, a żywiąc się licho dzikimi owocami doszedł do przekonania, że świat nie wart zaszczytu oglądania jego osoby.

Na koniec późno wieczorem ujrzał w dali światła. Spieszył, jak mógł, by zdążyć do ludzi przed nocą, lecz nie udało mu się i pogasły już wszystkie, gdy stanął pod murami wspaniałego zamku.

— I sen posila — rzekł sobie na pociechę widząc, że nic innego dzisiaj nie dostanie.

Położył się pod bramą na miękkiej murawie i zasnął snem bohaterskim.

Kiedy dzień zaświtał, pobudzili się w zamku rycerze i dworzanie, otwarto zamknięte bramy i ujrzano śpiącego na zielonej murawie człowieka. Oglądając go ciekawie dostrzeżono napis:

7 zabitych od jednego razu.
Kto nie wierzy,
Niech się zmierzy.

— To nie żarty — pomyśleli dworzanie i rycerze i dali znać królowi, jaki to bohater spoczywa u wrót zamkowych.

Król ucieszył się bardzo usłyszawszy, że taki człowiek znajduje się w jego państwie i postanowił bądź co bądź zatrzymać go na swoim dworze. Jakaż to pomoc w razie wojny! jaki postrach na wroga podczas pokoju!

Krawczyk zbudził się wreszcie i ujrzał dokoła stojących dworzan i rycerzy, którzy go zaprowadzili przed królewskie oblicze. Król przyjął go łaskawie i ofiarował służbę na swoim dworze za wysoką cenę; obcy wojownik miał objąć najwyższe dowództwo, a w razie wojny król nawet musiał mu być posłuszny.

Naturalnie, że nie podobna było nie godzić się na to, krawczyk więc oznajmił śmiało, że w takim właśnie celu przybył na dwór królewski.

— Do wojny daleko jeszcze — myślał sobie — tymczasem trzeba korzystać z tego, co się zdarza.

I przywdział strój bogaty, opasał się swoim pasem, zażądał jeść i pić do woli, a że był dowcipny, więc żartował ze wszystkich widząc, że każdy boi się rozgniewać go lub obrazić.

I tak wojował językiem, że w krótkim czasie rycerze zebrali się wszyscy razem i wystąpili przed króla prosząc, aby im odejść pozwolił, gdyż nie mogą służyć mu razem z człowiekiem, który zabija 7 od ra-

zu i nic sobie nie robi z najwaleczniejszego męża.

Zasmucił się król bardzo usłyszawszy te słowa, bo żal mu było rozstać się z wierną drużyną dla jednego obcego bohatera, lecz sam go się obawiał i poznał poniewczasie, jak nierozważnie postąpił, ofiarując mu służbę. Teraz chciałby się go pozbyć, lecz jakim sposobem?

Powierzył myśli swoje wiernemu rycerstwu i po wspólnej naradzie wezwał do siebie krawczyka.

Podano miód i wino, rajskie ptaki pieczone i najpyszniejsze owoce. Krawczyk sam siedział przy królewskim stole, a monarcha bardzo uprzejmie nalewał mu wciąż kubki i rozmawiał wesoło. W końcu rzekł:

— Nie wiesz, po co cię dzisiaj wezwałem. Nie ma na świecie większego nad ciebie bohatera, pragnę więc, abyś został moim zięciem, jedyną córkę moją wziął za żonę, a z nią za życia mego połowę królestwa. Lecz aby się to stać mogło, spełnić musisz trzy zadania.

— Choćby dziesięć, potężny królu! —

zawołał krawczyk, olśniony losem, jakiego nie spodziewał się nigdy.

— Pierwsze — ciągnął król dalej — jest niebezpieczne bardzo. W sąsiednim lesie przed niedawnym czasem zamieszkało dwóch olbrzymów i nie tylko że zupełnie wytępili mi zwierzynę, lecz i w pobliskich wioskach wielkie szerzą spustoszenie. Poprzysiągłem więc sobie, że ten mym zięciem zostanie, kto własną ręką obu olbrzymów zabije. Chcę ci jednak dać stu ludzi do pomocy, aby w razie nieszczęścia...

— Nie lękaj się potężny królu — kto jednym uderzeniem siedmiu wrogów trupem położył, ten dwóch olbrzymów nie obawia się wcale; twoi rycerze niech tylko będą świadkami mego zwycięstwa.

I wyruszył nazajutrz na czele stu ludzi, lecz przybywszy na brzeg lasu, kazał pozostać im tutaj, sam zaś puścił się w gęstwinę licząc na to, że jeśli nie pokona olbrzymów, to sam wymknie się łatwiej niż w towarzystwie takiego orszaku.

Wkrótce usłyszał grzmoty i szczególny łoskot, choć niebo było jasne i słońce świeciło, a posuwając się naprzód ostrożnie

ujrzał oba potwory, śpiące na polance. Ich straszliwe chrapanie grzmotem mu się wydało, głowy, wielkości chłopskiej chaty, leżały między drzewami, a kadłuby dłuższe od największych sosen dochodziły aż do strumienia.

Popatrzywszy na nich uważnie krawczyk nazbierał kamieni, wdrapał się na dąb stary, bardzo rozłożysty, rosnący w środku polanki i z całej siły rzucać zaczął kamieniami w piersi jednego olbrzyma.

Z początku potwór machnął tylko ręką, lecz cios drugi i trzeci dokuczył mu bardziej, odwrócił się na bok prawy i rzekł do towarzysza:

— Daj pokój tym głupim żartom, nie wyspałem się jeszcze.

To mówiąc palnął go pięścią po uchu.

— Za co mnie bijesz? — krzyknął drugi olbrzym.

— Nie zaczynaj!

I obaj zasnęli na nowo.

Wtedy krawczyk wybrał najcięższy z kamieni i rzucił nim na pierwszego potwora. Olbrzym ryknął i usiadł, potoczył dzikim wzrokiem i z całej siły uderzył w piersi

towarzysza. Ten zerwał się na równe nogi i kopnął leżącego, który z pięściami rzucił się na przeciwnika. Walka zawrzała straszna; w gniewie i wściekłości olbrzymy rycząc wyrywali drzewa i bili się nimi wzajem, napełniając wrzawą las cały. Krawczyk drżał tymczasem z trwogi, bo gdyby go spostrzegli lub wyrwali dąb, na którym siedział ukryty między gałęziami, zginąłby w mgnieniu oka. Lecz olbrzymy coraz bardziej podniecani bólem otrzymywanych ciosów, walczyli z taką zawziętością, że nie pierwej przestali, aż popadali martwi.

Wówczas sprytny chłopiec zsunął się na ziemię, poprzeszywał im piersi swoim mieczem, pokaleczył trochę nogi i wróciwszy do orszaku oznajmił, że pokonał obu wrogów. Rycerze wierzyć nie chcieli, choć udawali podziw; krawczyk jednakże sam ich zaprowadził na straszne pobojowisko i pokazał ofiary swego męstwa i siły. Nikt więc już wątpić nie mógł, że ma przed sobą bohatera, jakiego dotąd nie było na świecie, ale zazdrość i trwoga tym niechętniej jeszcze usposabiały dla niego wszystkich.

Król z udaną radością powitał wracających, wydał wspaniałą ucztę, bawił się, weselił z młodym zwycięzcą, a przy pożegnaniu oznajmił mu, że drugim czynem, którego dokonać musi dla zdobycia królewny, jest pochwycenie karła bardzo złośliwego, który między skałami ma swoją kryjówkę i składa w niej wielkie skarby, skradzione na królewskim dworze. Karzeł jest mały i słaby, lecz towarzyszy mu zawsze olbrzymi potwór jednorożny; gdy ten będzie schwytany i karzeł poddać się musi.

Nazajutrz wziąwszy kawał sznura i siekierę krawczyk ruszył znów w drogę na czele orszaku. Wkrótce ujrzeli karła razem z potworem, siedzącego między skałami. Krawczyk kazał natychmiast zatrzymać się rycerzom, sam zaś udając przestrach zaczął biec do lasu. Karzeł spostrzegł go z daleka i wskazał swemu stróżowi, a jednorożec dzikim pędem puścił się za uciekającym. Ale przebiegły chłopak już dopadł pierwszego drzewa, zatrzymał się, a gdy potwór był o kilka kroków, zręcznie za pień uskoczył. Jednorożec z wściekłością chciał uderzyć na niego, lecz wbił sobie róg w drzewo, a kraw-

czyk korzystając z chwili zarzucił mu powróz na szyję, róg odciął silnym uderzeniem siekiery i wdrapawszy się na grzbiet potwora przymocował się do niego sznurem.

Jednorożec nie mogąc sam pokonać wroga popędził do swego pana, rykiem wzywając pomocy. Karzeł ujrzawszy zwierzę skaleczone uciekł i schował się do podziemnej kryjówki; lecz potwór znał do niej drogę, dopadł szczeliny w skale i zaczął ją rozkopywać silnymi nogami. Wtedy krawczyk rozciął mu głowę, rzucił cielsko na pastwę krukom, a sam wszedł do jaskini, gdzie znalazł brodatego karła, skulonego ze strachu przy skrzyni pełnej klejnotów. Związał go, zabrał z sobą, wrócił do rycerzy i znowu triumfalnie wjechał do stolicy.

Król przyjął go jak poprzednio; zaczynał już wątpić, czy pozbędzie się kiedykolwiek tego bohatera. Pozostało mu jedno już tylko zadanie: zabicie lub pojmanie jadowitej żmii, która zatrutym tchnieniem o 50 kroków zabija każdego śmiałka, a mając skrzydła mogła niespodzianie spadać na ludzi z drzewa lub ze skały.

Zaśmiał się krawczyk z tej „dziecinnej zabawki", jak nazwał to polowanie, lecz oznajmił, że nim pójdzie na wyprawę, musi poznać miejscowość. Wskazano mu więc okolicę, gdzie od czasu ukazania się tego straszydła żadne zwierzę żyć nie mogło. Aby ją obejrzeć lepiej, bohater udał się na szczyt opuszczonej kapliczki, która stała na granicy posiadłości potwora.

Nazajutrz kazał zmieszać beczkę smoły z beczką miodu i tym płynem wylać podłogę kapliczki, sam zaś wziął tylko dwa płaskie kamienie i na czele rycerstwa ruszył na wyprawę.

Zapuszczając się ostrożnie w państwo zatrutej żmii ujrzał ją na koniec z dala, ziejącą dym z paszczy i natychmiast zaczął uciekać w kierunku kapliczki. Żmija podlatując ponad ziemię ścigała go szybko, zdążył jednak dość wcześnie wpaść przez drzwi otwarte do pustego budynku, stanął na kamieniu, który rzucił zręcznie na lepką podłogę i nim żmija zbliżyła się o 50 kroków, wyskoczył przez wybite okno.

Potwór z wściekłością wleciał za nim do kapliczki, lecz przylepił się do podłogi,

a krawczyk korzystając z tego kazał rzucać przez okno zapalone strzały. W mgnieniu oka kapliczka stanęła w płomieniach i zgorzała w niej żmija jadowita, a wesoły krawczyk stanął śmiało przed starym królem i zażądał ręki królewny.

Cóż było robić? Monarcha uznał za właściwe żyć w zgodzie i miłości z takim bohaterem, więc oddał mu piękną córkę i połowę królestwa.

Krawczyk nie przyznał się nigdy do dawnego rzemiosła, przybrał imię Siedmiobój i rządził tak mądrze, iż w krótkim czasie pozyskał sławę w całym świecie.



MĄŻ LEŚNY

Na wschód od zamku potężnego króla rozciągał się bór olbrzymi, pełen zwierzyny wszelkiego rodzaju, na którą sam monarcha często polował z dworzanami.

Ale pewnego razu król posłał strzelca z rozkazem upolowania sarny. Strzelec nie powrócił więcej.

— Musiało mu się przytrafić nieszczęście — pomyślał król i nazajutrz posłał jednego z rycerzy, aby zaginionego odszukał.

Wyjechał dzielny rycerz na pięknym rumaku i nie powrócił więcej.

— Co to ma znaczyć? — zawołał zdziwiony monarcha i kazał na trzeci dzień zebrać się wszystkim strzelcom z całego państwa, dał im stu rycerzy do pomocy i sto psów gończych. Kazał przetrząsnąć las cały i nie powracać, dopóki śladu zaginionych nie odszukają.

Udali się do lasu strzelcy i rycerze ze sforami psów gończych, ale nikt z nich nie powrócił.

Od tego czasu z daleka omijano bór czarny, nikt nie odważył się zbliżać do niego i tylko orzeł drapieżny szybował niedaleko ponad gęstwiną drzew starych.

I trwało to lat wiele. Zdarzyło się jednak, że przybył obcy strzelec na dwór potężnego króla i prosił o pozwolenie udania się do lasu. Król nie chciał na to się zgodzić z początku, pamiętając o smutnym losie swojej drużyny, lecz strzelec prosił bardzo zapewniając, iż nie lęka się niczego.

Król ustąpił. Przybyły zabrał z sobą psa wiernego i udał się do boru. Cisza panowała tutaj; ani świergotu ptactwa, ani szmeru wietrzyka słychać nie było. Nagle pies zwęszył zwierzynę i puścił się za śladem. Zaledwie jednak ubiegł kilka kroków, ukazało się przed nim niewielkie jezioro, zieloną rzęsą okryte. Ślad ginął widocznie tutaj; pies zatrzymał się węsząc, lecz w tejże chwili z wody wysunęło się silne, ciemne ramię, pochwyciło biedne zwierzę i wciągnęło w głębię.

Widząc to strzelec powrócił do zamku, zebrał gromadkę ludzi z pustymi wiadrami i kazał im czerpać wodę z małego jeziorka strzegąc się zdradliwej ręki. Spełniono jego rozkaz i na dnie przepaści znaleziono dzikiego leśnego człowieka, brunatnego na ciele, o dzikim wejrzeniu i czarnych włosach, spadających aż do kolan.

Związano go postronkami i przywieziono do zamku. Król wynagrodził strzelca, dla potwora kazał zrobić żelazną klatkę, sam na klucz ją zamknął i klucz złoty królowej oddał do schowania. Tym sposobem nikt nie mógł otworzyć drzwi klatki, potwór był uwięziony a las znowu był dostępny dla każdego.

Leśny mąż siedział w klatce na dziedzińcu królewskim; wszyscy go widzieć mogli i on widział wszystkich, ale nikt się do niego nie zbliżał. Raz mały ośmioletni synek króla na tym samym podwórzu bawił się srebrną piłką, wysadzaną diamentami. Śliczna zabawka w słońcu jaśniała takim blaskiem, że oczy mrużyć trzeba było patrząc na nią; toteż królewicz lubił niezmiernie to cacko, rzucał je w zieloną trawę

i znajdował od razu. Przypadkiem piłka wpadła do klatki potwora, a gdy zmartwiony chłopczyk prosił, by mu ją oddał, mąż leśny odrzekł:

— Otwórz drzwi mej klatki.

— Tego nie uczynię — odpowiedział chłopiec — bo król, mój ojciec, zabronił surowo.

— Więc nie dostaniesz piłki.

Dziecko odeszło w milczeniu, ale nazajutrz powróciło znowu, dopominając się o ową zabawkę.

— Otwórz drzwi mojej klatki.

Chłopiec potrząsnął głową i oddalił się rozgniewany.

Dnia trzeciego przyszedł z daleka popatrzyć na swoją piłkę i łzy stanęły mu w oczach, bo pewny był już teraz, że nie odzyska jej nigdy.

— Oddaj mi cacko! — zawołał na koniec.

Roześmiał się leśny człowiek i odpowiedział jak zwykle:

— Otwórz drzwi mojej klatki.

— Wiesz, że nie mam klucza — mruknęło dziecko.

— Klucz jest schowany w pokoju twej matki, w złotym, szafirami wysadzanym pudełeczku, które stoi na półeczce ze słoniowej kości, zawieszonej w głowach jej łóżka.

Chłopiec zapomniał o wszystkich przestrogach; chęć odzyskania ulubionej piłki zagłuszyła w nim bojaźń i zwykłe posłuszeństwo. Króla nie było w zamku, gdyż wyjechał na polowanie, królowa była w ogrodzie i malec mógł bez przeszkody dostać się do jej pokoju, wyjąć kluczyk z pudełka, wysadzanego szafirami i otworzyć drzwi klatki.

Tak też uczynił, niestety. Gdy klucz obrócił w zamku, mąż leśny pchnął żelazną kratę, która się otworzyła, potwór wyszedł na wolność i oddał mu zabawkę.

Teraz dopiero chłopczyk przestraszył się tym, co uczynił; zaczął wołać dzikiego, by wrócił do klatki, gdyż inaczej ojciec ukarze go za nieposłuszeństwo i płakał tak żałośnie, że mąż leśny, zdjęty litością, wziął go za ręce i uniósł z sobą do lasu.

Za powrotem do domu król ujrzał klatkę pustą, przestraszył się i zapytał natych-

miast królowej, dlaczego to uczyniła. Królowa zdziwiona udała się niezwłocznie do swego pokoju, aby zobaczyć, czy klucz jest na miejscu. Klucza nie było, lecz kto go mógł zabrać, nie domyślała się wcale. Zawołała na syna, ten nie odpowiedział. Zaczęto szukać chłopca, ale nie było go nigdzie, i nieszczęśliwy ojciec domyślił się nagle, że utracił jedyne dziecię.

W zamku królewskim zapanowała żałoba.

Mąż leśny zaniósł tymczasem chłopca do ciemnego boru, położył na mchu i powiedział:

— Ojca i matki więcej w życiu nie zobaczysz, ale żeś mnie uwolnił z okrutnego więzienia, daruję ci życie i dobry będę dla ciebie. Słuchać mnie musisz i spełniać gorliwie wszystkie moje rozkazy, a jeśli na gniew nie zasłużysz, nie zabraknie ci złota, pereł i diamentów, gdyż posiadam skarby większe niż wszyscy królowie świata. Teraz się prześpij.

I zrobił mu miękkie posłanie z liści i mchu zielonego, a nazajutrz rano zapro-

wadził chłopczyka do prześlicznego źródła, wytryskającego z kryształowej studni.

— Jest to cudowne źródło — rzekł poważnie; — patrz, jak przejrzyste i jasne, nie ma w nim pyłku żadnego. Usiądziesz tu na brzegu tej kryształowej studni i strzec będziesz, ażeby w wodę nic nie wpadło. Każdego wieczoru przyjdę przekonać się, jak wypełniasz me rozkazy.

Chłopczyk usiadł na brzegu kryształowej studni i patrzył w wodę, czystą jak powietrze, zimną jak lód stopiony. Kiedy niekiedy przesuwała się w niej złota rybka, złota żmijka lub robaczek i znów znikało wszystko. Chłopiec siedział nieruchomy i nie odwracał oczu od źródełka. Ponieważ jednak znudziło mu się siedzieć tak spokojnie — nachylił się i umaczał palec w wodzie. Wtem zabolał go palec tak mocno i gwałtownie, lecz już było za późno; palec miał złoty i niczym zmyć nie mógł tego śladu nieposłuszeństwa.

Wieczorem przyszedł mąż leśny i spytał, co się stało ze źródłem.

— Nic — odparł chłopiec przestraszony kryjąc palec za siebie.

— Nie kłam, umaczałeś palec w wodzie, znieważyłeś cudowne źródło, lecz przebaczam ci ten raz jeden; strzeż się tylko, ażeby więcej tego nie było.

Na drugi dzień chłopczyk smutnie usiadł na brzegu studni i patrzał w wodę. Lękał się teraz bardzo, by w nią znów co nie wpadło i tak go to męczyło, że łzy popłynęły mu z oczu i jedna wpadła w źródełko. Wyjął ją przestraszony, lecz już było za późno, zamieniła się w złotą kulkę i choć zagrzebał ją w piasku, rękę miał całą ozłoconą od wyjmowania łezki.

Mąż leśny przyszedł wieczorem i wiedział już, co się stało.

— Łzę upuściłeś w wodę — rzekł surowo; — tym razem jeszcze ci przebaczę, jeśli jednak po raz trzeci znieważysz cudowną wodę musimy się rozstać.

Od świtu dnia trzeciego siedział chłopczyk przy studni i bał się mrugnąć okiem, aby znów przypadkiem nie wpadło co do źródełka. Palec bolał go dziś jeszcze, ale nie zważał na to, nie poruszał się z miejsca i patrzał ciągle na wodę. Wtem ujrzał w niej odbicie swojej twarzy. To go tak zabawiło,

iż pochylił się bardziej, ażeby lepiej widzieć własne rysy, gdy nagle długie jego jaśne włosy, spadające na ramiona, rozsypały się po twarzy i umaczały w źródełku.

Wyprostował się przerażony, lecz całą głowę miał już złotą i jaśniejącą jak słońce. Nie wiedział, co począć. Na koniec wziął chusteczkę i obwiązał głowę. Potem usiadł cichutko, smutny, zawstydzony i przestraszony bardzo.

Wieczorem przyszedł mąż leśny i rzekł natychmiast:

— Zdejm chustkę.

Chłopiec wypełnił rozkaz i złote jak słońce włosy spadły mu na ramiona.

Zapłakał i chciał się tłumaczyć z tego nieszczęsnego zdarzenia, ale potwór rzekł bez gniewu:

— Cokolwiek powiesz, nic to nie pomoże. Byłeś u mnie trzy lata i próby nie wytrzymałeś; nie możesz pozostać dłużej. Musisz iść w świat, poznać pracę i nędzę. Żal mi cię jednak, więc pamiętaj: kiedy będziesz w potrzebie, odwróć się na cztery strony w miejscu samotnym i zawołaj: „Przez moc cudownego źródła wzywam cię,

mężu leśny!" Wtedy pośpieszę ci na pomoc, a potęga moja jest wielka, większa niż ci się zdaje.

I zniknął, a biedny chłopiec udał się w swoją drogę. Teraz dopiero spostrzegł, że bardzo wyrósł i zmężniał, gdyż trzy dni, które spędził przy kryształowym źródle, były trzema latami. Długo błąkał się po lesie, jadł korzonki i jagody, spał na mchu i trawie, nim na koniec wyszedł w pole i trafił na chaty ludzkie. Głowę owiązał chustką, aby nie widziano jego jaśniejących złotych włosów i chciał się zgodzić u wieśniaka do roboty. Okazało się jednak, że siły ma za mało i nic nie umie, więc nikt go przyjąć nie chciał i z litości zaledwie dostał kawałek chleba.

Tak wędrował po świecie od wioski do wioski na los swój wyrzekając, aż na koniec zaszedł do wielkiego miasta. Był to królewski zamek, więc udał się tam zaraz, w nadziei, iż znajdzie może jakiekolwiek zajęcie. Roztropny i cichy chłopiec podobał się służbie, pozwolono mu zostać, a po niejakim czasie zabrał go sobie kucharz do pomocy. Musiał mu wodę nosić, drzewo rąbać, poda-

wać do ręki wszystko, a za to miał dobre życie i wszyscy lubili go dosyć.

Raz, gdy król prędko zażądał śniadania, a nikogo innego pod ręką nie było, kucharz kazał mu zanieść półmisek na stół królewski. Były królewicz spełnił ten rozkaz posłusznie, ale ponieważ nie chciał, ażeby król spostrzegł jego jaśniejące włosy, nie zdjął czapki z głowy.

— Jak śmiesz stać z nakrytą głową przed twym królem? — zawołał rozgniewany i zdumiony monarcha.

— Przebacz, miłościwy królu, ale nie mogę inaczej, mam szkaradną narośl na głowie i nie zdejmuję czapki, aby jej nikt nie zobaczył.

— W takim razie nie możesz posługiwać w kuchni.

Król zawołał kucharza, gniewał się na niego za nieporządek i rozkazał natychmiast wydalić z kuchni wstrętnego kuchcika. Kucharz musiał być posłuszny, ale że lubił chłopca, więc zaprowadził go do ogrodnika i prosił, aby tamten dał mu jakie zajęcie.

Tym sposobem syn królewski został ogrodniczkiem. Od rana polewał kwiaty, kopał ziemię, wyrywał zielsko, grabił i równał ścieżki i tak był zapracowany, że nieraz pot kroplisty spływał mu po czole.

Raz, gdy tak w dzień gorący pracował gorliwie, chciał się ochłodzić trochę, a ponieważ nikogo więcej nie było w ogrodzie, zdjął białą czapkę z głowy i pozwolił wietrzykowi rozwiać swoje złote włosy. Nie domyślił się jednak, że blask ich zajaśnieje aż w pokoju królewny, która siedząc przy oknie, zdumiona dziwnym światłem, spojrzała w ogród i ujrzała chłopca ze złotymi, jaśniejącymi jak słońce włosami.

Zawołała na niego, aby przyniósł jej bukiet; przestraszony ogrodniczek szybko ukrył włosy pod czapkę, zerwał wiązankę świeżych polnych kwiatów i szedł do pokoju królewny. Na dziedzińcu jednak spotkał ogrodnika.

— Jak możesz tak brzydkie kwiaty nieść królewnie! — zawołał. — Rzuć je i urwij piękniejszych w ogrodzie.

— Tamte ma co dzień — rzekł chłopiec — a tych nie zna może, więc będą jej

przyjemne; zresztą nie są brzydkie, a pachną bardzo ładnie.

Królewnie podobał się bukiet z polnych kwiatów, lecz spojrzawszy na chłopca zapytała surowo:

— Dlaczego nie zdejmujesz czapki? Czy nie wiesz, że nie wolno w mojej obecności stać z nakrytą głową?

— Przebacz mi, królewno, lecz na głowie mam narośl, więc nie zdejmuję czapki, żeby tego nikt nie zobaczył.

Królewna się roześmiała, ręką za czapkę chwyciła, i nim zdążył krzyknąć, zdjęła mu ją z głowy, a złote włosy spadły na ramiona i zajaśniały jak słońce.

Przestraszył się biedny chłopiec, fartuchem głowę zasłonił i uciekł ile miał siły.

Królewna wstawiła w wodę polne kwiaty i siedziała przy nich dzień cały.

Nazajutrz groźne wieści zbudziły stolicę: potężny nieprzyjaciel zbliżał się do miasta w tak wielkiej sile, że król sam wątpić zaczynał, czy go pokonać zdoła. Zebrał jednakże wierne swe rycerstwo, pożegnał żonę, córkę i wyruszył w pole.

Widząc, że wszyscy idą z królem na woj-

nę, ogrodniczek zaczął prosić, aby i jego wzięli.

— Jestem młody, zdrów i silny — mówił — nie mogę pozostać w domu, gdy inni walczyć będą.

Śmiała się z niego służba i dworzanie pytając, czy kiedy widział miecz i zbroję; ale chcąc go się pozbyć, obiecali nareszcie, że mu w stajni konia zostawią.

Gdy wszyscy wyruszyli za bramy zamkowe, ogrodniczek poszedł do stajni, znalazł tam kulawego i starego konia, lecz dosiadł go i pośpieszył za innymi. Cała służba śmiała się patrząc na niego z okien, a dziewczęta palcami go pokazywały i pytały, czy jedzie wojować z żabami.

Tymczasem ogrodniczek znalazłszy się w czystym polu, gdzie nikogo nie było, obrócił się w cztery strony i zawołał:

— Przez moc cudownego źródła, wzywam cię, mężu leśny!

W tej samej chwili zahuczało w powietrzu i znany głos zapytał:

— Czego chcesz, przyjacielu?

— Chcę rumaka, abym mógł pojechać na wojnę.

— Będziesz miał więcej, niż żądasz.

Zagrzmiało, zahuczało, i w tejże prawie chwili z pobliskiego lasu wyjechał oddział rycerzy na karych koniach, w pozłocistych zbrojach, a ich miecze i szyszaki świeciły na słońcu jak błyskawica, aż wzrok olśniewały. Na czele jechał giermek na siwym rumaku i prowadził cudnej maści białego wierzchowca, połyskującego jak srebro. Ognisty rumak wspinał się i parskał, aż iskry i kłęby dymu buchały mu z rozwartych nozdrzy, lecz drugi giermek silnie trzymał go z przeciwnej strony, niosąc zarazem pyszną srebrną zbroję i szyszak srebrny z białym pióropuszem, a na końcu każdego piórka przy szyszaku świecił brylant jak kropla rosy.

Młodzieniec odważnie dosiadł ognistego konia, skinął na rycerzy w pozłocistych zbrojach i popędził na pole walki. Jak burza spadli tutaj na potężnego wroga, który pokonał już wojsko królewskie, rozproszył je i samego króla chciał właśnie wziąć do niewoli. Lecz rycerz w srebrnej zbroi na czele walecznych hufców jak huragan rzucił się na nieprzyjaciela, tratując, depcząc,

łamiąc jego niewzruszone szeregi. Trwoga i zamieszanie zajęły miejsce triumfu: polegli już wodzowie, pierzchają rycerze, srebrny rycerz ściga ich zawzięcie, a z wojska jego nikt dotąd nie poległ i pędzą wszyscy za nim, niosąc śmierć i zniszczenie.

Król ocalony zbiera resztki swej drużyny, z wdzięcznością śpieszy za swoim wybawcą, lecz ten zniknął mu z oczu; więc do stolicy powraca, szczęśliwy, że nie stracił państwa i korony.

Córka w orszaku dziewic na powitanie wybiegła, ojcu się na szyję rzuciła, zwycięstwa mu winszowała.

— Nie moja w tym zasługa — odparł monarcha z westchnieniem — zginąłbym, gdyby nie obcy rycerz w srebrnej zbroi, a ty byłabyś dzisiaj niewolnicą.

— Czymże wynagrodziłeś go, ojcze, za tak wielką przysługę?

— Nie widziałem go więcej, moja córko; pogonił za nieprzyjacielem i nie powrócił do mnie.

Zamyśliła się królewna głęboko, potem wyszła do ogrodu i spytała o ogrodniczka.

— Oto powraca właśnie na swym kulawym koniu — zaśmiał się jeden z dworzan. — Hej, junaku, powiedz, pod którym płotem spałeś na swoim wierzchowcu, kiedy padały strzały i błyskały miecze?

— Ho, ho — odparł ogrodniczek — źle byłoby tam beze mnie! Za dziesiątą granicę przepędziłem wroga.

Roześmieli się wszyscy na to, a on zsiadł spokojnie ze swego kulawego konia, odprowadził go do stajni i zaczął podlewać kwiaty.

Król rzekł do córki:

— Wydam wielkie igrzyska, które trzy dni będą trwały; ty rzucisz złote jabłko, a kto je pochwyci, dostanie cię za żonę. Może nieznajomy rycerz zjawi się między innymi.

Ogrodniczek dowiedziawszy się o zamiarze króla, o świcie wybiegł w czyste pole, obrócił się w cztery strony i zawołał:

— Przez moc cudownego źródła wzywam cię, mężu leśny!

— Czego żądasz? — spytał głos znany.

— Chcę złapać jabłko królewny.

— Będziesz je miał i więcej, niż żądasz.

W tej chwili z pobliskiego lasu wyszedł giermek, prowadząc cudnej maści wierzchowca, który w promieniach słońca jaśniał jak czyste srebro. Drugi niósł srebrną zbroję i srebrzysty szyszak z białym pióropuszem, a na końcu każdego piórka przy szyszaku świecił brylant jak kropla rosy.

Młodzieniec ubrał się w srebrzystą zbroję, dosiadł rumaka i pojechał na igrzysko. Właśnie rycerze stali już w szeregu, każdy z wyciągniętą ręką i płonącym wzrokiem, każdy pełen nadziei, iż pochwyci jabłko. Na wysokim balkonie ukazała się królewna; diamentowa korona jaśniała na jej kruczych włosach, diamentami wyszywana biała szata osłaniała ją ognistym, przejrzystym obłokiem. Oczy jej, czarne jak noc najciemniejsza, spoglądały na rycerzy i królewiczów stojących w szeregu, a gdy ujrzała w srebrnej zbroi bohatera, rzuciła złote jabłko.

Pochwycił je nieznany rycerz, ale w tej samej chwili spiął konia ostrogami i uciekł tak szybko, iż wiatr nawet nie byłby go w stanie dogonić.

Długo stała królewna na wysokim bal-

konie, patrzała za uciekającym, lecz nic dojrzeć nie mogąc, weszła do zamku i zamknęła się w swojej komnacie.

Nazajutrz ogrodniczek udał się znów w pole i przybył na igrzyska w szczerozłotej zbroi, na złocistym rumaku, w złocistym szyszaku z rubinowym pióropuszem.

Królewna wyszła na balkon w sukni jak jutrzenka, w koronie niby zorza jaśniejącej, popatrzała na królewiczów i rycerzy, nie znalazła wczorajszego bohatera, ale rzuciła jabłko. Rycerz w szczerozłotej zbroi pochwycił je i umknął na złocistym koniu, że nie dogoniłby go nawet huragan.

Długo stała królewna na wysokim balkonie, patrzała za uciekającym, ale nic dojrzeć nie mogła i powróciła do swojej komnaty. Lecz król rozgniewał się srodze na obcego rycerza, który się nie chciał dać poznać, i rozkazał dworzanom, aby dnia następnego w pogoń za nim się puścili i jeśli dobrowolnie nie zechce powrócić, strzałami go zasypali, konia pod nim ubili.

Ukazał się obcy rycerz trzeciego dnia w czarnej zbroi, na karym koniu, sypiącym iskrami, szmaragdowy pióropusz miał przy

czarnym hełmie i szmaragdami wysadzaną tarczę.

Poznała go królewna z wysokiego balkonu, gdzie stanęła w ognistej purpurowej sukni, w rubinowej koronie na kruczych warkoczach, ze złotym jabłkiem w ręku.

Jabłko rzuciła z balkonu, porwał je rycerz w czarnej zbroi i pomknął jak błyskawica. Lecz dworzanie, królewicze i rycerze w pogoń się za nim rzucili, strzałami go zasypali, z których jedna w nodze mu utkwiła, a gdy czarny szyszak w ucieczce zsunął mu się z głowy, ujrzeli złote włosy, które spadły na ramiona i zajaśniały blaskiem piękniejszym niż słońce.

Powrócili do króla rycerze i dworzanie i opowiedzieli wszystko. Królewna uśmiechnęła się słuchając, potem wyszła do ogrodu i spytała o ogrodniczka.

— Nie ma z niego pożytku — skarżył się ogrodnik; — od trzech dni ledwo widać go w ogrodzie, od świtu leci patrzyć na igrzyska.

Nic nie rzekła królewna, lecz poszła do króla i zasiadła obok niego na złocistym tronie. Nikt nie mógł słyszeć, co do ojca mó-

wiła, lecz po chwili król kazał wezwać ogrodniczka.

Wszedł chłopiec śmiało w swej białej czapeczce i zatrzymał się u progu.

— Jak śmiesz stać w mojej obecności z nakrytą głową?

— Nie mogę zdjąć tej czapki, miłościwy królu.

Wtedy królewna wstała ze złotego tronu, zbliżyła się do młodzieńca i zdjęła białą czapeczkę, a złote włosy, jaśniejsze od słońca, spadły mu na ramiona.

Dwór cały krzyknął z podziwu, sam król olśniony patrzył ze zdumieniem na pięknego młodzieńca, który stał niewzruszony u progu.

— Ty pochwyciłeś trzy jabłka królewny? — spytał monarcha wreszcie.

— Oto są — odparł młodzian, kładąc je przed królem. — A oto rana od strzały na nodze.

Przez chwilę trwało głębokie milczenie.

— Czy ty na czele walecznych rycerzy ocaliłeś mnie od klęski i niewoli pokonawszy silniejszego wroga? — odezwał się król znowu.

— Ja — odparł syn królewski; — w tej samej srebrnej zbroi, w której dnia pierwszego byłem na igrzyskach.

— Lecz skoro jesteś takim bohaterem, nie możesz być ogrodniczkiem! Kto jest twoim ojcem?

— Moim ojcem jest król potężny, a złota i wszelkich skarbów mam moc wielką.

— Masz także dzielne ramię i odważne serce; wiem, ile ci jestem winien i chcę spłacić dług wdzięczności. Wszystko, czego żądasz, jest twoim.

— Nic nie żądam, potężny królu, ale przyrzekłeś swą córkę oddać za żonę temu, kto jej trzy jabłka zdobędzie.

— Słuszne masz do niej prawo; żądasz tego tylko, co zdobyłeś zasługą, więc jesteś szlachetny; z radością witam w tobie zięcia i następcę tronu.

— A ja dawno odgadłam w nim bohatera i wiedziałam, że ma włosy jak słońce — odezwała się królewna podając rękę przyszłemu mężowi. — Ogrodnik nie byłby przyniósł mi polnych kwiatów w bukiecie.

Wesele odbyło się z wielką wspaniałością. Dnia tego po raz ostatni młodzieniec

wzywał leśnego męża w pustym polu i prosił go, aby zechciał także przybyć na ucztę. Ale potwór odmówił i oznajmił, że więcej się widzieć już nie będą. Wtedy syn królewski zapłakał.

Na ten widok zadrżał straszny mąż leśny, ściemniło się gwałtownie, błysnęło i zagrzmiało, wiatr zawył straszliwie i wszystko zniknęło. Młodzieniec sam został w polu, wiedział, że nie ujrzy więcej przyjaciela, i powrócił zasmucony, a nawet i teraz siedząc przy żonie piękniejszej niż wiosna, nie mógł zapomnieć o swym ciężkim żalu.

Nagle muzyka umilkła zdziwiona, gdyż przez otwarte okna popłynął do sali potężny huk trąb i kotłów, zabrzmiały okrzyki, rozległ się tętent koni, otwarto podwoje i wszedł wysoki, siwy, wspaniały monarcha, w koronie jaśniejącej jak promienie słońca, w przepysznej zbroi, płaszczu wysadzanym szmaragdami i diamentami, ze szmaragdowym berłem w jednej dłoni, z ognistym mieczem w drugiej.

Obok niego szli rodzice królewicza, strojni w złoto i purpurę, a dalej wspaniały

orszak bogatych rycerzy, jaśniejący od złota i drogich kamieni.

Król siwowłosy w szmaragdowym płaszczu zbliżył się do państwa młodych i rzekł:

— Jam jest mąż leśny. Długie lata cierpiałem w tej potwornej postaci, bo nikt mnie nie kochał. Krzywdziłem ludzi, a oni przebaczać nie umieli. Ciebie pozbawiłem rodziców, a tyś zapłakał łzami, skoro się dowiedziałeś, że nie zobaczysz mnie więcej. Ta łza skończyła moc zaklęcia: jestem wybawiony, a ty, mój przybrany synu, zostaniesz dziedzicem niezmiernych skarbów, które są moją własnością.

Królewicz w uniesieniu najwyższej radości rzucił się przyjacielowi na szyję, potem uściskał serdecznie rodziców, którzy uszczęśliwieni z odzyskania syna płakali gorącymi łzami.

— Teraz nic mi już nie brak do szczęścia — rzekł potrząsając złotymi włosami i podając rękę ukochanej żonie, aby ją przedstawić rodzicom.



ZWYCIĘZCA SMOKA

W dalekim kraju, za morzami i górami żyło dwóch braci: ubogi i bogaty.

Bogaty mieszkał w mieście, miał piękny dom, ogrody, bogate sprzęty, skrzynie pełne skarbów, sklep z kosztownymi wyrobami złota, wiele służby, młodą żonę, ale nie miał dzieci i to czyniło go skąpym, zazdrosnym, bo zdawało mu się zawsze, iż jest pokrzywdzony od losu i dogadzał sobie we wszystkim, aby wynagrodzić tę krzywdę.

Ubogi mieszkał na przedmieściu, w ubogiej chatce, był bednarzem, z trudem zarabiał na kawałek chleba, lecz choć przed rokiem dopiero ożenił się z biedną dziewczyną, już dwoje zdrowych i rumianych bliźniąt bawiło się w koszykowej ubogiej kolebce.

Chłopcy rośli szczęśliwie, podobni do siebie niby dwie krople wody, tak iż rodzona matka odróżnić ich nie mogła i zawiesiła każdemu na szyi innej barwy plecionkę, aby poznawać ich po tym.

Czas upływa szybko; dzieci rosły, mądrzały, kochały się bardzo i nie rozłączały się nigdy ani przy zabawie, ani przy pracy. Bo i pracować musieli wkrótce obaj chłopcy; pomagać ojcu, matce, nosić drzewo z lasu, wodę ze źródła, posłużyć sąsiadom, za co nieraz dostali kawałek chleba lub sera.

Stryj bogaty z początku słyszeć o nich nie chciał, tak zazdrościł bratu tej pociechy, ale raz w zimie, gdy bratowa przyprowadziła do niego zziębłych malców, prosząc o miarkę zboża, aby z głodu nie pomarli, ulitował się nad ich dolą, a może chciał tym sposobem los przejednać dla siebie, dość, że pozwolił im co dzień przychodzić po resztki, które ze stołu jego zostawały.

— Może — myślał sobie w duszy — Bóg wynagrodzi mi tę litość i ześle tak upragnione dzieciątko.

Ale lata mijały i nic się nie zmieniało: bogaty nie miał dzieci i z dniem każdym

stawał się coraz bardziej skąpy i chciwy złota; ubogi miał dwóch ślicznych chłopców, zdrowych i roztropnych, ale często brakło mu chleba.

Razu jednego, było to na wiosnę, ubogi bednarz pojechał do lasu po gałęzie na obręcze; lecz wyjechawszy na znaną polankę nad kryształowym strumykiem, szemrzącym coś tajemniczo między starymi, srebrnymi wierzbami, zadumał się i zapatrzył na świat odmłodzony i o biedzie swojej zapomniał. Bo też ślicznie tu było w ten poranek majowy: błękitne niebo jaśniało bez chmurki, świeża zieloność okrywała ziemię i drzewa, ptaszki świergotały głośno i radośnie, a strumyk, przeskakując z kamyka na kamyk, szeptał coś bez ustanku i pluskał przejrzystą kryształową wodą po kamykach. I tak dobrze, tak błogo było w tym ustroniu, że ubogi bednarz zapomniał o całej biedzie swojej i położywszy się w cieniu srebrnej brzozy na murawie, ani spostrzegł, jak dzień upłynął, słońce zaszło i zmrok szary zstępować zaczął na ziemię.

Nagle od północnej strony błysnęło coś niby gwiazda, przemknęło między drzewa-

mi, cudownym blaskiem oblało polankę i zawisło na gałązce srebrnolistnej brzozy.

Ocknął się z dumań ubogi i poruszyć się nie śmie: widzi nad sobą żar-ptaka na gałązce i wie, że gdyby go schwycić potrafił, stałby się panem nieprzebranych skarbów. A ptak cudowny przejrzał się w strumyku i strzepnął złote piórka, od których taki blask bije, że oczy aż mrużyć trzeba.

Nie wytrzymał biedny bednarz: wie, że nie dosięgnie ptaka, ale pochwycił kamień i rzucił nim z taką siłą, że jedno piórko upadło na ziemię, a spłoszony żar-ptak, niby jasna gwiazda wzniósł się w powietrze i zniknął w obłokach.

Zerwał się bednarz z ziemi, serce mu bije jak młotem, podniósł piórko i pospiesznie ukrył je w zanadrzu, a spojrzawszy na ciemne niebo skierował się ku domowi.

Tegoż jeszcze wieczoru zaniósł bratu piórko żar-ptaka, a bogacz obejrzawszy je uważnie dał garść złota ubogiemu i obiecał mu wielką nagrodę, jeśli żywego ptaka przyniesie.

Bednarz zadowolony powrócił do domu, lecz nie powiedział żonie skąd pochodzi zło-

to, a nazajutrz o świcie udał się znów na polankę.

Na srebrzystej brzozie ujrzał z daleka jaśniejące pióra cudownego ptaka i brzydka chciwość zapłonęła w jego sercu. Zbliżał się, jak mógł najostrożniej, lecz mądry ptak nauczony wczorajszym doświadczeniem miał się także na baczności, dostrzegł go, zaledwie postąpił kilka kroków na polankę i uleciał w górę niby iskra złota. Wtedy bednarz wdrapał się zręcznie na drzewo i znalazł złote jajko w gniazdku ze złotych piórek. Był to skarb wielki, toteż zabrał go skwapliwie i pospieszył natychmiast do bogatego brata.

Bogacz miał wielki rozum, czytał przeróżne księgi i dużo się z nich dowiedział, więc ucieszył się bardzo z tej zdobyczy, dał bratu dwie garści złota, ale żądał koniecznie, aby mu złapał samego żar-ptaka i przyniósł choćby nieżywego.

Teraz dopiero wróciwszy do domu opowiedział bednarz żonie o wszystkim, co go spotkało i pokazał jej złoto otrzymane od skąpca. Młoda kobieta jednak nie ucieszyła się wcale; popatrzyła na swoje ukochane

dzieci, uśpione snem niewinnym na czystym łóżeczku i z westchnieniem rzekła do męża:

— Nie cieszy mnie to złoto, takim sposobem nabyte: lękam się, by los mściwy na dzieciach naszych nie szukał odwetu za krzywdę biednej matce wyrządzoną. Jeśli mnie kochasz, nie szukaj więcej żar-ptaka. Dość uczyniłeś mu złego, niechaj nam Bóg to przebaczy!

Ale bednarz, opanowany już chciwością złota, śmiał się z obaw żony.

— Głupiec tylko odwraca oczy, gdy szczęście samo do niego bieży — rzekł wzruszając ramionami. — Zobaczysz, dzieci nasze nie zaznają biedy i my na stare lata odpoczniemy. Pójdę dziś na noc do lasu i dostanę żar-ptaka, albo sam życie położę.

I nie słuchając dalszych uwag żony pospiesznie wyruszył w drogę.

W lasku zmrok już zapadał, ostatnie promienie zachodzącego słońca purpurowym blaskiem żegnały wierzchołki drzew, a na powierzchni ziemi słała się mgła przejrzysta. Bednarz nie tracąc czasu wdrapał się na brzozę srebrnolistną i ukrył w cieniu jej gałęzi.

Zaledwie jednak zdążył przytulić się jak najmocniej do pnia białego, gdy od północnej strony zajaśniało i gwiazda nad gwiazdy, cudny żar-ptak, olśniewając wszystko swoim blaskiem nadleciał, aby spocząć na gniazdeczku. Szukając go, okrążył brzozę srebrnolistną, potem zaniepokojony poruszył skrzydłami i tysiące świateł rozbłysły po polanie, ale gniazdka nigdzie nie było.

Tymczasem bednarz wyjął przygotowany kamień i gdy żar-ptak żalem zdjęty zawisł na chwilę w powietrzu, wymierzył, cisnął z całą siłą i ugodził go tak trafnie, iż zabił na miejscu.

Zahuczało w ciemnym borze, pociemniało na niebie, żałośnie szemrać zaczął kryształowy strumyczek, zadrżały jakby z trwogą listki srebrnej brzozy; lecz bednarz nie zważał na to, zeskoczył na ziemię, porwał zdobycz upragnioną i pobiegł do miasta.

Bogaty brat czekał go na progu domu, witał radośnie i w nagrodę za trudy pozwolił mu zabrać tyle złota, ile go biedak mógł udźwignąć.

Bednarz wrócił bogaczem z tej nocnej wyprawy, lecz żona miała złe przeczucie, nie cieszyła się tym wcale i z niezwykłą trwogą spoglądała na dzieci.

A brat bogaty kazał swojej żonie, ażeby własnoręcznie upiekła żar-ptaka, złote piórka oskubała i do ręki mu oddała, a serce i wątróbkę uważnie wyjęła i nie uroniła żadnej okruszynki. Wszystko to sam zjeść zamierzał bez podziału, wiedząc dobrze, co zyskać może tym sposobem.

Posłuszna żona spełniła jego polecenie i właśnie kiedy piekła na rożnie żar-ptaka, bracia bliźnięta, synowie bednarza, wesoło wbiegli do kuchni, powitali stryjenkę i zaczęli ciekawie zaglądać w kąciki. Pieczyste było już prawie gotowe, więc odchodząc po nakrycie, kazała im stryjenka, aby dali na nie baczenie. Posłuchali z ochotą: jeden obracał rożen, drugi poprawiał drewka; wtem kilka kawałków spadło na brytwannę.

— Co spadnie, to już dla nas — rzekł starszy wesoło; — stryjenka zawsze tak mówi.

I nie namyślając się długo chwycili

z brytwanny spadłe z rożna kawałki i zjedli ze smakiem.

— Cóż to jecie? — spytała wchodząc w tej chwili stryjenka, a gdy powiedzieli jej prawdę, przestraszyła się bardzo, gdyż przy żar-ptaku brakowało serca i wątróbki. Zalęknione dzieci uciekły do domu, a kobieta, ażeby uniknąć gniewu męża, co prędzej zabiła kurczę, wyjęła serce i wątróbkę, upiekła i razem z żar-ptakiem na stół postawiła.

Skąpiec zjadł wszystko co do okruszynki i zaraz spać się położył. Ale nadaremnie dzień cały i nazajutrz rano oczekiwał skutków tej uczty. W końcu sam już nie wiedział, co ma o tym myśleć.

Wtem wbiega zdyszany bednarz i pokazując bratu cudnej roboty szczerozłote piórka, woła uszczęśliwiony:

— Drogi bracie, szczęście pod moim dachem zamieszkało! Ile razy który z moich chłopców się przebudzi, piórko złote w ustach trzyma.

Skąpiec w mgnieniu oka odgadł, co się stało, i zawrzał gniewem i pragnieniem zemsty. Od dawna zazdrościł bratu, że ma

dzieci, nienawidził bratanków, chociaż ich widok chwilami wzruszał jego twarde serce, a teraz gdy się domyślił, że chłopcy bezwiednie pozbawili go tak gorąco upragnionej własności, postanowił zemścić się nad nimi i nad ich ojcem.

— Nieszczęśliwy — zawołał z udanym przestrachem — nie tykaj tego złota, odrzuć je precz od siebie! Czy nie widzisz, że szatan opętał dzieci twoje? Pokrop je święconą wodą, gdy się położą do łóżka, wtedy nie zwłócząc chwili wyprowadź chłopców w las ciemny, zostaw i sam uciekaj nie oglądając się za siebie. Inaczej zginiecie wszyscy: dotykając tych piórek, oddajesz duszę swoją w moc szatana i wkrótce staniesz się jego własnością.

Nieszczęśliwy bednarz pobladł z okropnej trwogi, rzucił złote piórko, pobiegł po święconą wodę, pokropił nią obu chłopców, gdy się położyli, i nie śpiąc czekał do rana.

Lecz z rana obaj mieli w ustach złote piórka i biedny ojciec, chociaż serce mu pękało z bólu, zaprowadził ich co prędzej do ciemnego lasu, dał kromkę chleba każdemu na drogę, kazał na siebie czekać przy

strumieniu i płacząc odszedł, aby nie powrócić więcej.

Żona o niczym jeszcze nie wiedziała, a kiedy za powrotem opowiedział jej wszystko, wpadła w rozpacz tak wielką, iż wkrótce umarła.

I tak sprawdziły się jej słowa i przeczucia: złote piórka żar-ptaka nie przyniosły im szczęścia.

*

* *

A tymczasem bracia bliźnięta do wieczornego zmroku oczekiwali ojca przy strumieniu. Nie byli głodni, gdyż mieli dość chleba, jagody czerwieniły się dokoła, a czysta i chłodna woda zaspokoiła ich pragnienie. Ale gdy nadszedł wieczór, strach ogarnął biedne dzieci; w lesie pociemniało tak szybko, dziwne głosy ze wszech stron odzywać się poczęły, a ojca nie ma i nie ma.

— Snadź nie może nas znaleźć — pomyśleli sobie i zaczęli go nawoływać; lecz tylko echo ponuro powtarzało ich głosy i przestraszeni jeszcze bardziej żałośnie płakać zaczęli.

Na koniec chłopczyk z czerwoną plecionką na szyi ujął rękę brata i przemówił:

— Płacz nic nam nie pomoże; chodźmy lepiej wzdłuż strumienia, ojciec nam przecież mówił, że zbłąkani tym sposobem odszukują drogę.

I uściskawszy się ze łzami w oczach, wzięli się mocno za ręce i ostrożnie szli wzdłuż strumienia.

Długo szli, długo, a każda minuta wiekiem im się wydawała, gdy spostrzegli na koniec światełko w zaroślach i na wzgórku ujrzeli chatkę, otoczoną żywopłotem z ciernia. Chłopcy zaczęli wzywać pomocy, ratunku i wkrótce na progu chatki ukazał się leśnik i wysłuchawszy ich opowiadania zaprowadził malców do żony.

Żona strzelca z litością przyjęła biedne dzieci, a oboje nie mając własnych postanowili chować je jak swoje. Leśniczyna natychmiast dała im gorącego mleka, ciasta pszennego; na dużym tapczanie posłała siana, przykryła czystym prześcieradłem i ułożyła obydwu jak matka troskliwie. Potem sama spać poszła. Lecz jakież zdziwienie czekało nazajutrz z rana poczciwych

leśników, gdy każdy z chłopców dał im szczerozłote piórko! Bardziej się jeszcze ucieszyli, przekonawszy się następnie, że to nie jakiś wypadek, lecz cudowna własność zbłąkanych dzieci, które tym sposobem z dniem każdym stają się coraz bogatsze.

Dobrze było chłopcom w domu poczciwego leśnika i zacnej jego żony. Z opiekunem swoim chodzili na polowania, a zręczny strzelec uczył ich strzelać, zastawiać sidła, robić zasadzki na zwierza, walczyć wszelaką bronią i w niedługim czasie doczekał się z nich pociechy. Przybranej matce pomagali także, ile tylko mogli, leśnik nazwał jednego Szczęsnym, drugiego Radosnym. I dobrze im było razem w tej ubogiej chatce i kochali się wszyscy jak prawdziwa rodzina.

Gdy Szczęsny i Radosny doszli do lat młodzieńczych, wziął ich przybrany ojciec raz z sobą do lasu, wskazał lecące w górze stado dzikich gęsi i kazał jednemu zabić pierwszą z długiego sznura, drugiemu zaś ostatnią. Padły dwa strzały, a pierwsza i ostatnia gąska znalazły się u nóg mło-

dzieńców. Wtedy leśnik wskazał im stado bocianów, lecących w formie wielkiego trójkąta i kazał dwa ostatnie zabić celnym strzałem. I to spełnili Szczęsny i Radosny, a wówczas doświadczony myśliwy upatrzył stado jaskółek i kazał w nim dwom jaskółkom przestrzelić po skrzydełku, ale nie zabić żadnej.

Warknęły strzały i spadły na ziemię dwie jaskółki z przestrzelonymi skrzydłami.

— Brawo, moje zuchy! — rzekł leśnik: — każdy z was jest wybornym strzelcem i możecie mierzyć się teraz z każdym niebezpieczeństwem.

Uściskał ich serdecznie i powrócili do domu. Leśniczyna obiad na stół postawiła, lecz Szczęsny i Radosny spojrzeli na siebie i odezwali się w te słowa:

— Nie tkniemy dziś jedzenia, póki się nie zgodzicie na gorącą naszą prośbę.

— A cóż to takiego? — zapytał strzelec.

— Chcemy iść w świat, ludzi poznać, szczęścia szukać, sił naszych popróbować. Sam powiedziałeś, ojcze, że nie potrzebuje-

my się lękać niebezpieczeństwa, może się więc przydamy komu w dobrej sprawie.

— Dobrze mówicie, zuchy — rzekł leśnik zadowolony — tego się zawsze po was spodziewałem; ślimak tylko w skorupie siedzi, a człowiek na dzielnym koniu świata jest panem. Jutro zaraz o świcie sam was odprowadzę aż do granicy lasu i nauczę, jak żyć macie.

Zapłakała leśniczyna, lecz sprzeciwiać się nie śmiała: mąż panem domu. Zresztą dla kobiety dom światem, a dla męża świat chatą; taka już wola Boża, przeznaczenie i nie może być inaczej.

Wstali więc nazajutrz rano, nim jeszcze słonko wzeszło. Leśnik dał każdemu z chłopców dzielnego konia, psa i dobrą fuzję, a leśniczyna żywności na drogę i tyle złotych piórek, ile ich zabrać chcieli. Potem Szczęsny i Radosny uściskali przybraną matkę i z ojcem pojechali do granicy lasu. Przez drogę doświadczony strzelec dawał im różne przestrogi, a gdy stanęli na skraju puszczy, zatrzymał się i rzekł poważnie:

— Jedźcie sobie teraz z Bogiem, a pamiętajcie o nas. Oto macie nóż błyszczący;

gdy wam się przyjdzie rozłączyć, wbijcie go głęboko w drzewo na rozstajnych drogach. Póki będziecie przy życiu i zdrowi, nóż pozostanie czysty i świecący, skoro jednak który z was umrze lub będzie w niebezpieczeństwie, nóż od tej strony zaraz pociemnieje lub zardzewieje.

Bracia podziękowali za wszystko serdecznie, przyrzekli nie zapominać o przestrogach, powrócić kiedyś do domu i pożegnali się z przybranym ojcem.

Jadą przez błonie, przez rzekę, przez góry i wjechali w bór czarny, tak szeroki i długi, że do końca dojechać trudno. Wieczorem zjedli resztę zabranej żywności, a nazajutrz o głodzie cały dzień daremnie szukali wioski lub osady ludzkiej, gdzieby się pożywić mogli.

— Nie mogę jechać dalej — odezwał się Szczęsny — umieram z głodu. Musimy co zabić, upiec przy ognisku i posilić się przed nocą; inaczej zginiemy marnie.

Radosny zgodził się na to, a że zajączek właśnie przebiegł drogę, wziął go na cel i byłby położył na miejscu, gdyby biedne

zwierzątko stanąwszy na dwóch łapkach nie zawołało ludzkim głosem:

— Daruj mi życie, dobry junaku, dwoje dzieci oddam ci za to na służbę!

Radosny się zlitował i nie strzelił, a zajączek skoczył w krzaki i przyprowadził stamtąd dwa młodziutkie zające, które zaczęły natychmiast tak pocieszne skoki wyprawiać, że bracia nie mieli serca zabić ich na pieczyste.

Poszli więc wszyscy dalej; wtem Szczęsny spostrzegł lisa pod krzakiem i już miał go zabić, gdy stanąwszy na dwóch łapkach lis zawołał ludzkim głosem:

— Daruj mi życie, dobry junaku, dwoje dzieci oddam ci za to na służbę!

Szczęsny ulitował się znowu, a lis przyprowadził co prędzej dwa młode liski, które pokornymi gestami tak wzruszyły głodnych młodzieńców, że nie mogli ich zabić.

I znowu wszyscy razem poszli dalej. Wtem wybiega wilk na drogę i pokazuje zęby. Szczęsny już zmierzył do niego, gdy wilk zawołał błagalnie:

— Daruj mi życie, dobry junaku, dwoje dzieci oddam ci za to na służbę!

I znów ulitowali się bracia nad wilkiem i wilczętami, które powiększyły ich orszak. Wkrótce potem niedźwiedź zastąpił im drogę, lecz gdy go chcieli zabić, błagał o litość i przywiódł dwoje młodych niedźwiedziąt na służbę junakom.

Już byli zdecydowani nie darować nikomu, gdy lew ryknął groźnym głosem spod bliskiego pagórka, lecz zaledwie Radosny zwrócił się ku niemu, kiedy król zwierząt zawołał z pokorą:

— Daruj mi życie, dobry junaku, a za to dzieci oddam ci na służbę.

I przyprowadził dwa lwy młode, które jednak nie zaspokoiły głodu naszych podróżnych.

Wtedy Radosny zwrócił się do młodych lisów:

— Wyście chytrzy i przebiegli — rzekł do nich — dostarczcie nam żywności, bo inaczej sami przed innymi pójdziecie na pieczeń.

Lisy oznajmiły zaraz, że w pobliżu znajduje się wioska, gdzie jest dużo kur i drobiu i podjęły się wskazać drogę. Tym sposobem podróżni znaleźli na noc gospodę,

sutą wieczerzę i wygodny spoczynek, a gdy wszystkie zwierzęta zostały nakarmione, położyli się i zasnęli.

Odtąd obydwa lisy były przewodnikami, gdyż znały dobrze wszystkie drogi i liczny orszak miał zawsze czym głód zaspokoić.

W ten sposób podróżowali czas jakiś, lecz przekonali się wreszcie, że nie łatwo im będzie dostać się razem do służby i że prędzej czy później rozłączyć się muszą. Zasmuciło to ich bardzo, lecz nie było rady. Kiedy trafili na rozstajne drogi, wbili nóż w dąb stuletni, uściskali się serdecznie, przysięgli sobie nawzajem braterską miłość do śmierci i Szczęsny pojechał na wschód, Radosny na zachód.

Każdy był teraz właścicielem konia, psa, lwa, niedźwiedzia, wilka, lisa i zająca, a prócz tego złotych piórek przybywało im codziennie, więc mieli za co wyżywić drużynę, bo każde piórko także miało wielką cenę.

Radosny jechał długo od miasta do miasta, od dworu królewskiego do drugiego dworu, a nie mógł jakoś zgodzić się na służ-

bę: tu jemu się nie podobało, tam on się nie podobał. Aż przyjechał na koniec do wielkiego miasta, w którym panowała tak wielka żałoba, że ulice kirem zasłano, a ludzie chodzili cicho ze spuszczonymi głowami i nikt słowa nie śmiał przemówić.

Nasz młodzieniec zajechał prosto do gospody, kazał dać kapusty świeżej zajączkowi, parę sztuk drobiu lisowi, dla wilka, lwa i niedźwiedzia kupił tęgiego wołu, a psa wziął z sobą na resztki wieczerzy, którą przyrządzić kazał. Usłużny oberżysta sam przyniósł mu potrawy; kiedy głód zaspokoił, zapytał Radosny, co znaczy ta żałoba w mieście.

Gospodarz westchnął ciężko i potrząsnął głową.

— Starsza królewna jutro umrzeć musi — rzekł żałośnie — jakże się nie mamy smucić?

— Musi umrzeć! — powtórzył zdziwiony młodzieniec. — Czy jest tak chora?

— Jest zdrowa, piękna i młoda, ale umrzeć musi — szepnął znowu oberżysta — umrzeć musi, bo już wszystkie dziewice w naszym mieście pożarł smok, straszny

potwór, który mieszka na tej górze, a teraz na nią kolej. Nie ma już ani jednej, żeby ją zastąpić mogła, więc nie ma dla niej ocalenia: umrzeć musi.

— To być nie może! — zawołał Radosny z zapałem; — dlaczegóż nikt nie zabije okrutnego smoka?

— Nie ma na świecie takiego junaka — westchnął oberżysta — chociaż król poprzysiągł, że oddałby mu królewnę za żonę i połowę królestwa. Nie jeden waleczny rycerz przystępował już do tej walki, ale wszyscy polegli śmiercią bohaterską; ich kości niepogrzebane bieleją przed jaskinią smoka, a on pustoszy cały kraj dokoła, skoro mu nie przywiodą na czas biednej ofiary.

Posłuchał jeszcze, podumał Radosny, ale nic nie powiedział i udał się na spoczynek, a nazajutrz o świcie zgromadził wierną drużynę i skierował się na wzgórze zamieszkane przez smoka. Było jeszcze bardzo wcześnie, więc szedł bez pośpiechu i wstąpił do kapliczki, stojącej przy drodze, na pochyłości wzgórza. W kapliczce pusto było, jedna tylko lampka paliła się przed

ołtarzem, na którym stał kielich pełen złotawego napoju. Na kielichu zaś był napis:

„Gdy czystego serca człowiek spełni ten puchar do dna, siła jego będzie tak wielką, iż podźwignie miecz olbrzyma, znajdujący się pod progiem i nikt mu się oprzeć nie zdoła“.

Radosny pomyślawszy zbliżył się do progu, szybko odkopał miecz olbrzyma, ale podźwignąć go nie mógł; więc powrócił do ołtarza, spełnił puchar mocy, a gdy teraz chwycił stary, zardzewiały oręż, władał nim jak dziecinną zabawką.

Tymczasem nadjechał orszak nieszczęśliwej królewny. Sam ojciec odprowadził ją do stóp wzgórza, tu pożegnał dziewicę z żalem i rozpaczą i natychmiast odjechał do miasta nie chcąc być świadkiem okrutnej śmierci swego dziecka. Marszałek dworu tylko pozostał na straży, aby dać znać, gdy spełni się straszna ofiara.

Królewna z białą na twarzy zasłoną, w szacie perłami tkanej, srebrnolitej, wstępowała na wzgórze nie śmiejąc podnieść oczu, gdyż widziała na szczycie jakąś groźną postać i pewną była, że to smok straszli-

wy. Lecz Radosny przemówił do niej tak łagodnie, że ośmieliła się spojrzeć na niego, a wówczas wziął ją za rękę, powiedział, że pragnie zabić smoka i ocalić jej życie, a tymczasem zaprowadził ją do owej kapliczki, posadził przed ołtarzem i drzwi zamknął starannie na rygiel żelazny.

Wtem zaszumiało, błysnęło w górze i straszny smok siedmiogłowy stanął przed junakiem dysząc ogniem z paszcz rozwartych i sypiąc iskry z oczu.

— Kto jesteś i co tu robisz? — zawołał ze wściekłością.

— Przyszedłem walczyć z tobą — odparł Radosny śmiało.

— Chcesz śmierci? Więc ją otrzymasz! Spojrzyj na te szkielety: to zuchwali poprzednicy twoi, którzy śmieli mierzyć się ze mną.

To mówiąc buchnął ogniem z siedmiu paszcz rozwartych, aż zapłonęła wkoło sucha trawa, a dym duszący ogarnął junaka. Lecz wszystkie zwierzęta nagle rzuciły się na pomoc, zdeptały trawę i płomienie, a skoro dym się rozszedł, połyskując krwawymi oczyma smok z rykiem rzucił się na

swego wroga, Radosny podniósł miecz silną prawicą i ściął trzy głowy smoka jednym uderzeniem.

Zwierz rozszalały z bólu i wściekłości wzniósł się w powietrze ziejąc straszliwym ogniem z paszcz pozostałych, ale młodzieniec odważnie zwrócił się wprost ku niemu i znów potężnym razem ściął mu trzy głowy z drugiego ramienia.

Jęknął i zawył smok, upadł na ziemię, lecz pełznąc jeszcze chciał ostatnią siłą zwalić z nóg przeciwnika i poszarpać w kawały. Radosny patrzał śmiało na olbrzymie cielsko wijącego się ku niemu potwora, a gdy ten był dość blisko, spuścił nań swój oręż i zmiażdżył ostatnią głowę silnym ciosem.

Teraz skinął na zwierzęta, które w jednej chwili rozszarpały na sztuki ciało zabitego smoka, a sam poszedł do kapliczki, gdzie przy stopniach ołtarza znalazł zemdloną królewnę. Radosny wyniósł ją stamtąd, a świeże powietrze prędko przywróciło przytomność dziewicy. Widząc się ocaloną, widząc szczątki smoka i krwią zbryzgany oręż swego zbawcy, w uniesieniu radości dziękowała mu ze łzami zapewniając, że

ojciec da mu ją za żonę i połowę królestwa za czyn bohaterski.

Potem uszczęśliwiona wysłuchała ciekawie opisu całej walki, pogłaskała wierne zwierzęta, zerwała z szyi sznur drogich korali i nawlókłszy je na jedwabne nitki, na znak przyjaźni rozdała drużynie; junakowi zaś dała cieniutką chusteczkę ze swym imieniem i znakiem królewskim.

Radosny z siedmiu paszczy nieżywego smoka wyciął siedem języków, zawinął w chusteczkę, ukrył na piersi i rzekł do królewny:

— Jestem tak znużony walką, iż muszę wypocząć; jeśli chcesz, położymy się w cieniu drzew na murawie, a sen nas pokrzepi wkrótce i orzeźwi.

— Bardzo chętnie — odpowiedziała królewna czując się też znużoną, lecz przede wszystkim pragnąc spełnić życzenie swojego wybawcy.

Radosny zaprowadził ją pod cień starego, szumiącego jak morze, dębu, i ułożył wygodnie na szmaragdowej murawie, sam zaś wezwał psa wiernego i przemówił w te słowa:

— Biegnij, póki ci sił stanie na wschód słońca, a gdy spotkasz brata mojego, Szczęsnego, powiedz mu, żeby spieszył na moje wesele. Bez niego nie powracaj.

Pies obrócił się na wschód słońca, spojrzał raz jeszcze na pana i puścił się w drogę.

Teraz Radosny skinął na lwa potężnego i rzekł głaszcząc z pieszczotą gęstą jego grzywę:

— Ja spać będę, a ty czuwaj.

Lew ziewnął, lecz groźnym wzrokiem spojrzał dokoła, a gdy pan jego i królewna zasnęli, zawołał na niedźwiedzia:

— Jestem znużony i muszę się przespać; ty czuwaj przez tę chwilę, a gdybyś spostrzegł jakieś niebezpieczeństwo, zbudź mnie natychmiast.

Niedźwiedź mruknął na znak zgody, lecz uczuł wkrótce, że i jemu zaczynają ciążyć powieki.

— Słuchaj — rzekł do wilka — muszę się przespać trochę; ty czuwaj i zbudź mnie w razie niebezpieczeństwa.

Wilk przyrzekł, lecz i jemu spać się zachciało także, a czując, że nie wytrzyma, zawołał na lisa.

— Czuwaj ty za mnie, panie bracie, chwilkę, a zbudź mnie zaraz, gdyby się co stało.

Lis był znużony niemniej od wszystkich, więc chociaż pragnął pozostać na straży i zyskać pochwałę pana, uczuł, że to nad jego siły i odezwał się do zająca:

— Mój przyjacielu, bądź czujnym chwileczkę, ja zadrzemię na jedno oko; zbudź mnie natychmiast, gdyby się co stało.

Zając czuwał przez chwilkę, a gdy sen zaczął go ogarniać, pomyślał sobie: „Choć śpię, mam otwarte oczy, więc zobaczyłbym, gdyby się co stało".

I zasnął mocno.

Marszałek tymczasem, który czekał u stóp góry, aby donieść królowi, gdy smok odleci, dziwił się niezmiernie, że zamiast krzyku ofiary, wśród kłębów dymu słychać było szczęk oręża i okropne wycie potwora. Potem, gdy ucichło wszystko i noc się zbliżać zaczęła, postanowił przekonać się naocznie, co niezwykłego stało się na górze. Wszedł więc ostrożnie, a gdy ujrzał śpiącego junaka i królewnę oraz wszystkie zwierzęta i zabitego smoka, ucieszył się bardzo:

dobrze wymierzonym ciosem uciął głowę rycerzowi, a królewnę porwał i szybko uniósł z tego miejsca.

Zbudzona ruchem dziewica, otworzyła oczy i z przestrachem płakać zaczęła.

— Przysięgnij, że powiesz ojcu, iż jestem twoim wybawcą, inaczej zginiesz natychmiast z mej ręki! — rzekł marszałek i podniósł już miecz nad jej głową.

Przelękniona królewna wykonała przysięgę i wobec ojca potwierdziła wszystko, co opowiedział niegodziwy kłamca o swojej walce ze smokiem. Potem jednakże padła na kolana, błagając króla, ażeby wesele na rok jeden odłożył, gdyż taki ślub uczyniła w chwili niebezpieczeństwa i dotrzymać go musi albo zginie marnie.

Ojciec zgodził się na to i narzeczony również, choć w duszy nie rad był wcale tej zwłoce; nieszczęśliwa zaś królewna nie wierząc w śmierć junaka żyła nadzieją, iż los jej go wróci.

*

*   *

A na Smoczej Górze wszyscy spali twardo i słońce już zaczęło chylić się ku zacho-

dowi, gdy wielka mucha w sam nos ukłuła zająca. Zbudził się szarak, spojrzał przestraszony, a nie widząc królewny, szybko trącił lisa; lis przetarł oczy i przebudził wilka; wilk niedźwiedzia, a ten lwa. Lew spostrzegłszy zabitego rycerza wpadł w gniew okrutny i groźnie ryknął na sąsiada:

— Dlaczego mnie nie zbudziłeś?

Niedźwiedź za całe usprawiedliwienie z tymże samym pytaniem zwrócił się do wilka, wilk do lisa, lis do zająca, a ponieważ ten ostatni nie miał już na kogo złożyć winy z siebie, z ponurą groźbą otoczyły go zwierzęta.

— Zlitujcie się nade mną — zawołał biedny szarak — choć ciężko zawiniłem, chcę zrobić, co jest w mej mocy, by złe naprawić: za pięćdziesiątą górą, za trzydziestą rzeką rośnie ziele życia, które leczy wszelkie rany i umarłym życie przywraca. Pospieszę tam i przyniosę cudownego ziela.

— Idź — rzekł lew — a jeżeli nie wrócisz jutro przed wieczorem, nie ujdziesz zasłużonej kary.

Zając poskoczył i tak dobrze się sprawił,

że nim doba upłynęła, powrócił z zielem życia i wodą gojącą wszelkie rany. Lew natychmiast przyłożył odciętą głowę Radosnemu, niedźwiedź skropił go wodą, a zajączek włożył w usta ziele życia.

Głęboko westchnął nasz dzielny bohater, otworzył oczy, spojrzał na to miejsce, gdzie spoczywała uśpiona królewna i przestraszony zerwał się na równe nogi.

Więc była tak niewdzięczną, że go opuściła? Zaparła się swego zbawcy? Dokądże odeszła?

Zwrócił się do lwa z zapytaniem, lecz ten z wielką pokorą wyznał swą winę i opowiedział, jak było. Radosny wierzyć nie chciał, gdy wtem spostrzegł z przestrachem, że ma głowę twarzą do pleców zwróconą, gdyż lew w pośpiechu odwrotnie przyłożył ją do tułowia. Nie mogąc już wątpić, że wszystko jest prawdą, kazał sobie głowę odciąć i przytwierdzić jak należy, a wzgardziwszy, jak sądził, niewdzięczną królewną, bez zwłoki ruszył w dalszą drogę.

Smutny był jednak po tym zawodzie nasz junak i trudniej mu jeszcze było zna-

leźć dobrą służbę; jechał wciąż dalej i dalej, otoczony drużyną. Dużo widział, podziwiał, poznał kawał świata i na koniec zajechał do pewnego miasta, którego wszystkie domy, strojne w zieloność i kwiaty, zwiastowały wesołą jakąś uroczystość.

— Cóż to za święto u was? — spytał oberżysty, zatrzymawszy się w przydrożnej gospodzie.

— Wielkie święto i wielka radość: starsza królewna, która przed rokiem oddaną była na pożarcie smokowi, zostaje dzisiaj żoną swego zbawcy, marszałka dworu, który zabił smoka. Dzielny ten bohater dawno byłby dostał razem z nią połowę królestwa, gdyby nie to, że dziewica uczyniła ślub, iż rok cały od chwili ocalenia niczyją żoną nie będzie.

Ze zdziwieniem wysłuchał tej wieści młodzieniec. Poznał teraz, iż powtórnie znalazł się w tym samym mieście i nie wiedział, co ma myśleć o niewdzięcznej królewnie; postanowił jednak dojść prawdy i ukarać winnych.

Nazajutrz był dzień wesela. Gdy gospo-

darz położył czarny chleb na stole, Radosny go odsunął i rzekł:

— O co zakład, że nim upłynie godzina, będę tu miał chleb biały z królewskiego stołu?

— O, nie tak łatwo o to u nas, panie; mogę się założyć nawet o ten worek złota i pewien jestem wygranej.

— Dobrze — zawołał rycerz.

Wezwał do siebie zająca i szepnął mu:

— Słuchaj, szary, skocz mi zaraz do pałacu i przynieś bochenek chleba z królewskiego stołu.

Zając podrapał się łapką za ucho, a że nie miał kogo posłać, więc choć strach mu było psów i ludzi, ruszył natychmiast w drogę. Psy spostrzegły go jednak i zaczęły gonić; biedny szarak, obskoczony, schronił się w budkę strażnika. Psy za nim, ale strażnik, nie wiedząc o co im chodzi, palnął jednego i drugiego kolbą, aż rozbiegły się wyjąc. Wtedy zając wyskoczył, wpadł do pałacu, usiadł za krzesłem królewny i trącił ją łapką w nogę.

— Pójdź precz! — zawołała myśląc, że to jej piesek ulubiony.

Ale zając trącił ją znowu, a gdy się obejrzała, podniósł się na dwóch łapkach i pokazał jej korale na jedwabnej nitce, które mu sama zawiązała na szyi. Królewna poznała go po tym naszyjniku, wzięła na ręce, zaniosła do siebie i zapytała, pieszcząc białą rączką:

— Czego chcesz ode mnie, kochany zajączku?

— Mój pan, junak Radosny, który zabił smoka, przysłał mnie tu z oberży, ażebym przyniósł mu chleba z królewskiego stołu.

Uszczęśliwiona królewna zawołała piekarza, kazała przynieść najpiękniejszy chleb biały, jaki sam król tylko jadał i zanieść za zajączkiem do gospody. Piekarz spełnił jej rozkaz; przed wrotami gospody zajączek wziął chleb od niego i zaniósł panu do izby.

Radosny wezwał gospodarza i pokazał mu zdobycz.

— Wygrałem — rzekł ze śmiechem. — A teraz może się założycie, że nie dostanę pieczeni z królewskiego stołu?

Gospodarz pokiwał głową, ale założyć się nie chciał, a Radosny zawołał lisa i rzekł:

— Słuchaj, rudy, skocz do królewny i przynieś mi pieczeń z królewskiego stołu.

Lis chytry, mądry, poszedł zaułkami, nie spotkał nikogo i tak wszedł do pałacu, że nikt go nawet nie spostrzegł. Wszedł i usiadł spokojnie za krzesłem królewny, a potem trącił ją łapką po nodze.

Królewna się obejrzała, zobaczyła lisa z nitką korali na szyi, wzięła go na ręce i zaniosła zaraz do swego pokoju.

— Czego chcesz, kochany lisku? — odezwała się pieszczotliwie.

— Mój pan, junak Radosny, który zabił smoka, przysłał mnie tu po pieczeń z królewskiego stołu.

Królewna natychmiast zawołała kucharza, kazała mu przyrządzić pieczeń na sposób królewski, a kuchcik poszedł za lisem i zaniósł ją do oberży. Przed wrotami lis odebrał z rąk jego półmisek i zaniósł swemu panu.

Gospodarz zdziwił się znowu, a Radosny rzekł:

— Teraz będę miał i jarzynę z królewskiego stołu.

Oberżysta nic już nie mówił, a Radosny zawołał wilka i posłał go do królewny po jarzynę.

Wilk śmiało szedł przez miasto nie lękając się nikogo, wszedł do pałacu i nastąpił na suknię królewny. Dziewica się obejrzała, zaraz poznała wilka i zabrała go do swego pokoju.

— Czego chcesz kochany wilku? — przemówiła łagodnie.

— Mój pan, junak Radosny, który zabił smoka, przysłał mnie tu po jarzynę z królewskiego stołu.

Królewna rozkazała kucharzowi przyrządzić ulubioną królewską jarzynę i odesłać za wilkiem przez kuchcika.

Junak pochwalił się przed oberżystą i zapowiedział, że i owoce jeszcze mieć będzie, a wezwawszy niedźwiedzia posłał po nie do królewny.

Niedźwiedź szedł śmiało przez ulice miasta; straż przed królewskim pałacem chciała mu zastąpić drogę, ale potężnym uderzeniem łapy odtrącił na bok tego i owe-

go i poszedł przez pokoje aż do krzesła królewny, za którym mruknął z cicha.

Królewna się obejrzała, poznała niedźwiedzia, oddaliła się z nim zaraz i spytała, czego żąda.

— Mój pan, junak Radosny, który zabił smoka, przysłał mnie po owoce z królewskiego stołu.

Królewna uśmiechnęła się za całą odpowiedź i wezwawszy ogrodnika, rozkazała mu odnieść za niedźwiedziem kosz najpiękniejszych owoców z królewskiego ogrodu.

Ogrodniczek z niemałym strachem niósł kosz przez całe miasto za groźnym przewodnikiem, który odebrał mu go przed oberżą, pokosztował z wierzchu kilka smacznych jagód, resztę zaś wiernie odniósł swemu panu.

— No, teraz jeszcze mi wina brakuje — rzekł tenże do oberżysty; — może założycie się ze mną, że tego nie dostanę?

Lecz oberżysta nie chciał słuchać o zakładzie, choć bardzo był zdumiony wszystkim, co się stało. Rycerz tymczasem rzekł do lwa:

— Mój przyjacielu, sam lubisz napić się

dobrego wina i jesteś znawcą tego królewskiego napoju, więc idź zaraz do pałacu i przynieś mi najlepszego.

Lew wyszedł poważnym krokiem, a wszystko, co żyło, uciekało przed nim na ulicy: warta królewska również pierzchnęła z przestrachu, a on wszedł i zapukał do komnaty królewny. Otworzyła mu sama i poznała go po naszyjniku, więc uprzejmie zapytała, czego żąda.

— Mój pan, junak Radosny, który zabił smoka, przysyła mnie po wino z królewskiego stołu.

Królewna zawołała piwnicznego i rozkazała dać lwu najlepszego wina. Ale piwniczny nieznacznie ruszył ramionami i pomyślał sobie, że nie popełni nic złego, jeśli głupiemu zwierzęciu da gorszego napoju. Zaprowadził więc lwa do piwnicy i natoczył mu wina, które było przeznaczone dla królewskiej służby.

— Daj no mi wpierw pokosztować — rzekł lew wyciągając łapę.

Piwniczy podał mu szklankę; lew wypił połowę, skrzywił się, splunął i mruknął niechętnie.

— To nie królewskie wino; daj lepszego.

Piwniczy spojrzał chmurnie, nie śmiał jednak się sprzeciwić, poszedł do drugiej beczki i natoczył wina, przeznaczonego dla marszałka dworu, ministrów i dostojników.

— Daj no mi wpierw pokosztować — odezwał się lew znowu.

Piwniczy podał mu szklankę, lew wychylił ją do połowy, resztę wylał i rzekł ze wzgardą.

— Chciałeś mnie znowu oszukać; to nie królewskie wino, chociaż lepsze od tamtego.

— Co ty się możesz znać na tym! — zawołał piwniczy w gniewie.

Lecz w tejże chwili silne uderzenie potężnej łapy powaliło go na ziemię, a gdy się podniósł, już w milczeniu i z pokorą zaprowadził lwa do oddzielnej piwnicy, gdzie stało królewskie wino, natoczył go dzban spory i chciał wyjść, ale pierwej lew pragnął jeszcze skosztować napoju. Wypiwszy całą szklankę, mruknął z zadowoleniem, a chociaż mu się w głowie porządnie kręciło, przyprowadził piwniczego przed

oberżę, tam dzban odebrał mu z ręki i sam odniósł swemu panu.

— No — rzekł Radosny — teraz mam już wszystko, z czego składa się obiad królewski.

I jadł wesoło razem ze zwierzętami, bo się przekonał, że królewna go kocha i tylko z nieznanych przyczyn zataiła prawdę.

Gdy się wszyscy nasycili, odezwał się znowu:

— Widzieliście, gospodarzu, jaki miałem obiad, a cóż powiecie teraz na to, że za chwilę zajedzie po mnie powóz królewski, a nim kur zapieje, zostanę mężem ocalonej od smoka królewny.

— Wiem już, że bardzo wiele jest w twej mocy, panie — odparł oberżysta z pokorą — temu jednakże nie mogę dać wiary; wiem, że królewna od roku jest zaręczona z marszałkiem dworu, który zabił smoka i dzisiaj jeszcze zostać musi jego żoną.

— Nie! — zawołał Radosny. — Oto stawiam w zakład ten worek złota wygrany od ciebie, że nim się dzień skończy, będę mężem królewny.

— W takim razie gotów jestem założyć się o cały majątek! — zawołał z zapałem oberżysta; — bo choć śmiały jesteś i mądry, mój panie, lecz król nasz sprawiedliwy, a marszałek pierwsze ma prawo.

Jeszcze tych słów nie domówił, gdy giermek królewski przybiegł prosić rycerza w imieniu swego monarchy, by niezwłocznie na dwór się udał.

Uśmiechnął się Radosny i rzekł do posłańca:

— Idź i powiedz twemu królowi, że junak Radosny żąda, aby przysłał po niego własny powóz w sześć koni zaprzężony i sześciu konnych dworzan; wtedy pojadę do dworu.

Król siedział obok córki, gdy wrócił posłaniec i powtórzył słowa rycerza.

— Cóż mam uczynić? — rzekł do niej; — powiedziałaś mi przed godziną, że jeśli chcę dowiedzieć się, co znaczą te zwierzęta, które odwiedzają cię dzisiaj, muszę wezwać na dwór ich pana; spełniłem życzenie twoje, lecz obcy rycerz żąda więcej jeszcze.

— Dobrze uczynisz, ojcze, jeżeli go po-

słuchasz, — z prośbą w spojrzeniu odparła królewna.

Monarcha popatrzał na nią, na jej smutne czoło, wspomniał, że to ostatni już dzień jej dziewictwa i uśmiechnął się dobrotliwie.

— Uczynić, jak rycerz żąda — powiedział do giermka.

Wkrótce powóz królewski zajechał przed pałac, zaprzężony w sześć białych cudnej maści rumaków; sześciu dworzan na karych, parskających koniach towarzyszyło mu w bogatych szatach. Kiedy drzwi otworzono, wysiadł z powozu rycerz tak piękny, jakiego oko ludzkie nie widziało, w złocistej zbroi, z wielkim złotym pióropuszem, a lew, niedźwiedź, wilk, lis i zając otoczyły go dokoła.

— Jakże mam go powitać? — zapytał król córki, widząc, że młody rycerz nie wstępuje na schody.

— Powitaj go, drogi ojcze, jak dostojnego gościa — odparła rozpromieniona dziewica.

I król postąpił naprzeciw rycerza, podał mu prawą rękę i przy stole posadził obok

siebie, naprzeciw marszałka dworu, który jako narzeczony i wybawca królewny miał również miejsce obok króla.

Wobec nieznajomego dostojnego gościa król kazał przynieść siedem głów zabitego smoka i rzekł wskazując je:

— Takiego oto potwora pokonał ten waleczny marszałek dworu i dlatego dziś otrzyma córkę moją za żonę i połowę królestwa. Mężny panować powinien.

Lecz obcy rycerz otworzył paszczę zabitego smoka i zapytał:

— A gdzież są w nich języki?

Pobladł marszałek dworu, nagłą trwogą zdjęty, ale po chwili zawołał zuchwale:

— Ogniem dyszące smoki języków nie mają.

— Kłamcy ich mieć nie powinni — odparł Radosny dumnie; — ale języki smoka są świadectwem zwycięstwa.

To powiedziawszy otworzył złocisty woreczek, który mu wisiał u pasa, wyjął z niego haftowaną cieniutką chusteczkę, rozwinął i siedem języków, które się w niej znajdowały, umieścił w siedmiu paszczach zabitego potwora, a następnie wskazując

haftowane imię królewskiej córki na chusteczce spytał, komu ją ofiarowała.

— Temu, kto zabił smoka — odpowiedziała natychmiast z wdzięcznością patrząc na rycerza.

Wówczas Radosny zdjął swoim zwierzętom na jedwabnych nitkach zawieszone korale i zapytał królewny, czyją są własnością.

— Rozdałam je drużynie mojego wybawcy — odparła wzruszonym głosem.

Radosny opowiedział teraz, jak znużony walką zasnął razem z królewną na zielonej murawie, jak posnęły wszystkie zwierzęta, a korzystając z tego nikczemny zdrajca pozbawił go życia i porwał królewską córę.

— Czy to prawda? — spytał król córki — dlaczego milczałaś dotąd?

Rozpłakała się królewna i wyznała, że niegodziwy marszałek zagroził jej śmiercią i zmusił do wykonania przysięgi, której dziś nawet złamać by nie mogła, gdyby nie to, że prawda bez jej współudziału szczęśliwie odkrytą została. Powiedziała także, iż jedynie z tego powodu prosiła

przed rokiem o zwłokę w oznaczeniu dnia ślubu.

Wysłuchawszy jej, król skinął na dwunastu radców, którym rozkazał osądzić marszałka.

Skazali go na rozdarcie przez cztery bawoły, ślub zaś królewny z junakiem Radosnym odbył się tego wieczoru.

*

* *

Szczęśliwie żyć zaczęli Radosny z królewną rządząc połową państwa, gdyż drugą połowę zachował sprawiedliwy ojciec dla młodszej córki, która dorastała dopiero. Gdy upłynął miesiąc od ślubu, młody król odwiedził z żoną starego leśnika w puszczy i opowiedział mu o swoim szczęściu; żałował tylko, że nie wie, gdzie szukać prawdziwego ojca, gdyż dziecinne wspomnienia zatarły się w jego pamięci. Przykro mu także było, iż nie miał wieści o bracie i pies nie wracał po niego wysłany. Nóż, wbity w drzewo na rozstajnych drogach, jasny był zawsze od strony Szczęsnego, ani śladu rdzy na nim, więc brat żył widocznie, lecz dlaczego nie przybywał?

Te zmartwienia dla młodej pary były jak chmurki na pogodnym niebie: wiatr zawiał i już ich nie ma, a choć ukażą się znowu, nie zasłonią przecież nigdy złocistego słońca ani błękitnego horyzontu. Prócz tego miał Radosny jedną jeszcze troskę, która jak natrętna mucha uwijała się koło niego: był to bór niedostępny.

W północnej stronie królestwa zajmował on wielką przestrzeń i musiała być w nim moc zwierzyny, gdyż od pamiętnych czasów nikt tam nie polował. Starzy ludzie mówili, że kto raz tu wstąpi, więcej nie wraca, więc z tego powodu król ojciec surowo wzbronił polować w tej stronie, i nazwano całą puszczę „borem niedostępnym".

Lecz zięć królewski spać nie mógł spokojnie, że on, zwycięzca siedmiogłowego smoka, lękać się ma nieznanego mu niebezpieczeństwa zamiast je poznać i zwalczyć. I póty błagał i zaklinał króla, żeby mu pozwolił zmierzyć się z tajemniczym czarem, póki nie uzyskał pozwolenia.

Nazajutrz z rana, pożegnawszy żonę, z licznym orszakiem wybrał się na polowanie zabierając z sobą i wierne zwierzęta.

„Bór niedostępny“ nęcił cudną zielonością, niby otchłań tajemnicza, pełna chłodu i cienia, ludzie jednak niechętnie jechali w tę stronę. Nagle prześliczna srebrno-biała łania ukazała się na skraju gęstwiny i mignąwszy między drzewami zniknęła, aby po chwili błysnąć nieco dalej.

Radosny zachwycony chciał pogonić za nią, lecz towarzysze błagali go, żeby nie puszczał się za nieznanym i dziwnym zwierzęciem. Wtedy rzekł do nich:

— Zaczekajcie tu na mnie; sam chcę i muszę zabić to czarodziejskie zwierzę, a wówczas bór niedostępny będzie uwolniony od czarów.

Panowie i dworzanie zgodzić się nie chcieli, ale rozkazał im słowem królewskim, więc pozostali na brzegu lasu, on zaś zaczął ścigać łanię i ścigał ją tak długo, aż zmrok wieczorny zapadł.

Wtedy znikła łania, otoczyły go ciemności, a gdy zatrąbił w swój róg wyzłacany, nikt nie usłyszał jego głosu, gdyż był daleko w głębi puszczy. Widząc, że nocować tutaj musi, zsiadł z dzielnego rumaka, przywiązał go do drzewa, rozpalił ognisko, roz-

dał resztę [illegible] odniałej drużynie i zasiadł przy [illegible] stosie.

Zwierzęta [illegible] się dokoła niego i bohater czuł [illegible] ym.

Po niej [illegible] jednakże wydało mu się, że sły[illegible] zki. Obejrzał się dokoła, ale [illegible] nie było. Wtem na drzewie dało się słyszeć wyraźne westchnienie. Spojrzał w górę i spostrzegł przytuloną do gałęzi staruszkę, drżącą z zimna.

— A co to wam, matko? — spytał łagodnie. — Zejdźcie tu do mnie, do ognia, rozgrzejecie się i posilicie.

— Jakże chcesz, żebym zeszła, kiedy srogie zwierzęta leżą w koło siebie.

— Nie lękajcie się, matko, to moja drużyna, nic wam nie zrobi złego, zejdźcie tylko śmiało.

— Nie mogę się odważyć — mruknęła znowu staruszka. — Ot, wiesz co? Rzucę ci różdżkę na ziemię, a ty uderz nią zwierzęta, wtedy się przekonam, czy są łagodne i uległe.

Zaśmiał się Radosny z tej próby, a gdy różdżka spadła na ziemię, uderzył nią lekko wiernych swoich przyjaciół i nie zwrócił

nawet uwagi, że stara prędko zsunęła się z drzewa i jego również dotknęła czarodziejską laską.

Nagle uczuł, że nogi stają mu się cięższe i sztywne, ręce bezwładne, głowa nieruchoma; spojrzał na lwa, lecz ten był już skamieniały, równie jak niedźwiedź, wilk, lis i zajączek; oczy ich tylko, zwrócone na niego, wyrażały mękę i trwogę. Wówczas pojął Radosny, że sam jest kamieniem i wzrok mu tylko pozostał człowieka.

A stara wiedźma zaśmiała się głośno; dzikim, ponurym śmiechem odpowiedziało jej echo i znów nieprzerwana cisza zaległa w czarnym borze.

Tymczasem dworzanie do samego wieczora czekali na skraju lasu nadaremnie, a gdy bez pana powrócili do domu, powstał płacz wielki i młoda królowa na wszystkie strony wysłała rycerzy, aby szukali jej męża. Nie brakło śmiałków między dworzanami, tym bardziej, iż zapowiedziano nazajutrz, że rękę młodszej królewny i drugą połowę państwa otrzyma ten, kto odnajdzie zaginionego bohatera.

Próżnymi były jednak wszelkie usiło-

wania; kto wjechał w bór niedostępny, nie powracał z niego i żadnej wieści o mężu nie miała młoda królowa.

Aż dnia pewnego przybiegł giermek donosząc, że król szczęśliwie powraca do zamku z całą swą wierną drużyną. Uszczęśliwiona królowa wybiega na ganek, aby powitać męża, który wjeżdżał w bramę. Dwa psy szły obok konia, dalej znane zwierzęta, żadnego nie brakowało, tylko oblicze jasne bohatera niezwykle było dzisiaj zachmurzone. Zatrzymawszy się pośród dziedzińca, głęboko w ziemię wbił swój miecz olbrzymi i w te odezwał się słowa:

— Na długość tego miecza niech nikt nie zbliża się do mnie, dopóki prawda nie będzie wykryta.

— Co to ma znaczyć, mężu? — zawołała królowa. — Od trzech dni we łzach i trwodze wyglądam twego powrotu, a ty nie powitasz mię nawet?

— Taki ślub uczyniłem, droga pani moja; bądź cierpliwa czas krótki i uczyń, jak żądam.

Królowa ze łzami w oczach powróciła do pałacu, obrażona i zagniewana na mnie-

manego męża, gdyż nie poznała, że to był brat Szczęsny, który wezwany przez psa na wesele, opóźnił się nieco spiesząc z dalekiego kraju. Po drodze zboczył na rozstajne drogi, ujrzał nóż zardzewiały od strony zachodniej i odgadł, że brat nie żyje lub jest w niebezpieczeństwie; gdy zaś królewscy słudzy powitali go jak pana opowiadając dziwy o tajemniczym lesie, domyślił się wszystkiego, ale nie wyprowadzał ich z błędu, aby mu byli posłuszni.

Jakoż wywiedziawszy się zręcznie o całym wypadku nazajutrz ruszył na łowy o świcie z licznym rycerstwem i swoją drużyną, zapowiadając, iż pragnie co rychlej odszukać zaginionych rycerzy, którzy dla niego życie narażali.

Kiedy przyszli na kraj puszczy, ukazała się jak zwykle prześliczna biała łania i mniemany królewicz pozostawiwszy swój orszak na drodze sam tylko puścił się za nią. I stało się, jak poprzednio, iż ścigał ją dzień cały, a gdy noc nastąpiła, musiał pozostać w lesie. Zaledwie jednak rozpalił ognisko, usłyszał ciche jęki na gałęzi i ujrzał przytu-

loną do drzewa staruszkę, drżącą na wieczornym chłodzie.

— Zejdźcie-no matko — rzekł do niej łagodnie — ogrzejecie się trochę przy ognisku, a i posiłek znajdzie się dla głodnych.

— Jakże mam jeść — odparła trzęsąc się staruszka — kiedy boję się twoich srogich zwierząt?

— Zwierzęta moje nic ci złego nie zrobią.

— Nie mogę temu wierzyć; zrzucę ci rózgę z drzewa, uderz je nią, a wtedy przekonam się, czy rzeczywiście są tak pokorne i uległe.

Usłyszawszy to Szczęsny domyślił się prawdy i zawołał groźnym głosem:

— Schodź mi natychmiast na dół, albo cię zabiję.

— Nie lękam się twoich strzałów — zaśmiała się stara i odrzuciła mu kulę, którą jej przesłał spod drzewa.

Wtedy Szczęsny dobył z torby garstkę złotych piórek, lew zgniótł je silną łapą, niedźwiedź ścisnął zębami i gdy takim nabojem strzelił do czarownicy, spadła z drzewa i jęcząc zaczęła wzywać litości.

Ale Szczęsny przygniótł ją mocno kolanem i zawołał jeszcze groźniej:

— Mów, gdzie jest brat mój i jego drużyna, bo zginiesz tu okrutną śmiercią.

Widząc, że to nie żarty, stara jęknęła głucho i wyznała całą prawdę.

— Przywróć mu życie i wszystkim, których zgubiłaś w tym lesie.

Wiedźma próbowała jeszcze uciec, lecz Szczęsny nóż jej przyłożył do serca, i tak rada nie rada wymówiła słowa zaklęcia, po czym las cały napełnił się życiem, powstawali martwi rycerze i Radosny ze swą drużyną pospieszył naprzeciw brata.

Teraz obaj związali czarownicę i wrzucili na stos płonący, a zwierzęta czuwały, aż spłonęła do szczętu. Bracia zaś, uwolnieni od niebezpieczeństwa, padli sobie w objęcia i zapłakali z radości. Potem opowiedzieli sobie nawzajem przygody, jakich doznali w ciągu tego czasu i nad ranem dopiero zasnęli obaj przy ognisku, pod strażą wiernej złączonej drużyny.

Nazajutrz wracali razem w wesołym usposobieniu.

— Wiesz co, bracie — rzekł Radosny —

wjedźmy do miasta przeciwległymi bramami i niech król ojciec i żona moja rozpoznają, kto z nas jest panem tej ziemi.

I tak zrobili. Gdy straże bram przeciwległych doniosły, że młody król nadjeżdża, wierzyć im nie chciano, a gdy się zjawili bracia i stanęli obok siebie, cały dwór zdumiał, a młoda królowa na próżno usiłowała poznać męża. Już była bliską płaczu, gdy przyszło jej na myśl zwrócić się do wiernych zwierząt. Obce wąchały ją z niedowierzaniem, lecz lew znajomy mruknął jej przyjaźnie, niedźwiedź tak samo, wilk, lis i zajączek przybiegły na skinienie, — wtedy się roześmiała i rzuciła na szyję swojemu mężowi, ażeby zaś uniknąć nadal takiej niepewności, tegoż wieczoru obcięła mu włosy, a nim te odrosły, Szczęsny wziął za żonę młodszą królewnę i zamieszkał z nią razem w drugim królewskim zamku.

Odtąd obie pary żyły zgodnie, szczęśliwie i w wielkiej miłości aż do późnego wieku, a przybrani rodzice bliźniąt, bogaci i szczęśliwi, przyjeżdżali często, ażeby się nacieszyć widokiem szczęścia swoich wychowańców.

SPIS RZECZY: